

Andrzej Wydrzyński

Plama ciemności

„KB”

Wymyślić wątek dla farsy i przerobić to na poważną powieść. Zanurzyć wszystko w atmosferze niezwykłej i sennej... Mieszanina groteski i tragedii zbawiennie wpływa na umysł...

(BAUDELAIRE)

Detektyw oczyszcza część świata z tego zła, którym jest nie tyle sama zbrodnia, ten oczywisty fakt, iż kogoś zabito, ile towarzysząca jej skaza, rozlana wokół niej plama krwi i ciemności, i zarazem ów głęboki, odwieczny konflikt, wcielający się w zbrodniarza od momentu, kiedy przez swój czyn potwierdza on jego istnienie, ujarzmiając olbrzymie, utajone siły, które chcą naruszyć dotychczasowy ład społeczny i ukazać jego kruchość.

(BUTOR)

Urok gry

„Istnieje tylko jeden prawdziwy urok życia: urok gry. Ale co począć, kiedy jest nam wszystko jedno: przegrać czy wygrać?”

Sierżant K. dwukrotnie przeczytał to zdanie w książce francuskiego poety. Przeglądał ją w chybotliwym płomyku świecy, rozjaśniającym zaledwie skrawek nocy. A noc była gęsta od deszczu i ciemności, nieprzenikniona. Za oknem, o które z furją biła ulewa, nie było żadnych świateł. Wichura gięła ku ziemi drzewa. Poprzez szum ulewy sierżant słyszał trzeszczenie pni i pęknięcie konarów. Słyszał także, jaik wokół ocalałego skrawka ziemi, wokół wzgórza, na którym przed stu laty wzniesiono ten dworek, wzbierają coraz gwałtowniej wody huczącej rzeki.

Czy tej nocy - pomyślał sierżant - znowu ktoś umrze tutaj, obok mnie, za jedną ze zmurszałych ścian? Był w rozterce i nie miał pewności, czy sam jeszcze kiedykolwiek zobaczy światło dnia, czy zdąży przeczytać leżącą przed nim książkę, właśnie tę, z której odczytał, że prawdziwym urokiem życia jest urok gry.

Czy także przegranej gry? Chyba tak - pomyślał sierżant K. - jeżeli tylko grało się uczciwie, nie znaczonymi kartami. Chyba tak, na pewno tak. Jeżeli gra się uczciwie. Deszcz padał, wciąż padał, padał nieustannie od kilkunastu dni i nocy. Opuchła od wilgoci ziemia nie przyjmowała już - wody, pęczniała, była jak gąbka nasyciona mułem, błotem i ciemnością.

Czy tam również tak pada?

Tam... Tak myślał o miejscu, gdzie mieszkała młoda dziewczyna. Był od niej dwukrotnie starszy i nigdy nie powiedział jej, że kocha. I chyba już nie powie. Milczał o swojej miłości nie dlatego, że był starszy od tej dziewczyny, ale z tej przyczyny, że nie wierzył już w siłę miłości, która sprawiłaby, że ta młoda dziewczyna będzie go kochać.

W jednej z książek, które w tym pokoju otaczały go ze wszystkich stron, przeczytał także o swojej miłości. Pomyślał, nieco przerażony, że człowiek nie ma w sobie już nic własnego i że to, co przeżywa, przeżył już ktoś inny, i że wszystko, cokolwiek może się stać z człowiekiem, jest napisane, a więc już się stało, kiedyś i gdzieś, dawno lub niedawno, z kimś innym lub z kimś podobnym do niego i do dziewczyny, którą kochał tak nierozumnie. Ale jaka miłość jest „rozumna”?

O swojej miłości przeczytał:

„Obserwował chmury, ciemne, śmigłe konie, wspinające się na niebo. Gwałtowna burza wybuchająca nie w swojej porze! Taka jest mdłość - pomyślał - miłość przychodząca za późno. Ale nie zjawia się po niej kojący spokój, jak po burzy, kiedy wieczorne zapachy,

ociężale słońce i ciepło wracają na zaskoczoną ziemię... Gdy taka miłość spadnie na ciebie jak grom i ogłuszy, oślepi, porazi zmysły, zabije - żadne porównanie literackie nie zmieni twego losu. Jest jak piorun z nieba. Nie ugasisz ani cząstki pragnienia, jeżeli potrafisz wyrazić, jaka jest ta miłość, która przychodzi zbyt późno”.

Trzeba więc żyć z nieugaszonym pragnieniem. Wszyscy żyją z jakimś nieugaszonym pragnieniem.

Dlaczego myśli o miłości w tej posępnej scenerii, w huku wody przewalającej się wokół wyspy ukształtowanej przez powódź? Wiedział, że jeśli wyjdzie teraz na korytarz, usłyszy za przyległymi drzwiami oddechy ludzi pogrążonych we śnie: jeden z tych oddechów jest oddechem mordercy.

Morderca popełnił błąd, na pewno. Ale jaki? Może dopiero popełni? I będzie to tak zwany „fatalny” błąd, jakby wszystkie nasze błędy nie były fatalne i nie przesądzały o naszym późniejszym życiu! Jeśli jednak morderca popełni błąd nazbyt późno, wtedy on, były sierżant K. - od kilku dni był na emeryturze - nie udaremni następnej zbrodni.

A może w ogóle nie będzie żadnego błędu? Bywa i tak, bo przecież każde zdarzenie jest możliwe, nawet zdarzenie najbardziej nieprawdopodobne. Tylko w powieściach wszystko musi być prawdopodobne, lecz życie nie podlega regułom prawdopodobieństwa. O tym wiedział nazbyt dobrze. I o tym, jak działa prawo odwrotnych skutków.

Sierżant wsłuchiwał się w drżenie szyb, o które wiatr bił strugami wody. Później spojrzał na leżącą przed nim książkę w której przeczytał, że urok życia polega przede wszystkim na uroku gry. Odwrócił kartkę.

„Wymyślić wątek dla farsy - przeczytał słowa podkreślone przez kogoś czerwonym ołówkiem - i przerobić to na poważną powieść. Zanurzyć wszystko w atmosferze niezwyklej i sennej...”

Właśnie taka atmosfera panowała w tym domu. I mimo zbrodni, jakiej kroniki policyjne nie notowały od czasów Szekspira - tak pomyślał sierżant - to wszystko miało w sobie coś z farsy. Groteska przemieniała się w dramat, komizm przeistaczał się w tragedię.

„Mieszanina groteski i tragedii zbawiennie wpływa na umysł - czytał dalej - - podobnie jak dysonans działa na przesycony słuch”.

Krawieckimi nożycami, innych w tym pokoju nie było, sierżant przyciął opadający i kopący knot świecy. Odsunął książkę i pochylił się nad luźnymi kartkami lichego papieru.

Pisał:

„O świecie wody rzeki wyrzuciły na brzeg...”

Tak zaczyna się rękopis sierżanta K. Brak w nim kilku pierwszych stron (może on sam je zniszczył?) i kilkunastu innych; sporo fragmentów zatarła wilgoć. Tak więc pewne sytuacje i rozmowy, oraz prawdopodobny przebieg niektórych zdarzeń musiałem rekonstruować ustalając szczegóły z jedyną osobą pozostałą przy życiu po wydarzeniach, jakie rozegrały się na skrawku ładu odciętego od świata powodzią.

Prócz tych zabiegów, usprawiedliwionych obowiązkiem rzetelnego poinformowania Czytelnika, nie zajmowałem się skrupulatnym poprawianiem niedoskonałości zapisu sierżanta K. Zdania pisane w pośpiechu, w zmiennych rytmach, powinny nosić na sobie znamię nastroju, w jakim znajdował się człowiek, który je notował.

Dzisiaj modne jest byle jakie malowanie, byle jakie komponowanie, byle jakie granie na scenie, byle, jakie uprawianie krytyki, wreszcie byle jakie pisanie. Byle ja kość staje się często regułą zjawiska, które ma zastąpić sztukę, a stanowi zaledwie jej załączek lub daleki margines, chociaż nadal nazywa się sztuką z przymiotnikiem „współczesna”. Gdyby nie ten przymiotnik, niekiedy usprawiedliwiający mierność, nieudolność lub spryt, w wielu przypadkach nie wiadomo by było, o co idzie. Sierżant K. nie uznawał „bylejakości”.

...gdyby udało się cokolwiek przewidzieć - pomyślał sierżant - wówczas można by zapobiec następnej zbrodni, która czaiła się w ciemności przesyconej wilgocią i wonią zbutwiałego drewna, zbrodni, która wydawała się nieunikniona. Wówczas Borges miałby rację w swym przewrotnie logicznym zdaniu: „przewidzieć jakąś okoliczność to udaremnić jej realizację”.

Jednak niczego nie można przewidzieć ani udaremnić. Nawet spraw wiadomych i przewidzianych nie dało się udaremnić, kiedy nadszedł czas, gdy sierżant K. miał odejść na emeryturę. Przez całe życie pracował uczciwie, nie myślał o sobie, lecz o pracy, jaką wykonywał. Po wojnie przyjechał do Polski z grupą repatriantów z Francji. Jako żołnierz i działacz francuskiego ruchu oporu w latach wojny, otrzymał pracę w milicji i dość szybko uzyskał stopień sierżanta. Przed kilku dniami przeszedł na emeryturę; nagle życie wydało mu się puste i pozbawione sensu, chociaż czuł się już zmęczony, coraz dotkliwiej odczuwając bezsilność w walce z tym, co w ludziach jest nikczemne i złe.

Mógł być kimś innym, nie sierżantem, to pewne. Interesowała go psychologia, literatura, historia sztuki. Dlaczego nie studiował? Pewnego dnia rozpoczął pracę w milicji i tym samym zdecydował o swoim przeznaczeniu. Aie teraz opuszczało go to wybrane po wojnie przeznaczenie. Cb pozostawało, czego mógł się jeszcze spodziewać?

Nie straci swoich związków ze sztuką, zwłaszcza z literaturą. Chaosowi życia nadawała ona formę, a więc i sens. Lecz nie zastąpi życia, tej przygody, w którą wkroczył,

która go pochłania, w której uczestniczył nigdy się nie oszczędzając. Warunkiem sztuki jest zmyślenie, nierzeczywistość, zagadkowa selekcja. Ale co jest warunkiem życia, jakie właśnie zaczynał, już poza swoją pracą i bez niej? Dzięki pracy uzyskiwał świadomość własnej osobowości i wiedzę o ludziach, o istocie człowieka. Realność życia, pozbawionego dotychczasowej treści, stawała się czymś fikcyjnym, zmyślonym, daremnym. Chyba dlatego postanowił, z nikim tego nie uzgadniając, wziąć udział w jeszcze jednej, może ostatniej przygodzie, jaką miał przeżyć w tym domu otoczonym deszczem, ciemnością i wezbraną rzeką.

Padał deszcz.

W blasku błyskawicy

Wioska Z. położona była na cyplu wcinającym się w rzekę.

W kilka godzin po moim przyjeździe do Z. kraniec tego cypla był odcięty od lądu. Nie przypuszczałem, że stanie się to tak szybko. Gdybym jednak przewidział, że wysoka fala powodzi dotrze również tutaj, także przyjechałbym do Z. Sprawa wymagała szybkiej interwencji.

„Wezbrane wody pozostawiły głębokie wyrwy wzdłuż drogi E-22, prowadzącej z Krakowa do Bochni - podawał w południe spiker radiowy. - Przedmieścia Bochni zalą Raba..; Kulminacyjna fala na Wiśle, minąwszy Kraków, zniosła wały ochronne na terenie Puszczy Niepołomickiej. Na wale wiślanym schroniło się kilkaset osób ze wsi Grobla i Swiniary. Woda porwała cały ich dobytek i tylko nieliczni mieszkańcy zdołali zabrać ze sobą do najwyższej położonej stodoły krowę albo konia. Lecz nad ranem również ta stodoła została zalana”.

Pojechałem do Z. żeby obejrzeć ten stary dworek położony na krańcu rozległego wzgórza i poznać jego mieszkańców.

W kilka godzin później komunikaty powodziowe zabrzmiały bardziej alarmująco.

„W Dąbrowie Tarnowskiej sytuacja staje się coraz bardziej krytyczna. U ujścia Dunajca do Wisły, również w Żywcu, w olbrzymich rozlewiskach pozostało kilka milionów metrów sześciennych wody. Fala kulminacyjna na Wiśle minęła Dęblin i dotarła do powiatu Kozienice. Poziom wody w rzece przekroczył stan alarmowy o dwa metry. Wysoki stan wody spowodował przecieki w wałach ochronnych Sandomierza, Kozienic i w miejscowości Lipsko. Od dwudziestu czterech godzin trwa walka o uratowanie wałów i zlikwidowanie przecieków wody w Andruszkowicach”.

Późnym wieczorem dotarłem na skraj wzgórza. Brnąłem po kostki w mięsistym błocie o konsystencji gliny, grząskim jak bagno. Deszcz przeszedł w ulewę, siekł po twarzy, przenikał przez ortalionowy płaszcz. Kiedy wsunąłem dłoń do Ucieszeni, zachlupotała tam woda.

Dostrzegłem światła w oknach dworku górującego nad okolicą. Na moment, w ostrym świetle błyskawicy, zobaczyłem cały ten dom i otaczające go drzewa.

Dworek, zniszczony w czasie wojny, marniał coraz bardziej w następnych latach. Gmina w Z. postanowiła urządzić tam przedszkole i punkt sanitarny dla kilku okolicznych wiosek, lecz brak było odpowiednich środków, a mieszkańcy z innych, bardziej odległych gmin nie chcieli poprzeć tej inicjatywy. Przed kilku laty odsprzedano na wół zrujnowany dworek starej kobiecie, Filomenie B. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży przeznaczono na budowę nowej szkoły.

Siostra Filomeny B. tuż przed wojną wyjechała do Londynu, by odwiedzić zamożnego kuzyna. W Anglii zastał ją wybuch wojny. Kuzyn stał się jedną z nielicznych ofiar niemieckich pocisków rakietowych V-1; olbrzymi majątek, jaki pozostawił po sobie, przejęła siostra Filomeny B.

Pieniądz przyciąga pieniądz - jak mówi stare porzekadło - czy też pieniądz rodzi pieniądz. Przed kilku laty przebywająca wciąż w Londynie siostra Filomeny wygrała sto tysięcy funtów w systemowych zakładach piłkarskich angielskiej ligi. Dowiedziawszy się o tym, zmarła z wrażenia na atak serca. Reanimacja nie dała pożądanых wyników. Śmierć nazbyt celnie ugodziła starą kobietę.

Tak więc daleka rodzina owego kuzyna odzyskała nieruchomości i otrzymała w spadku plik wartościowych papierów, a Filomena odziedziczyła po zmarłej siostrze wspaniałą kolekcję klejnotów i zawrotną sumę. Wówczas odkupiła od gminy w Z. stary dworek. Kazała go wyremontować i zamieszkała w nim.

Celem mojego wyjazdu był właśnie ten dworek.

Przemoknięty i zabłocony, potykając się w ciemności o kłody i splątane korzenie, zatrzymałem się na skraju wzgórza. Właśnie wtedy piorun przeszył noc i rozświetlił dworek. I było tak, jakby przez moment zawisła nad nim sygnalizacyjna rakietka o oślepiającym blasku. Po chwili zgasła. I znowu stałem na grząskiej ziemi w ciemności i deszczu. Podniosłem do oczu polową lornetkę. Mimo imglistej zasłony wytworzonej przez ulewę, zobaczyłem wyraźnie gotycko sklepione okno, a poza nim cień zgarbionej kobiety, która oddaliła się po chwili. Chciałem schować lornetkę, kiedy nagle w tym oknie, w głębi pokoju, zobaczyłem sylwetki dwóch osób, mężczyzny i kobiety. Byli pochyleni ku sobie. Mężczyzna wznosił do

góry podłużny, połyskujący przedmiot. Pomyślałem, że to nóż albo sztylet i że mieszkańcy dworku odgrywają z nudów przedstawienie nie znanej mi sztuki. Zgasło światło za gotyckim oknem. W tym momencie przetoczył się daleko grom i znowu błyskawica rozświetliła noc. W ułamku sekundy zobaczyłem postać, chyba była to kobieta; pchnęła gwałtownie okno, przypuszczalnie nie domknięte, i poruszała ustami, jakby krzyczała, jakby wzywała pomocy. Prawie równocześnie ukazała się za nią inna postać. Zacisnęła dłoń na ustach kobiety i odciągnęła ją w głąb ciemnego pokoju.

I znowu zabłysło światło za gotyckim oknem, które ktoś po chwili zatrzęsnał. Może ktoś inny, ktoś trzeci, usłyszawszy krzyk kobiety (jeżeli ta kobieta w ogóle krzyczała), wbiegł do pokoju i zapalił światło?

Dowiedziałem się później, że istotnie ta kobieta otworzyła okno i wzywała pomocy. Pomyślała, że zamordowano Filomenę. Była nawet przekonana, że tak się stało. Podobnie jak ja, kiedy zobaczyłem ją później na fotelu, ze sztyletem tkwiącym w okolicy lewego obojczyka.

Inni domownicy przysięgali, że to był żart. Że na szalu umocowano jedynie, przy współdziałaniu Filomeny i na jej żądanie, rękojeść sztyletu. Filomena chciała przez godzinę udawać umarłą, by sprawdzić, jak zareagują na jej śmierć związani z nią ludzie. Nie miałem pojęcia, feto mówi prawdę, a kto żartuje, kto wyprowadza mnie z błędu, a kto chce mnie zmylić.

Kiedy wprowadzono mnie do pokoju Filomeny, żebym przekonał się, że ona jednak żyje, nie było tam Filomeny; Ani w żadnym innym pomieszczeniu w całym domu. Nie znaleźliśmy jej. Filomena - żywa lub martwa - znikła w ogóle.

W sekundę później, kiedy zobaczyłem kobietę odciąganą przez kogoś od otwartego okna, biegłem już w kierunku dworu, chowając po drodze lornetkę do skórzanego futerału. W futerale zachlupotała woda.

Biegłem przed siebie, biegłem w ciemności i deszczu, nie tracąc z oczu oświetlonego gotyckiego okna, które raz po raz przesłaniały pnie olbrzymich drzew.

Natknąłem się na płot, przesadziłem go. Później zderzyłem się z wysoką siatką drucianą, niewidoczną w nocy. Próbowałem ją przeleźć, ale daremnie. Była mokra i szczelna. Skręciłem w prawo biegnąc wzdłuż ogrodzenia i na próżno szukając przejścia. Zawróciłem w lewo.

Pod nogami trzeszczały gałęzie i krzewy. Potykałem się o kamienie i kretowiska, a buty lgnące do błotnistej mazi oplątywała trawa wysoka i śliska.

Zbłąkany w ciemności nie wiedziałem, jak dotrzeć najszybciej do dworku Filomeny.

Więc przybyłem na to wzgórze za późno.

Padał deszcz.

Pierwsza ofiara fortuny

W życiu - pisał sierżant K. - wszystko może odbywać się chaotycznie i nieskładnie, powiedziałbym nawet, że wbrew logice i rozumnej chronologii wydarzeń, z których jedne powinny być przyczyną następnych, a następne skutkiem poprzednich. Znam również wypadki, w których skutek wyprzedzał swoją tajemną przyczynę. Właśnie z podobnym fenomenem miałem do czynienia w zagadkowej sprawie zniknięcia Filomeny B.

W opowieści, pisanej chaos życia należy uporządkować, nadać mu wymiary prawdopodobieństwa i ładu. Naturalny bełkot ludzkiej mowy trzeba przełożyć na symbole i znaki czytelne dla innych, a nieokreśloność gestów i sytuacji przedstawić w taki sposób, by ujawnić ich zamierzone znaczenie.

Zaczynam więc nie od momentu, w którym wkroczyłem do dworku, lecz od zrekonstruowanej później sytuacji, która poprzedziła scenę dostrzeżoną przez lornetkę połową w blasku błyskawicy.

Na frontowej ścianie saloniku Filomeny wisiała wytłoczona w mosiężnej blasze tarcza herbowa, przedstawiająca koronę ze sterczącymi pawimi piórami. Pod tarczą wisiała stara kusza, napięta, w obramowaniu dwóch skrzyżowanych halabard. Na obu bocznych ścianach zawieszono dwa owalne portrety dostojników w bogato zdobionych kontuszach, pochodzące zapewne z końca osiemnastego wieku.

Meble były stylowe, lecz każdy z innej epoki. Bogato rzeźbiony stół barokowy i średniowieczne krzesła z wysokimi oparciami, wyściełany kurdybanem fotel w stylu Ludwika XIII, a obok niego secesyjny stolik z nowoczesnym aparatem telefonicznym. Urządzenie uzupełniały inne mebelki i starocie, pochodzące z różnych okresów ostatnich dwóch stuleci. Trochę znałem się na tym, ponieważ przez kilka lat prowadziłem dochodzenia w sprawach nielegalnych przerzutów unikalnych dzieł sztuki meblarskiej poza granice Polski. Sytuacja, którą jeszcze tej samej nocy odtworzyłem na podstawie zeznań domowników, przedstawiała się jak następuje: na fotelu siedziała Filomena w czarnym szalu hiszpańskim przetykanym złotą nitką; po jej prawej ręce siedział Barnaba, dwudziestokilkuletni gitarzysta w ozdobnym, operetkowym uniformie hippisa, z łańcuchem na szyi, w wąskich spodniach wpuszczonych w niskie cholewki butów, o kształcie nieco dziwacznym, na wysokich obcasach. Jego

ondulowane i lśniące włosy opadały w rzadkich puklach na wywatowane ramiona błękitnej bluzy, zapinanej pod szyją na złote guziki.

Tuż za Barnabą siedziała Laura w przesadnie krótkiej mini-spódnicy i w obcisłej trykotowej bluzeczce, której przejrzystość miała wszystkim patrzącym wykazać bez niedomówień i wątpliwości, że Laura nie nosi biustonosza. Zenobiusz, brat Filomeny, starszy pan o przerzedzonych blond włosach, siedział naprzeciw swej siostry w aksamitnym tużurku; na szyi zamiast krawata nosił aksamitny fontaż.

Na następnym krześle nikt nie siedział, ale ustawione przed nim nakrycie i pozostawione na talerzu resztki jadł? wskazywały, że ktoś nieobecny w tej chwili to miejsce zajmuje.

Zenobiusz drzemał z przekrzywioną na bok głową. W pewnym momencie ocknął się. Wstał, chrząknął, stuknął łyżeczką w brzeg kryształowego kieliszka.

- Wielce szanowni uczestnicy naszej podniosłej uroczystości - zaczął monotonicznie, jakby to wszystko działo się jeszcze wciąż w sennym odrętwieniu. - A więc moi szanowni. Jak powszechnie wiadomo, życie jest brutalne i pełne zasadzek. Nikt jednak nie zaprzeczy, że ma też swoje uroki. Z takiej to właśnie radosnej przyczyny zebraliśmy się dzisiaj w atmosferze przyjaznej i serdecznej, w blasku rodzinnego ogniska, by uczcić zaręczyny tego oto tutaj - mówiąc to” wskazał Barnabę - utalentowanego kompozytora i wokalisty awangardowego, Barnaby, z kobietą o niezwykłych przymiotach i wielkim sercu, z naszą czarującą Amelią, tą oto -

Zenobiusz spojrział na puste krzesło, a jego wyciągnięta dłoń zastygła w tym geście. Wydawało się, że dopiero teraz otrząsnął się z drzemki.

- Gdzież jest Amelia? - zapytał.

Laura zachichotała.

- O rany, Zenek! - zawołała. - Zасыpiasz przy stole i nawet nie zauważyłeś, że Amelia wyszła.

Przez chwilę panowała cisza. Zenobiusz powoli opuszczał wyciągnięte ramię. Usiadł i spojrzał na Laure.

- Przepraszam, cię, kochanie - powiedział. - Widocznie byłem zamyślony. Jest to stan umysłu niedostępny tobie, Lauro. I cóż teraz?

- Teraz pomilczymy - odparła Laura. - Ale na jaki temat?

Filomena poprawiała szal opadający z ramion, wpatrując się w twarze biesiadników.

- Moi drodzy - zaczęła - są sprawy, o których nie wolno milczeć.

- Są ciociu, są „- potwierdził Barnaba. - Wiem coś o tym.

- Co tu ukrywać - ciągnęła Filomena - muszę zmącić pogodny i uroczysty nastrój. Muszę, moi drodzy, bo wreszcie trzeba poważnie porozmawiać. Jak wiecie, wszystko zaczęło się od tego, że moja nieboszczka siostra przez wiele lat przebywała poza granicami naszej ojczyzny, w Londynie.

Zenobiusz ożywił się nagle.

- I wygrała - wtrącił - sto tysięcy funtów w zakładach angielskiej ligi. Chyba niebo jest puste, jeżeli jeden wygrywa sto tysięcy funtów, a drugi ani jednego funta!

Laura podniosła w górę dwa palce, jak uczennica w szkole.

- Ciociu, czy można?

- Mów, dziecko. Gnębi cię coś?

- Ciocia już sto tysięcy razy o tym opowiadała. A szkoda fatygi, kiedy można mówić na miגי.

- Na miגי będziemy później mówić. Teraz nie przeszkadzaj i słuchaj, co powiem. Otóż nieboszczka siostra, dowiedziawszy się o wygranej, zmarła z wielkiego wrażenia. W ten sposób stała się pierwszą ofiarą owej wielkiej fortuny.

- Pierwszą? - zapytała Laura. - To znaczy, że jeszcze ktoś...

- Filomeno - powiedział Zenobiusz - nie narzekaj, ale dziękuj losowi. Właśnie śmierci siostry zawdzięczasz wspaniałą kolekcję klejnotów i wspomnianą już wyżej fortunę. Pozwól sobie jednak powiedzieć, że znamy to na pamięć, jak słusznie zauważyła milutka Laura.

Barnaba zadzwonił ciężkim łańcuchem zwisającym z jego szyi.

- Wy naprawdę nie macie serca dla kochanej cioci! Jeżeli ciocia lubi o tym opowiadać, to czemu przeszkadzacie? Ja trzymam się zasady: sam żyjesz, daj innym żyć. Trzeba być wyrozumiałym i tolerancyjnym.

Filomena uśmiechnęła się do Barnaby, pokiwała głową.

- Moi drodzy, dzisiaj opowiadam o tym po raz ostatni. Skończyły się piękne opowieści. Co tu ukrywać. Obawiam się, że owa wielka fortuna uśmierci jeszcze kogoś, a może nawet więcej osób, kto to wie. Dawniej żyłam skromnie w campingowym domku i chwaliłam sobie takie życie. Kiedy odziedziczyłam po siostrze majątek, chyba szatan mnie skusił, żeby kupić ten stary dworek, odrestaurować go i sprowadzić tutaj was wszystkich. Was - powtórzyła. - Wszystkich.

- To był dobry uczynek, ciociu - powiedział Barnaba. - Ciocia chciała zapewnić nam utrzymanie do końca życia, założyć tu nowy ród i wychować następne pokolenia wnuków i prawnuków.

Poprzez szum ulewy dobiegło ich wycie psa.

Wszyscy odwrócili głowy ku oknu, jakby w tej nieprzeniknionej czerni nocy można było cokolwiek zobaczyć. Spojrzeli więc na siebie, lecz trwało to krótko. Opuścili głowy spoglądając na stół, przed siebie, byle gdzie, unikając jednak wzroku innych.

Pies wył przenikliwie. Wycie przeszło w przeciągły skowyt...

Padał deszcz.

„Trupów będzie para”

Nim jeszcze wezbrały wody okolicznych rzek, z dworku przywieziono do powiatowego szpitala w N. kucharkę Filomeny z objawami zatrucia. Ostatnio było sporo takich wypadków: pestycydy, środki owadobójcze, owoce skropione chemikaliami... Wkrótce zaobserwowano u chorej zaburzenia oddechu, rozszerzone źrenice, nudności, bóle głowy, silne osłabienie, przyspieszenie tętna, bóle żołądka, bladość, stan na granicy śpiączki.

Zastosowano środki zapobiegawcze, lecz stan chorej pogarszał się z godziny na godzinę. Podejrzewano zatrucie arsenem.

Kucharkę przywiozła do szpitala Amelia R. zamieszkała wraz z Filomeną. Po załatwieniu kilku spraw w miasteczku, chciała jeszcze odwiedzić chorą. Lekarz dyżurny nie wpuścił jej na salę. Kucharka znajdowała się w stanie agonalnym. Zgodnie z moim życzeniem zawiadomił mnie:

- Jest tu jedna pani z tego dworku. Pan sierżant przyjedzie.

To był mój ostatni dzień pracy w milicji. Następnego dnia przechodziłem na emeryturę.

Natychmiast zjawilem się w szpitalu. Rozmawiałem z Amelią w pustej o tej porze izbie przyjęć.

- Co się stało? - zapytała.

- Oto jest pytanie - odparłem.

- Słucham pana.

- Słucham panią - powiedziałem.

Była zaskoczona, nieco zalękniona. Ładna, zgrabna, długie nogi, kształtne dłonie z podługnymi paznokciami - utrwaląłem te szczegóły w pamięci. Duże oczy. Usta, jak na mój gust, nieco za małe, wąskie, lecz ładnie wykrojenie. Poruszała się z wdziękiem dobrej modelki.

Przedstawiłem się.

Uśmiechnęła się, podała mi rękę.

- Więc pan sierżant czuwa nad nami jak anioł stróż.

- Zna pani *Stary Testament*?

- Tak, ale dlaczego... Ach, rozumiem. Myśli pan o aniołach strąconych do piekła?

- Oto sedno sprawy. Jestem aniołem strąconym w piekło ludzkich grzechów, w piekło ludzkich zbrodni.

- Jednak jest pan sympatyczny i uprzejmy.

- Pozory, które już niejednego zmyliły. Ciekaw jestem, co zrobię z tą zawodową uprzejmością jako emeryt.

- Świetnie się z panem rozmawia. Nawet nie przypuszczałam.

- Że z sierżantem można tak świetnie rozmawiać? Zdarza się i to. Wszystko może się zdarzyć. Pani jest miła. Zawsze marzyłem o spotkaniu kobiety, która...

- Co się stało z naszą kucharką? - zapytała Amelia. - Nie pozwolili wejść na salę...

- Otóż to. Chciałem panią zapytać. Zdziwiła się.

- O co?

Patrzyłem w jej podługne oczy. Naprawdę była ładna. Bardzo ładna.

- O co pan sierżant chciał zapytać?

- Kto chciał zgładzić kucharkę Filomeny?

Cofnęła się w krześle. Patrzyłem na jej dłonie. Były spokojne, nieruchome, wypielegnowane.

- Uderzył pan jak sztyletem - powiedziała. - Zamordować? Przywiozłam ją do szpitala, bo cierpiała na niestrawność. Jestem przekonana, że to potrwa kilka dni.

- Potrwa dłużej niż kilka dni.

- Z tym także się liczyłam. Jak długo, panie sierżancie?

- Wieczność całą, pani Amelio.

Nic nie powiedziała. Jeszcze wciąż nie rozumiała, o czym mówię.

- Amelia - powtórzyłam. - Lubię to imię. Widziała pani w teatrze *Mazepą*?

- Kilka razy. Słowacki, wiem. Ale co...

- Kiedy Amelia wchodzi w końcowej scenie - ciągnęłam - białą ubrana i z rozpuszczonymi włosami, Mazepa woła: „Otóż i ona! Jaka ty blada!” Pamięta pani? Dobrze, że pani pamięta. A później Mazepa mówi do niej:

Pozwól mi się przybliżyć - biedna moja pani. Nie oddalaj mnie ręką - jesteśmy związani Łańcuchem tajemnicy jak trzy cienie bratnie. - Ja mam od umarłego zlecenia ostatnie...

- Pan? - prawie krzyknęła. - Od umarłego? Więc nasza kucharka... To straszne!

- Tak - powiedziałem. - Wasza kucharka. Zgodnie z przepisami, jako prowadzący śledztwo mam dostarczyć lekarzowi puste słoje. Po sekcji zwłok lekarz zapieczętuje je przy mnie i odda za pokwitowaniem prokuratorowi.

- Prokuratorowi?

- Zgodnie z przepisami. I również zgodnie z przepisami w czasie sekcji nie będzie się używać wody.

- Dlaczego pan o tym mówi? Nic nie rozumiem.

- Ponieważ istnieje podejrzenie, że śmierć nastąpiła na skutek otrucia. W takim wypadku nie wolno przy sekcji używać wody.

- Niemożliwe!

- A jednak prawdziwe, jak wiele spraw niemożliwych. Moja praca właśnie na tym polega, żeby odkryć to, co niemożliwe. Wyjaśnić niewyjaśnione. Ujawnić zatajone.

- I w ten sposób zatriumfować nad złem.

- Można i tak powiedzieć. Jednak chyba pani wie, niekiedy zło triumfuje nad nami.

Przez chwilę milczała. Czekałam, co powie.

- Dlaczego pan nie jest oficerem - zapytała - tylko sierżantem?

- Tylko - powtórzyłam. - Być dobrym sierżantem to jednak bardzo dużo, a nie „tylko”. Staram się być dobrym sierżantem. Czasem to się udaje. Jestem już za stary, żeby iść do szkoły oficerskiej.

- Pan wcale nie jest stary - zaprzeczyła. Może z grzeczności? Kobiety potrafią robić różne rzeczy z grzeczności.

- Tak się tylko mówi. Jestem zmęczony. A człowiek zmęczony jest starym człowiekiem. Dlatego odchodzę ze służby. Już czas.

Amelia wstała z białego lakierowanego krzesła. Podeszła do okna, spojrzała na ulicę albo tylko na zakurzone szyby. Odwróciła się do mnie.

- Trudno w to uwierzyć, panie sierżancie. Kucharke wszyscy kochali - mówiła cicho. - Była pogodna. I wciąż robiła jakieś kawały. I w ogóle... Nie, to okropne.

Wyjaśniłem Amelii, że każdego zamordowanego ktoś kochał.

- Niekiedy nawet morderca - tak powiedziałem - kocha swoją ofiarę.

- Rozumiem - odparła. - Ale w jej wypadku... To niemożliwe!

- Pani Amelio, nikt nie wie tyle o ludziach, ile my wiemy. To wiedza gorzka i okrutna, trudno ją udźwignąć. Może dlatego jestem już zmęczony.

I nagle zapytałem:

- Co jada się u was w piątek na kolację?

- Chyba makaron z parmezanem, tak, makaron. Mięsa w piątek nie jadamy, ciocia nie pozwala.

- Powiem pani tak fachowo, że po wyplukaniu żołądka kucharki stwierdzono obecność nie strawionego makaronu z parmezanem. Lekarz zapewnia, że badanie treści żołądka potwierdzi...

- Wszyscy jedli to samo, panie sierżancie. Mówiłam już panu.

- Proszę się zastanowić.

- Panie sierżancie, zawsze jemy to samo. Wszyscy.

- Prosiłem, żeby się pani zastanowiła. No więc? - zapytałem po chwili. - Kto nie zjadł w piątek makaronu?

- Ach, tak! - zawołała Amelia. - Filomena nie jadła. To prawda. Powiedziała, że parmezan czuć pleśnią. I dała swoją porcję kucharce. Prawda, właśnie tak było.

Zrozumiałem natychmiast, o co chodzi i co zaszło w piątek.

- Otóż to - powiedziałem. - Czy pamięta pani, co w *Mazepie* Wojewoda powiedział do Chmary? Przypomnę pani:

Hej, panie Chmara! Ustawić tu katafalk...

- *Trupów będzie para* - dokończyła cicho Amelia. Była blada, przejęta śmiercią kucharki, zaniepokojona moim przypuszczeniem. - Więc pan sądzi - zaczęła - że to nie kucharka...

- Dziękuję pani - powiedziałem. - Ta rozmowa powinna pozostać na razie między nami. Na razie. Kiedy otrzymamy urzędowy protokół sekcji zwłok, mój następca przyjedzie do państwa. Teraz proszę wrócić do ludzi, wśród których znajduje się...

Amelia milczała.

- Ale leje - dodałem - patrząc na strugi wody ściekające po szybach. - Deszcz rozstaja mi nerwy. Skąd tam, w górze, bierze się tyle wody?

- To te chmury - powiedziała Amelia.

- Tak, chmury - powiedziałem. - Te.

Padał deszcz.

Marzenia starej kobiety

Wycie psa uwiązanego na podwórzu przeszło w przeciągły skowyt.

- Chciałaś założyć nowy ród, Filomeno - Zenobiusz podjął wątek przerwanej rozmowy - ale z tego wielkiego rodu masz na razie tylko tarczę herbową.

Chrząknął, zdjął okulary. Chuchał przez chwilą na wypukłe szkła, po czym wytarł je brzegiem serwety zwisającej ze stołu. Rozwartymi okularami, przygotowanymi do nałożenia ich, wskazał herb wytłoczony w mosiężnej płycie, zawieszony nad kuszą.

- I to herb - dodał - cudzy, znaleziony na jakimś śmietniku albo na strychu, wszystko jedno gdzie. Tak kończą się nasze sny o potędze.

- Wszystko potrafisz zepsuć - mruknęła Filomena. - Wszystko. Przecież chciałam...

Laura wstała i dygnąwszy jak przed występem na szkolnej estradzie, zaczęła deklamować:

- Ciocia marzyła, żebyśmy żyli w radości i dobrobycie, bo tego pragnie cała znękana ludzkość.

Powiedziawszy to, ponownie dygnęła i usiadła. Uśmiechnęła się przymilnie do Filomeny.

- Prawdopodobnie na pewno ciocia tak powiedziała.

- Moje słowa - potwierdziła Filomena. - Ale co tu ukrywać. Okazało się, że pieniądze nie dają szczęścia.

Na to Laura:

- To niech ciocia rozda pieniądze i po krzyku. No nie, Zenek?

- Tak - westchnęła. - Rozdam pieniądze, a później porzucicie biedną Filomenę. Na stare lata oddacie ją do domu starców albo ja wiem gdzie.

Zenobiusz uśmiechnął się przebiegle.

- Tak prawdę mówiąc, Filomeno, to trochę pieniędzy mogłabyś sobie zostawić, a przytłaczającą resztę rozdać oczywiście nam.

- Jesteś dla mnie bardzo łaskawy, Zenobiuszu, że pozwalasz mi zatrzymać trochę pieniędzy. Jednak wolę zatrzymać wszystkie.

- Siostrzyczko, lata lecą, a ty, tak mówiąc między na mi, nie jesteś już pierwszej ani nawet drugiej młodości.

Filomena poruszyła się gniewnie na fotelu, stuknęła końcem laski o parkiet.

- A jeżeli pożyję drugie tyle, to co zostanie mi na stałość? O tym nie pomyślałeś.

- E tam, ciociu - odezwała się Laura - tak długo ludzie nie żyją. Ale tak na serio, to czytałam o jednym zasuszonym staruszką, który na Uralu albo i na Kaukazie, sama nie wiem, bo tam nie byłam, dożył już stu czterdziestu sześciu lat. Bomba.

- Ja tam gazetom nie wierzę - mruknął Zenobiusz. - W gazetach...

- Zenek, nie truj - przerwała mu Laura - widziałam fotografię tego dziadka. Wyglądał nawet na więcej. Jak mówię, to mówię i nikomu nie robię wody z mózgu.

Barnaba pogłaskał Filomenę po dłoni wspartej o laskę - W Rumunii jest instytut geriatry i ciocia mogłaby tam przeprowadzić kurację odmładzającą. Dają zastrzyki i później człowiek jest jak nowy. Prawda, ciociu?

- Ty zawsze mówisz prawdę, Barnabo. Powiem ci, że mądrą myśl rzuciłeś. Poddam się takiej kuracji. I przeżyję was wszystkich. Chciałeś coś jeszcze powiedzieć?

- Jak kochana ciocia stamtąd wróci - zaśmiał się Barnaba - to będzie nosić takie mini-spódniczki jak Laura. Prawda, ciociu?

Zenobiusz dopiero teraz włożył okulary. Spojrzał na Barnabę.

- Ty lepiej zostaw w spokoju spódniczki Laury!

- Tylko powiedziałem, że ciocia także...

- Barnaba czepia się mnie jak lep na muchy - powiedziała Laura.

- Czemu się czepiasz?

- Mówiłem tylko o mini-spódniczkach, a wy zaraz...

- Mini nie mini - wtrącił Zenobiusz - a ja wiem swoje. Życie jest brutalne i pełne zasadzek, zawsze to powtarzam. Ale tak prawdę mówiąc, droga Filomeno... Co to ja chciałem powiedzieć...

Laura zwróciła się do Barnaby.

- Może ty wiesz, co Zenek chciał powiedzieć? Bo ja nie.

- Już wiem! - zawołał Zenobiusz. - Tak mówiąc między nami, droga Filomeno, to jako twój brat powinienem odziedziczyć połowę majątku po nieboszczce siostrze. Człowiek chciałby wierzyć, że jest jeszcze trochę sprawiedliwości na tym...

Filomena stuknęła laską o posadzkę.

- Siostra nieboszczka wszystko mnie zapisała. Wiedziała, co robi. Oświadczyłam ci już, Zenobiuszu, że jak ożenisz się z Laurą, wówczas przepiszę na was połowę majątku. Mówię o gotówce, a nie o klejnotach. I tylko jeden warunek w tym związku musi być spełniony: że obdarzycie mnie wnuczętami, które podtrzymają nasz ród. Innymi słowy, musicie mieć dzieci. Przynajmniej jedno.

Laura zaśmiała się.

- Ciocia wierzy w duchy! Przy Zenku nie można się rozwinąć.

- Dzisiejsza młodzież - zachnął się Zenobiusz - już nawet w duchy nie wierzy. Co chciałaś przez to powiedzieć, Lauro?

- Że przed wojną to była pogoda - odparła Laura. I zwróciła się do Filomeny: - Ciociu, chyba nic z tego, bo Zenek ma kwasy i zasady. Jest bardzo zasadniczy i powiedział, że do dnia ślubu nawet mnie nie pocałuje. Królewicz z bajki! Mogłabym mieć takich na pęczki, ale ja nie z tych.

Zenobiusz nisko pochylił się nad stołem w kierunku Laury i poruszył kilkakrotnie ustami, jakby dobierał słowa.

- Kochanie, tak mówiąc między nami, dzieli nas znaczna różnica wieku. Mogłabyś więc zaufać mojemu doświadczeniu w tych i innych przypadkach. Są to nasze prywatni sprawy, powiedziałbym więcej: intymne. I jako takie między nami winny pozostać. Filomeno, ostrzegam cię. Jeśli nil podzielisz się ze mną majątkiem, ogłoszę strajk.

- Głodowy? - zapytała Filomena z nieukrywaną na dzieją w głosie.

- Na to nie licz - odparł Zenobiusz. - Strajk polegający na tym, że nie będzie dzieci. To moje ostatnie słowo. Jak zimna wojna, to zimna wojna. Nie mogę ryzykować. Muszę wiedzieć, na czym siedzę i ile mam na koncie bankowym. O dzieci nie tak trudno. Wyż demograficzny, zagraża dziś wielu cywilizowanym krajom. Ale kto będzie utrzymywać, i za co, takie dziecko? Kto wychowa je, i za co, na dobrego obywatela?

Barnaba z uciechy podskakiwał na krześle. Brzęczą ogniwa ciężkiego łańcucha, na piersi podzwaniały kupioi w komisie orderów i medale.

- Ciociu kochana - zapiszczał powstrzymując śmiech Zenobiusz chyba wierzy, że bociany przynoszą dzieci.

- Jeden chiński uczonek - wtrąciła Laura - obalił tę teorię.

Filomena, dotychczas poważna i tak skulona na swoim fotelu, jakby czaiła się do ataku, do powiedzenia czegoś ważnego, co wszystkim zaskoczy, teraz zaśmiała się.

- Oj, Lauro, Lauro, ciebie powinni w telewizji pokazywać. Kiedy ty wreszcie zmądrzejesz?

- Ciocia zapyta Zenka, on wie. On zawsze mówi, w małżeństwie wystarczy, jak jedno jest mądre. Prawda Zenek? Bo jak jest mądre jedno i drugie, wtedy następuje rozkład pożycia. A co to za życie bez pożycia?

Mimo żartobliwego tonu rozmowy, mimo dowcipów i uszczypliwości, atmosfera była napięta. Wesołość, na jaką silili się ludzie zebrani przy ciężkim rzeźbionym stole była wymuszona. Miało się wrażenie, że wywołują ją tylko po to, żeby ukryć coś innego i przemilczeć sprawy, o których myśleli.

- Boże - zawołał nagle Barnaba - a gdzie Amelia?

- Może padła ofiarą jeszcze jednej pułapki zastawionej na mnie - odparła ponuro Filomena. - W tym domu wszystko jest możliwe. W tym domu, wśród was, przebywa ktoś, kto chce mnie zamordować.

Milczeli.

Nie patrzyli na siebie.

Laura okręcała wokół wskazującego palca kosmyk włosów.

Zenobiusz strzepywał niewidzialny pył z klapy tużurka.

Barnaba przesuwiał między palcami ogniwa łańcucha, jakby to były paciorki różańca.

Nagle zgasło światło.

W mroku, jaki ich ogarnął, słychać było czyjś przyspieszony oddech i deszcz, który tłukł w okna ze wzmagającą się siłą.

Za drzwiami rozległy się kroki.

Ktoś szedł powoli przez korytarz.

Kokosowy chodnik tłumiał odgłos kroków.

Siedzący przy stole słyszeli teraz tylko to ostrożne stąpanie w ciemności.

Padał deszcz.

Wszyscy są niewinni

Tak nagle jak przedtem zgasły, zabłysły teraz żarówki kryształowego żyrandola. W otwartych drzwiach salonu stanęła Gienia, pokojówka Filomeny. Wyjaśniła, że włączając elektryczne żelazko, widocznie zepsute, spowodowała krótkie spięcie. Przed chwilą włączyła

automatyczne bezpieczniki, które nazywała „korkami” znajdowały się obok wejścia do salonu.

Odczuli ulgę. Więc to jej kroki słyszeli, kiedy zgasło światło.

- A państwo na pewno się przestraszyli - powiedziała Gienia.

- Moja Gieniu - odparł wyniośle Zenobiusz - boimy się tylko Boga.

- E tam - powiedziała Gienia.

- Może Gienia odejść.

- Jakby Gienia nie odeszła - powiedziała dziewczyna - ja tylko z państwem siedziałam i próżnowałam, toby kolacji nie było.

Zamknęła za sobą drzwi salonu.

- Ja tu o czymś ważniejszym mówiłam. - zaczęła Filomena, lecz Barnaba przerwał jej, zwracając się do Zenobiusza.

- I jak będzie z tymi boćkami, co? Zdziwisz się, ale znało się kiedyś jedno małżeństwo. Kiedy ktoś ich zapytał, czy mają dzieci, wówczas mąż odpowiadał: „Nie, my nigdzie nie bywamy”.

Laura zaśmiała się. Inni patrzyli na Zenobiusza.

Zenobiusz, urażony żartami, wstał raptownie z krzesła. Poprawił fontaż i obciągnął tużurek. Podeszedł do zawieszzonego na ścianie lustra w złoczonej rokokowej ramie i przyjrzał się swemu odbiciu. Po chwili odwrócił się w stronę stołu i wsunął dłonie w kieszenie tużurka.

- Należy mieć trochę szacunku dla człowieka w moim wieku. Wbrew objawom zdziwienia, jakie obserwujemy tu i ówdzie, nie zawadzi odrobina szacunku dla człowieka, który wiele przeżył i wie o życiu trochę więcej niż wy. Kiedy Filomena mnie obraża, a ty mnie obrażasz, Filomeno może nieświadomie, ale jednak obrażasz, wtedy się nie dziwię. Korzystasz ze swojej przewagi ekonomicznej, mówiąc ściślej, z materialnej przewagi. I pod naciskiem tej presji chcesz zmusić mnie do małżeństwa, ba, powiem więcej, do ojcostwa. Jednak od ciebie - Zenobiusz podeszedł do Barnaby - nie ścierpię kpin ani aluzji. Laura jest, mówiąc delikatnie, mniej rozgarnięta niż ty, dlatego też Laurę mogę traktować pobłaźliwie. Jednak ty, Barnabo, jesteś moim nieślubnym synem, ale jednak synem, i to z dobrych czasów, kiedy się jeszcze lampartowało i tańczyło w tingel-tanglach kankana z szansonistkami. Jestem dumny, że z tych czasów ty mi pozostałeś, Barnabo, jako widomy dowód jednej z moich licznych miłości. Otóż Barnabo... Filomena zastukała laską.

- Otóż Zenobiuszu! Odłóż wychowywanie syna na później, a teraz wróćmy do sedna sprawy. Do istoty rzeczy, jak by powiedział nasz zacny filozof, Eligiusz. Co tu ukrywać. Powiedziałam, że pieniądze nie przyniosły nam szczęścia.

- Pieniądze - wtrąciła Laura - nie są od przynoszenia szczęścia, ale od wydawania.

- Ale są także od tego - Filomena podniosła głos - żeby wyzwalać w ludziach chciwość i zawiść, żeby wzbudzać instynkt mordy i grabieży! Lauro, nie przeszkadzaj mi, i tak nic mądrego nie powiesz. Siadaj, Zenobiuszu. Nie stój jak manekin. Siadaj. Moi drodzy, co tu ukrywać. W tym domu - Filomena zawiesiła głos - ktoś czyha z uporem na moje życie. O tym pomyślcie.

- Ciociu - Laura nie mogła się powstrzymać od zabrania głosu - ja właśnie chciałam powiedzieć, że aż strach pomyśleć, więc nie myślę.

Barnaba nappełniał kieliszki rizlingiem. Wzniósł do góry swój kieliszek.

- Ciocia będzie żyć sto lat.

- Albo i więcej - dorzuciła Laura. - Nasza ciocia jest nie do zdarcia.

- Za zdrowie naszej kochanej cioci! - Barnaba wzniósł toast.

Zenobiusz sięgnął po wino.

- Także chciałem zauważyć, że życie jest brutalne, i pełne zasadzek. Ale nie może tak być, żeby coś zagrażało życiu Filomeny. Zgroza.

- Właśnie - powiedziała Laura - żeby coś zagrażało. Ciocia ma do spełnienia wielką misję dziejową i musi żyć wśród nas.

Wtedy weszła do salonu Amelia: Miała na sobie krótką cocktailową sukienkę z mocno wyciętym dekoltem. Cmoknęła Barnabę w policzek i usiadła na wolnym krześle.

- I jak się bawicie? - zapytała. Ponieważ nikt nie odpowiedział, dodała:

- Ponuro jest tutaj i zimno.

- Gdzie byłaś, jak cię nie było? - zapytała Laura.

- Zaniósłm Eligiuszowi kolację.

- A jak tam noga naszego filozofa? - zapytała Filomena. Amelia sięgnęła po kieliszek, skosztowała wina.

- Nie widziałam nogi, przecież jest w gipsie. Zenobiusz westchnął ciężko, dwukrotnie chrząknął.

- Szkoda, że biedny Eligiusz nie może radować się razem z nami. Amelio, właśnie mówiliśmy, że ktoś czyha na życie mojej drogiej siostry. Nie możemy ochłonąć ze zdziwienia.

- Ja już ochłonęłam - wtrąciła Laura. Amelia odstawiła kieliszek. - Nie macie weselszych tematów? Wybraliście najgorszy na dzień moich zaręczyn z Barnabą. Czy to ciocia zaczęła?

- Moja droga - odparła Filomena - na razie odłożymy wasze zaręczyny. Mam inne plany.

- Ciocia wciąż coś planuje w moim imieniu!

- Bo ciocia nas kocha - porywczo zawołał Barnaba. - I dlatego nie zgadzam się, żeby cioci wciąż ktoś dokuczał!

Amelia, patrząc na Barnabę, odstawiała kieliszek.

- Barnabo - powiedziała - czy nie sądzisz, że to jest coś więcej niż dokuczliwość? Może jestem przeczulona, nie wiem, może to tylko zbieg okoliczności, naprawdę nie wiem, ale chyba coś zagraża życiu Filomeny.

- Zdziwisz się - powiedział Barnaba - ale myślę tak samo jak ty. Dobrze to ujęłaś, Amelio.

Zenobiusz dotknął dłoni Filomeny, pogłaskał ją czule. Filomena cofnęła dłoń.

- Mnie proszę w to nie mieszać - powiedział Zenobiusz. - Jestem niewinny.

Oczywiście - pisał sierżant K. - wszyscy są niewinni. Jak zawsze. I wszyscy są oburzeni, wszyscy kochają Filomenę. I wszystko, jak zawsze, zaczyna się jak w komedii.

Niech was jednak nie zwiedzie beztronski i żartobliwy ton rozmów prowadzonych w saloniku Filomeny. Prawdziwe komedie zaczynają się poważnie, nawet smutno, lecz kończą się wesoło. A tutaj początek jest wesoły, prawie niefrasobliwy, natomiast zapowiada się, że epilog będzie złowrogi. Tak zaczynają się prawdziwe dramaty.

I jeszcze to ponure tło: powódź, ulewa i wichura, która łamie drzewa i zrywa dachy. Wycie wiatru i ryk przerażonego bydła, buczenie spiętrzonych wód i alarmujące komunikaty radiowe. Nastrojało to pesymistycznie i odbierało wiarę w pomyślne rozwiązanie sprawy. Wydawało się, że wszystkie złe moce natury sprzysięgły się przeciw ludziom i sprzyjały zbrodni.

Padał deszcz. To było okropne, że wciąż padał i padał, i nie było końca tym zwałom wody spadającym z nieba.

...A więc wszyscy byli niewinni i nikt nie chciał zamordować Filomeny. I nikt nie zamordował kucharki. Nikt. Padał deszcz.

Skorpion

Filomena wyprostowała się, uniosła wysoko głowę i srebrną gałką laski z hebanowego drewna uderzyła o brzeg stołu.

- Dość tego - powiedziała. - Powtarzam jeszcze raz, że ktoś nieustannie dybie na moje życie!

- Dybie? - zapytała Laura.

- Na życie cioci - powtórzyli inni jak echo.

- Tak jest. Na moje życie. Któregoś dnia zerwał się żyrandol nad moim fotelem. Od tego wszystko się zaczęło. Co tu ukrywać. Ten wypadek był jak sygnał do całej serii dalszych wypadków, coraz bardziej podejrzanych i niecznych

Amelia: A później ciocia nogę skręciła. Co prawda, to prawda Barnaba: Właśnie. Jak ciocia schodziła do piwnicy po burgunda.

Laura: Kto schodzi powoli, tego nic nie zaboli.

Zenobiusz: Lauro, co to ma znaczyć?

Filomena: Daj spokój, Zenobiuszu. Laura dobrze mówi. Moje słowa. Spadłam, bo co tu ukrywać, schodki były podpiłowane.

Amelia: Były już spróchniałe, ciociu.

Laura: Mowa trawa, ludzie grzyby. Widziałam świeże trociny na własne imieniny.

Barnaba: Tak, tego dnia były imieniny Laury.

Amelia: Może to były trociny po kornikach? W tym domu wszystko jest spróchniałe.

Zenobiusz: A może trociny wysypały się z twojej głowy, Lauro?

Laura: Coś ty, Zenek. Tego jeszcze w żadnym kinie nie grali.

Barnaba: Znalazłem piłę pod schodami, prawda, ciociu?

Laura: Może sam ją podłożyłeś? Przyznaj się, nim zaczną bić. Może to był kawał?

Filomena: Za takie kawały idzie się na szubienicę! Tego nie mógł zrobić Barnaba. On jest artystą, a artyści są wrażliwi.

Laura: Czytałam, że jeden amerykański artysta wyrzucił żonę przez okno. Mailer się nazywał.

Barnaba: Ja bym nie wyrzucił. Nigdy i nikogo. Jestem najlepszy dla cioci, prawda, ciociu? Cocią mnie wyczuwa.

Laura: Pies, który dużo szczeka, nie daje mleka.

Barnaba: Do mnie pijesz? Laura: Do Jakuba.

Filomena: Co powiedziałaś, dziecko?

Laura: Ja się tylko odezwałam, żeby nie było cicho.

Barnaba: No to wam powiem, że wczoraj ktoś rozsypał śrut w sypialni cioci!

Amelia: O tym słyszałam. Gienia mówiła, że ciocia pośliznęła się siedem razy.

Barnaba: Ale heca, co?

Laura: Heca hecą, a jabłka z gruszek lecą.

Filomena: Tak jest. Siedem razy. Jak na sztucznym lodowisku.

Barnaba: O rany! Siedem razy! A ciocia nic nie powiedziała, tylko o tym śrucie, że był rozsypany.

Zenobiusz: I ja nie słyszałem. Co krok, to zradliwa zasadzka.

I tak przemija nam nasze całe niedoskonałe życie na omijaniu zasadzek. Ale któregoś dnia w jedną taką pułapkę człowiek wpada. Pułapka się zatraskuje - i...

Zenobiusz chrząknął i przeciągnął palcem wskazującym po szyi. Wszyscy tak spojrzeli na ten palec, jakby Zenobiusz trzymał w ręku ostry nóż.

- Zenek, nie strasz! - zawołała Laura. - Bo dostanę gęsiej skórki.

W sąsiednim pokoju rozległy się ciężkie i powolne kroki.

- Cicho - powiedziała Laura - pan Filip idzie.

- Jak już ty coś powiesz, Lauro! - strofował ją Zenobiusz. - Przecież Filip jest głuchy. Przy nim możemy rozmawiać.

Do pokoju wszedł wysoki, zgarbiony mężczyzna w kufajce, z dwururką przewieszoną przez ramię, skierowaną lufami w dół. Poruszał sumiastymi wąsami. Na nogach miał ogromne myśliwskie buty.

Szedł powoli przez salon, nie zwracając uwagi na obecnych. Zbliżył się do okien, sprawdził, czy są dobrze zamknięte, po czym oddalił się w kierunku następnego pokoju. Zamknął za sobą drzwi.

- On jest jakiś taki - powiedziała Laura. - Prawda, Zenek, że on jest jakiś taki?

- Zwyczajny człowiek - odparł Zenobiusz - tyle że głuchy. W dzień dozorca i ogrodnik, a w nocy stróż nocny. Obchodzi cały dwór, sprawdza okna, drzwi i w ogóle. Co w tym dziwnego?

Amelia patrzyła na drzwi, którymi wyszedł Filip.

- Dla mnie jest dziwny. Boję się Filipa. Nie ma zegarka, a jednak codziennie o tej samej godzinie i minucie obchodzi wszystkie zabudowania i cały dom.

- Co komu do domu, jak chałupa nie jego - wtrąciła Laura, Zenobiusz spojrzał na nią surowo, chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi od przyległego pokoju. Ukazał się w nich Filip. Szedł powoli przez salon i zniknął za drzwiami przeciwległego pokoju.

Filomena z uznaniem patrzyła za oddalającym się Filipem.

- Lubię ludzi solidnych - powiedziała. -.Dałam mu tytuł „wielki łowczy”.

- Poluje na szczury i bezpańskie psy - mruknęła Amelia. - Po co cioci takie tytuły? To tylko drażni okoliczną ludność.

- Chyba do śmiechu drażni - powiedziała Laura W stawiając dwa palce. - Ciociu, chciałam jeszcze zauważyć na marginesie wydarzeń, że przyjemnie jest żyć tak sobie w rodzinnym gronie. Dolce vita, no nie, Zenek? Mnie to wzrusza do łez, wiesz? Ale płakać nie mogę, bo w dzieciństwie już się wyplakałam. Ja, proszę cioci, miałam trudne dzieciństwo. Ojciec swoje, matka swoje, a córeczka za sierotkę. Nikt mnie nigdy nie kochał... Laura pochłipywała.

- Nikt... Nigdy... Mnie...

Zenobiusz pogłaskał ją dłonią po pochylonej głowie.

- Biedne dziecko - powiedział. - Filomeno, czy nie wzrusza cię widok tych łez niewinnie przelanych? Może jednak podzielisz spadek po siostrze i uszczęśliwisz to biedactwo...

- Wzrusza nie wzrusza - odparła Filomena - ale chyba mówiliśmy o czymś znacznie ważniejszym.

- O czym, Filomeno?

- Że ktoś nierozważny rozsypał śrut w sypialni cioci - przypomniała Amelia. - Może Filip zrobił to przypadkowo? Może śrut wysypał się z naboju do dubeltówki? Bo przecież trudno uwierzyć, żeby ktoś w stosunku do cioci przejawiał...

Barnaba wzniosł dłoń, powstrzymując Amelię.

- Zdziwisz się - powiedział. - Może ciocia powie teraz Amelii, co jeszcze znalazło się w sypialni. Niech wie.

- Powinni wiedzieć - potwierdziła Filomena. - Co tu ukrywać, moi drodzy. Znalazłam dzisiaj rano skorpiona.

Z piersi obecnych wydarło się jak jęk:

- Skorpiona!

Barnaba znowu wzniosł dłoń.

- Proszę im jeszcze powiedzieć, kochana ciociu, dlaczego skorpion nie ugryzł kochanej cioci. Niech wiedzą.

Filomena spojrzała na ich twarze, kolejno przenosząc wzrok z jednej na następną. Lecz ich twarze były nieodgadnione.

- Powiem, Barnabo. Bo skorpion wpadł do szklanki z kefirem.

Laura wydała cichy okrzyk.

- I wypił cioci cały kefir? Okropne!

- Boże, Lauro - zawołał Zenobiusz - po co ty tyle mówisz?

- Ja nic nie mówię, ale cicho też nie będę.

Tym razem Zenobiusz w obie dłonie ujął rękę Filomeny.

- Ach, życie jest brutalne! Chyba dobry anioł czuwał nad tobą, Filomeno, jeśli rozdrażniony skorpion nie wydostał się ze szklanki i nie użądlił cię swym jadowitym ogonem. To przecież cud! Kiedy dowiedzą się o tym okoliczni włościanie, zaczną się tu prawdziwe pielgrzymki, jak do cudownego obrazu.

Filomena uniosła dłoń, na której spoczywały ręce Zenobiusza; uniosła ją tak wysoko, że Zenobiusz musiał cofnąć swoje dłonie.

- Zenobiuszu, to nie był cud - powiedziała. - Skorpion nie wydostał się ze szklanki, bo w kefirze... Było cyjankall

I znowu rozległ się chóralny jęk: - Cyjankali!

Padła deszcz.

Niepewne i nierealne

O tych i o wielu innych szczegółach dowiedziałem się po przybyciu do Z. Na razie jedno było pewne: kucharkę otruto. Podoficera, który przejął moje funkcje i sprawy, wezwano do wojewódzkiej komendy; tuż po jego wyjeździe dowiedziałem się od naszego biegłego o wyniku sekcji zwłok.

Mój następca miał wrócić następnego dnia. Ale czy zdoła wyjechać do Z., jeśli w powiecie woda wciąż przybierała? Po rozmowie z Amelią pomyślałem, że miał umrzeć ktoś inny, a śmierć kucharki była niezamierzona. Postanowiłem, że sam pojedę do Z. - powodowany wewnętrznym nakazem, neodpartym jak fatum, jakby tam, w Z., miało się spełnić moje przeznaczenie.

Czy skłonił mnie do tego urok ryzykownej gry? Chyba nie, ani też „odruch warunkowy” zawodowego sierżanta, ta chęć natychmiastowego i skutecznego działania w zetknięciu z przestępstwem. Po prostu postanowiłem przeciwstawić się złu, osiągnąć mordercy, uniemożliwić mu ucieczkę lub popełnienie następnej zbrodni. Przypuszczałem, że otrucie kucharki, jeśli nawet była ona przeszkodą w uzyskaniu czegoś, na czym przestępcy szczególnie zależało, nie mogło być tym celem, do którego on zmierzał.

Może w mojej podświadomości, niezależnie od innych motywów, tkwił bunt przeciw wątpliwym urokom emerytalnej egzystencji? Może chciałem zakończyć karierę efektywnym śledztwem albo zafascynowała mnie szansa gry, jaką prowadzi prywatny detektyw na własną

rękę, pozbawiony błogosławieństwa szefa i oparcia o oficjalny aparat władzy? Chyba wyniknie z tej opowieści, dlaczego pojechałem do Z.

Sprawa ta wypłynęła w dniu, kiedy miałem się spotkać z młodą dziewczyną. Z tą dziewczyną, do której moja miłość przyszła zbyt późno. Chciałem z nią porozmawiać o tej miłości, opowiedzieć o moich obawach, przyznać się do tego ogłuszenia i oślepienia - kiedy tak nagle wyjechałem do - Z. Przyznam się” że byłem z tego zadowolony. Mogłem uniknąć rozmowy, której się obawiałem i która - jak przypuszczałem - niczego nie wyjaśni ani nie uwolni mnie od udręki.

Zatelefonowałem do niej. Powiedziałem, że nie mogę przyjechać.

- Cześć - powiedziała. - Masz nową sprawę?

- Tak, nową. I kilka starych.

- I naprawdę nie możesz?

- Naprawdę.

- Chciałeś mi coś powiedzieć, tak?

- Pogadać chciałem, wiesz.

- A co miałeś mi powiedzieć?

- Chciałem cię zobaczyć.

- Ja też... Czemu nic nie mówisz? Słyszysz mnie?

- A ty - zapytałem - nie masz nic do powiedzenia?

- Może, ale nie wiem, o co ci chodzi.

- O nic. Skąd mogę wiedzieć, jeżeli nie powiedziałaś.

- No pewnie - odparła. - Jak ci leci?

- Jakoś leci. Nie narzekam.

- A nie jest ci smutno?

- Jest. A tobie?

- Także, wiadoma rzecz. Kiedy przyjedziesz?

- To skomplikowana sprawa, ta nowa. Może długo trwać.

- Ja też nie mogę przyjechać. Mam jeszcze dwa egzaminy. U was także tak leje?

- Okropnie - powiedziałem. - Od tygodnia.

Nie wiem dlaczego, ale nie chciałem wspomnieć o mojej emeryturze.

- I znowu masz katar, czuję to.

- Zawsze mam katar, kiedy pada deszcz.

- Może przemakają ci buty?

- Nie - zaśmiałem się - ale u mnie tak już jest.

- A ja miałam katar tylko raz, w lecie, nad morzem. Napiszesz do mnie?

Nie lubiłem pisać listów. Zwłaszcza listów do niej. O pewnych sprawach nie miałem nawet odwagi rozmawiać, więc: tym bardziej nie mogłem w liście. Człowiek piszący list staje i się gadatliwy i zarazem powściągliwy w tych najważniejszych sprawach.

- Napiszesz? - zapytała.

- Może, chyba. Muszę już kończyć rozmowę.

- No to cześć - powiedziała. - Całuję. I trzymam kciuk, żeby ci się powiodło.

- Dziękuję. Będę myśleć o tobie.

- Tylko nie myśl za dużo, bo człowiek wtedy się rozkleja.: Cześć.

- Cześć. Odwiesiła słuchawkę.

Jeszcze przez chwilę trzymałem moją słuchawkę w dłoni. Trzymałem, ją tak długo, aż usłyszałem niecierpliwy głos telefonistki.

- No i co pan? Rozmowa skończona. Siedem minut.

Rozmawiałem tylko trzy minuty, ale niech tam. Dziewczyna robi plan i dobija po kilka minut. Próbowalem kiedyś, w podobnej sytuacji, reklamować, ale one zawsze się tłumaczą, że to automat i że nie mogą mieć racji. Trudno. Mój szef także miał zawsze rację.

Dopiero później, kiedy znalazłem się w Z., na wyspie otoczonej wodą, na wyspie, która wydała się inną planetą, zamieszkałą przez dziwaczne ludzkie stwory, żałowałem, że nie powiedziałem tej dziewczynie o miłości. Rozmowa przez telefon była wygodniejsza i nie czułem się tak głupio jak wtedy, kiedy musiałbym mówić patrząc w jej oczy. Bałem się jej oczu. Nie chciałem się ośmieszyć. W ogóle ta cała historia nie miała żadnego sensu.

W dworku Filomeny pochłonęły mnie inne problemy. Dowiedziałem się o licznych zamachach na życie Filomeny. Zenobiusz miał własną koncepcję tych wydarzeń:

- Może Filomena chce się nas pozbyć, żeby cieszyć się w samotności swoim bogactwem i niczego nam nie dać? Może sama pozoruje te zamachy, żeby nas zgubić?

Pomyślałem: żeby ich zgubić nawet za cenę własnej śmierci? To byłaby namiętność granicząca z szaleństwem, na miarę tragedii antycznej. I byłaby to wielka nienawiść, nie ta nędzna, mała, plugawa, którą wszyscy znają, ale nienawiść straszliwa i fatalna w skutkach.

- Jeden człowiek nie może tego wszystkiego robić - tłumaczyła mi Amelia. - To niemożliwe. A więc kilka OSÓD, tak? Jakby wszyscy chcieli się prześcignąć w tym, kto pierwszy zgładzi Filomenę. I kto zrobi to tak doskonale, żeby nie .zostawić śladów.

Pomyślałem, że w takiej sytuacji nie uwierzę w zbrodnię doskonałą, po której nie zostałyby ślady. Na co liczyli w polowaniu na życie Filomeny? Chyba na mnie, chyba na moją

nieudolną interwencję. Dlatego postępowali tak prowokacyjnie. Ale przecież moja interwencja mogła ich zgubić, śledztwo mogło ujawnić utajone motywy tego działania. W tej sprzeczności tkwił najbardziej zawiliły problem.

- Jak pani rozstrzygnęłaby ten problem? - zapytałam Laury.

- Najmilsza problema to ta, której nie ma - odpowiedziała lakonicznie Laura.

Miała rację. Ale problemy jednak istnieją. Barnaba wówczas dorzucił:

- Pan sierżant się zdziwi. Też coś wiem, ale nie mogę powiedzieć, bo to nic pewnego.

Uwięziony na wyspie, oddzielony powodzią od reszty świata, czułem, moją bezradność wobec uporu tych ludzi, wobec ich milczenia. Miałem wrażenie, że otaczają mnie spiskowcy w maskach. - Zresztą oni wiedzieli, że jestem już na emeryturze.

Co dalej - myślałem - co teraz?

- A teraz, panowie i damy, głęboko oddychamy - powiedziała Laura, jakby domyślając się, nad czym się zastanawiałem, i wiedząc, że nic więcej nie mogłem uczynić, jak tylko głęboko odetchnąć. Raczej westchnąć.

Po tej rozmowie postanowiłem opisać zdarzenie gmatwające się coraz bardziej, odbierające spokój i sen, wciągające mnie w matnię, z której nie widziałem wyjścia.

Bibliotekę w dworku Filomeny zamieniłem na gabinet i sypialnię, i tam, w przeglądanych książkach, odnajdywałem mój nastrój i moje myśli, jakby wszystko było przez kogoś już wcześniej przewidziane. Czytałem w jednej z książek:

„Wówczas postanowiłem, że będę pisać, aby odnaleźć samego siebie, odzyskać dobre samopoczucie i wyjaśnić to, co mi się wydarzyło w tym nienawistnym mieście, aby stawić opór jego złym urokom, aby zbudzić się z odrętwienia, które sączą we mnie jego deszcze... Postanowiłem wznieść dokoła siebie barierę z czarnych linii kreślonych na białym papierze, zdawszy sobie sprawę, jak bardzo jestem już zarażony, jak umysł mój się mąci, ile już mułu zdołało przeniknąć do mojej czaszki, skoro mogłem zapędzić się w tak głupią sytuację i czuć z tego powodu taki ból...”

Działo się to już po zagadkowym zniknięciu Filomeny; być może Filomeny zdrowej i całej, albo - tego najbardziej się obawiałem - tylko jej zwłok.

Wszystko stało się niepewne, zamglone, nierealne. „Atmosfera niezwykła i senna”. Groteska przeradająca się w dramat. I jej główny bohater - sierżant nie prowadzący śledztwa, ale poszukujący prawdy, opłatany siecią niewidzialnych nici zacieśniających się coraz bardziej i bardziej. Me mogłem się z nich wyplątać.

Padł deszcz.

Jest jak jest

Kiedy padły słowa „cyjankali” i „skorpion”, Amelia gwałtownie wstała i z trzaskiem odstawiła ciężkie krzesło.

- Czy wyście oszaleli? - zawołała. - Stąd tutaj skorpion? Nie mieszkamy w tropiku. Są w okolicy zaskrońce, czasami ktoś zobaczy padalca, a z jadowitych stworzeń można się niekiedy natknąć na żmiję. Albo zatłuką ją kijem, albo uciekają przed nią. Ale nikt jeszcze nie zginął w Z. od ukąszenia żmii! I nikt, od Bałtyku aż po Tatry, nie zginął w Polsce od ukąszenia skorpiona!

- Amelio - odezwał się Zenobiusz - przecież nikt nie powiedział, że Filomena zginęła! Więc o co idzie?

- Ale skąd ten skorpion? - dopytywała Amelia. - Może był sztuczny, zasuszony, wypchany? Czy ciocia widziała, jak się poruszał, jak wpadał do szklanki?

- Nie - wyjaśnił Barnaba. - On już był w szklance, kiedy ciocia się zbudziła. Prawda, ciociu?

- A skąd wiecie, że w kefirze było cyjankali? - pytała Amelia. - Kto to wymyślił?

- Bo skorpion nie żył. Coś musiało go zabić.

- Gdzie jest szklanka, i gdzie skorpion?

- Wyrzuciłam gada - powiedziała Filomena. - I gotowa jestem wyrzucić was wszystkich, jak teńo skorpiona, jeśli nie dowiem się, kto to wszystko robi. Wy mnie jeszcze nie znacie! Kto to robi?

Filomena znowu obserwowała twarze obecnych, jakby chciała je przeświecić przenikliwym wzrokiem, dotrzeć do ich serc i mózgów, poznać uczucia i myśli. Lecz twarze tych ludzi niczego nie wyrażały, prócz zainteresowania.

- Byłem pewny - pierwszy odezwał się Zenobiusz - że kucharka to robi. Ona wszystkim robiła jakieś kawały. Była jak symbol przeznaczenia, który... O czym to ja mówiłem? Aha, że los zastawia pułapki i jest przewrotna.

Filomena z politowaniem spojrzała na Zenobiusza.

- Los nie rozsypuje śrutu na podłodze ani nie używa piły do podcięcia schodów, ani nie zrzuca żyrandolu na fotel, na którym zawsze siadam. Zastanów się, a później mów o losie. Co chciałaś powiedzieć, Lauro?

- Kucharka dała mi raz na kolację deseczkę opiekaną w jajku i w tartej bułce. Zatrzęsłam się ze śmiechu.

- A mnie - dodał Barnaba - dała raz na śniadanie wydmuchaną skorupkę od jajka, napelnioną parafiną. Na pewno kucharka robi cioci wszystkie kawały.

Amelia oparła dłonie o wysoką poręcz krzesła, za którym stała. Była zdenerwowana i zaskoczona tym, co usłyszała.

- Od parafiny w skorupce ani od opiekanego klocka nikt jeszcze nie umarł. Natomiast to, co wyprawia się z ciocią, zagraża jej zdrowiu, może nawet życiu. Nim woda zerwała mosty i podmyła drogi, odwozłam kucharkę do szpitala. - Nikt nie mógł się tu przedostać, żeby dzisiaj wrzucić skorpiona do szklanki. Musimy się zastanowić. Może ktoś chce Filomenę tylko nastraszyć? Może. Ale po co? po przez to osiągnie?

- Nastraszyć? - zawołała histerycznie Filomena. - Nastraszyć? Ktoś chce mnie zabić! Za co? - krzyknęła głośniejsze. - Po co? Dlaczego?

- A więc - powiedziała spokojnie Amelia - robi to tak, żeby na nikogo nie padło podejrzenie. Żeby odpowiedzialnością za śmierć Filomeny obciążyć przypadek. Jeszcze raz musimy zapytać: po co? Dlaczego? I musimy zapytać: kto to robi? Kto chce zabić Filomenę? Kucharka nie podpłowała schodów, nie przyniosła skorpiona ani nie wsypała do mleka cyjankali. Od kilku dni jest w szpitalu. No więc jeszcze raz zapytam: kto i po co?

Nikt się nie odezwał.

Milczenie przedłużało się nieznośnie.

Amelia podeszła do Filomeny.

- Przykra sprawa, bardzo przykra.

- Zwłaszcza dla mnie - odparła drwiąco Filomena. Laura uśmiechnęła się.

- Co tam. Jest, jak jest, a co będzie, to będzie. No nie, Barnaba?

- Lauro, tu chodzi o życie naszej kochanej cioci!

Laura pogardliwie wydeła usta, machnęła w powietrzu dłonią.

- Raz się żyje, a później już się tylko straszy.

- Lauro, kochanie, tu nie ma miejsca na żarty - powiedział Zenobiusz.

- W takim metrażu zawsze znajdzie się miejsce na kącik humoru.

- Lauro, kochanie, jeżeli jeszcze raz... Zenobiusz nie dokończył zdania.

Do salonu weszła pokojówka w koronkowym fartuszkach i z przepaską na głowie. Na tacy, którą trzymała w ręku, z trzaskiem kładła, nieomal rzucała, talerzyki, filiżanki i kieliszki zbierane ze stołu.

- Gienia zjadła? - zapytała Filomena.

- Tak, proszę pani.

- Obiad zjedzony, dzień zaliczony - powiedziała Laura.

- To była kolacja - poprawił Barnaba.
- Też należy do jedzenia - stwierdziła Laura.

Gienia postukiwała talerzykami. Trudno było pojąć, dlaczego nie rozlatują się w drobne kawałki.

Zenobiusz przy każdym gwałtowniejszym ruchu Gieni przymykał powieki, cierpiał.

- Filomeną - nieśmiało zaczął - czy nie zauważyłaś, że Gienia zachowuje się niewłaściwie? Cały twój serwis pójdzie w drobny mak.

- Tak, proszę pana - powiedziała Gienia.

- Co się stało, Gieniu? - zapytała Filomena.

- Tak, proszę pani.

- Może deszcz wprawia Gienię w taki humor? - zapytała Amelia.

- Tak, proszę pani - monotonicznie powtarzała Gienia.

- To nie humor, ale rumor - zauważyła Laura.

- To na pewno ta okropna pogoda - dodała Laura.

- Lepsza taka pogoda, niż jakby miała nie być wcale - stwierdziła Laura.

Zenobiusz spojrział na Laurę. Przypatrywał się, zastanawiał się nad sensem jej słów. Wreszcie zrozumiał.

- Kochanie - powiedział - jak może nie być wcale pogody? Zawsze jest jakaś pogoda. Lepsza albo gorsza, ale jednak jest.

Laura chwyciła w powietrzu filiżankę spadającą z tacy.

- Zenek, nie znasz życia. Gienia jest zła, bo ma jeden etat, pokojówki, a teraz musi pracować także za kucharkę. Po odwiezieniu kucharki do szpitala, ciocia zrobiła kompresję etatów. Prawda, Gieniu?

- Tak, proszę pani - odparła Gienia i trzasnęła talerzykiem o tacę, aż podskoczył o kilka centymetrów.

- Gieniu - powiedziała Filomena - jak opadną wody, kucharka do nas wróci. Znowu będzie gotować i podawać do stołu.

Amelia spojrzała na Filomenę, później na Gienię.

- Skończyło się podawanie.

- Czy kucharka chce od nas odejść? - zapytał Zenobiusz.

- Już odeszła. Na zawsze.

Gienia znieruchomiała. Trzymała oburącz tacę wspartą o stół i patrzyła na Amelię.

- Cierpiała na zwyczajną w jej wieku niestrawność - powiedział - Zenobiusz.

- Tak - przytaknęła Amelia. - Arsenik jest bardzo niestrawny.

I znowu rozległ się chór głosów:

- Arszenik!

Filomena skuliła się w fotelu. W jej poszerzonych źrenicach czaił się lęk. Z trudem powiedziała:

- Gienia może się oddalić. Wskazała hebanową laską sufit.

- I Gienia zanieś herbatę paniczowi Eligiuszowi.

- Tak, proszę pani - szepnęła Gienia.

Zadrżały jej usta, zaczęła płakać. Zostawiła tacę na stole i szybko wybiegła z pokoju zakrywając dłońmi twarz. Drzwi wiodące z salonu na korytarz zostawiła otwarte.

- Tu nie Afryka - zawołała za nią Laura - trzeba drzwi zamykać.

- Kochanie, zostaw Gienię w spokoju.

- Żegnaj, Gienia, świat się zmienia - dorzuciła Laura. Zawsze zostawiała sobie prawo do ostatniego słowa.

- Kochanie, znowu zaczynasz? - zapytał Zenobiusz. - I to w obliczu podstępnej śmierci!

- Zenek, coś ty. Mówiłam tylko o drzwiach. Boję się przeciągów, bo kiedyś mnie wywieje.

Filomena skuliła się jeszcze bardziej w głębi fotela. Nie słyszała, o czym Zenobiusz rozmawia z Laurą. Niewidzącymi, zamglonymi oczyma patrzyła przed siebie. Kurczowo zaciskała wyloni srebrną gałkę hebanowej laski Poruszyła bezdźwięcznie ustami, z których ktoś uważny mógłby odczytać słowo: arszenik.

Padął deszcz.

Detektyw także zabija

Wielokrotnie zastanawiałem się nad reakcją mieszkańców dworku, kiedy dowiedzieli się, że kucharkę otruto arsenikiem - a więc trójtlenkiem arsenu, którego związki znane były już w starożytności; znaleziono ich opis pochodzący z XII wieku. Przypomniałem sobie, że istnieją dwie odmiany polimorficzne trójtlenku arsenu: jedna jest trwała, krystaliczna i bezbarwna, a druga, o nieco mniejszym ciężarze właściwym, bezpostaciowa, szklista i przezroczysta. Dawką śmiertelną może być minimalna ilość arsenu, jedna dziesiąta grama.

Kiedy Amelia powtórzyła, o czym dowiedziała się ode mnie, wszyscy w pierwszym odruchu zaskoczenia zawołali: „arszenik”. Była to dla wszystkich wiadomość szokująca. W takim razie można założyć, że żadna z obecnych w salonie osób nie wiedziała nic o otruciu

kucharki, żadna nie spodziewała się jej śmierci. Amelia zareagowała podobnie, kiedy powiedziałem jej o otruciu arsenikiem. A pokojówka z płaczem wybiegła z pokoju.

W jednej z książek w bibliotece (odkupił ją w całości Eligiusz, syn Filomeny, od starego antykwariusza w miasteczku powiatowym N.), przeczytałem, że każda powieść kryminalna musi być zbudowana na dwóch morderstwach. Pierwsze morderstwo, popełnione przez jego sprawcę, jest tylko pretekstem, raczej okazją do popełnienia drugiego. Tą drugą ofiarą staje się właśnie morderca, którego unieszkodliwia inny „morderca”, a więc oficer śledczy czy też detektyw, morderca niewinny i bezkarny, „który posyła go na śmierć - jak pisze autor tych subtelnych rozważań - posługując się nie jakimś nikczemnym sposobem, jaki stosował tamten morderca, nie trucizną ani sztyletem, ani pistoletem z tłumikiem, ani jedwabną pończochą użytą zamiast stryczka, lecz ujawnioną prawdą”.

Właśnie ja - powodowany nie rozkazem, lecz tylko pasją moralną - miałem ujawnić prawdę i na mnie padł ten szlachetny! straszliwy zarazem obowiązek zgładzenia, w pewnym określonym sensie, prawdziwego mordercy.

Autor wspomnianej powieści, jednej z przereklamowanych i głośnych swego czasu powieści awangardowych, ochrzczonych przekorną i naiwną nazwą „antypowieści”, dowodził wnikliwie, że detektyw (a więc i policjant czy milicjant prowadzący śledztwo) jest istotnym wykonawcą (powiedziałbym, że raczej sprawcą) wyroku na mordercy.

Natomiast prokurator, kat, cały aparat prawny, agenci Scotland Yardu czy Quai des Orfevres, są właściwie tylko narzędziami w jego ręku, przy czym ci ludzie mają na ogół za złe detektywowi, że miesza się w ich sprawy w celu zupełnie odmiennym od celu „ich pracy: oni są strażnikami ustalonego ładu narażonego na różne niebezpieczeństwa, on zaś, detektyw, musi działać, mącić spokój, dociekać, wydobywać pewne sprawy na światło dzienne, ukazywać ich sens i znaczenie.

Detektyw, jak słusznie zauważył autor, nieraz kpi z tego całego aparatu i ustanawiając się niekiedy jedynym sędzią, pozbawia go zdobyczy.

Nie byłem prywatnym detektywem i nie mogłem uzurpować sobie prawa do sądenia mordercy, tego mordercy, którego jeszcze w ogóle nie znałem. Słyszałem jego oddech, rozmawiałem z nim, zapewne podawałem mu w dworku Filomeny rękę; mówiliśmy sobie „dzień dobry” i „dobranoc”, uśmiechaliśmy się do siebie i patrzyliśmy sobie w oczy, ale nie mogłem przejrzeć jego gry, tak jak on nie mógł przeniknąć moich myśli i nie wiedział aż do końca, czy podejrzewam go, czy też uważam za niewinnego. Oto ów „prawdziwy urok życia - urok gry”, jak pisałem na wstępie tych notatek!

Pisarz, który dowodził, że każda powieść kryminalna zbudowana jest na dwu morderstwach, przewidział również sytuację, w jakiej sam się znalazłem, sytuację pełną omyłek i nieświadomości, również podstępów i kłamstw, które trzeba było obalić. Czytałem:

„Ogromna większość stosunków, jakie łączyły osoby dramatu, utrzymywała się tylko dzięki omyłkom, nieświadomości i kłamstwom, które on - detektyw - usuwa, ugrupowanie aktorów dokonuje się na nowej zasadzie, kiedy jeden z uczestników danego zespołu zostaje automatycznie wyeliminowany”.

Zdumiewający i wręcz niesamowity był fakt, że w dworku Filomeny nie ja, lecz los eliminował kolejno podejrzanych, i tylko w ten sposób osoby te „automatycznie zostały wykluczone”.

Czytałem w cytowanej „antypowieści”, że całe życie człowieka, który prowadzi śledztwo i tropi przestępcę, nastawione jest na tę cudowną chwilę, kiedy jego wyjaśnienia, rewelacje i słowa, jakimi demaskuje („słowa wypowiedane najczęściej w tonie uroczyście smutnym, jakby w chęci złagodzenia straszliwego wybuchu”) - powodują klęskę i zgubę winowajcy i przynoszą mu zasłużoną karę, nawet śmierć, „której domaga się detektyw jako jedyne go faktu ostatecznego... na tę chwilę, gdy przekształca on rzeczywistość, oczyszcza ją samą tylko potęgą swej przenikliwej, zgodnej z prawdą wizji”.

Stąd właśnie autor wysnuł ów wniosek, że pierwsze morderstwo jest nie tylko powodem, ale i prefiguracją drugiego zabójstwa, przygotowanego przez detektywa i stanowiącego spełnienie tego, co pierwsze morderstwo zaczęło i pozostawiło w zawieszeniu. Tak więc detektyw nie tylko musi rozwikłać zagadkę, ale również zaprowadzić na szafot tego człowieka, mordercę, któremu zawdzięcza swą władzę nad nim i bez którego nie istniałby jako detektyw i mściciel. Autor zakłada, że zbrodnia niewinna i bezkarna, popełniona przez detektywa na mordercy, była mu przepowiedziana od urodzenia czy też, jeśli wolicie, była mu pisana, bo dzięki niej stał się on władcą, stał się sobą, i dzięki niej „piastuje władzę wyższą od tej, jaką nadaje nam życie w społeczeństwie”.

Nie zastanawiałem się dawniej nad czymś, co można by nazwać filozofią śledztwa, raczej filozofią losu i działania człowieka, który prowadzi dochodzenie. Teraz dostrzegłem w rozumowaniu cytowanego pisarza sporo prawdy.

Niekiedy sam odczuwałem ciężar tej „władzy wyższej”, jaką byłem obarczony z racji mego zawodu, władzy, od której zależy, czy zło pozostanie zatajone, czy przestępcę ukryje cień, czy ludzkiej sprawiedliwości stanie się zadość - a jednak, o tym ów pisarz nie wspominał, była to władza bardziej ograniczona niż jakakolwiek inna.

Tego wieczoru, kiedy Amelia obwieściła, że kucharka została otruta, dokonano w dworku Filomeny nowego i zuchwałego zamachu na czyjeś życie, lecz właściwie nie było wiadomo, na czyje.

Wydarzenie to spowodowało serię dalszych fatalnych poczynań; nie zakończyły się bynajmniej na scenie, którą dostrzegłem w blasku błyskawicy przez szkła lornetki polowej, po przybyciu na wzgórze stanowiące naturalny fundament dworku Filomeny B., na scenie, której główną postacią była kobieta wychylająca się przez okno, wołająca o pomoc i brutalnie od tego okna odciągnięta.

Deszcz wciąż padał.

Wszystko było spowite mgłą i wodą, i ciemnością huczącą od wiatru i spienionej dziko rzeki.

Odcięci od świata

Opisując przedstawione tu wypadki, zastanawiałem się, czy wolno mi napomykać, o czym myśleli ludzie przebywający w dworku Filomeny. Przecież nie wiedziałem, co czuli, nie znałem ich myśli ani uczuć. Wiemy tylko, o czym ludzie mówią, i znamy tylko ich czyny, ich działania. Jak na scenie, jak w dramacie, jak w życiu.

Tylko to jest nam dostępne, nic więcej, a cała reszta przy opisywaniu ludzi jest przypuszczeniem; można użyć także słowa „domniemanie”. Lecz nawet mówienie i działanie nie zawsze musi być prawdziwe. Rozmaite, utajone przed nami motywy i pobudki mogą skłonić ludzi do mówienia niezgodnego z ich prawdziwymi myślami i do działania sprzecznego z ich prawdziwymi zamierzeniami i intencjami.

Postanowiłem więc unikać konstrukcji, które są tylko hipotezami i domysłami, poprzestając wyłącznie na konkretnej, bezpośredniej obserwacji. Tak więc pozostawał mi tylko dialog (rozmowy odtworzone i te, w których uczestniczyłem, opis sytuacji i czyny, działanie, gesty, ruchy) i moje własne myśli. Nic więcej.

Przekonany o słuszności takiej metody i zarazem ograniczony nią, przystąpiłem do obiektywnego opisywania przedstawianych tu wydarzeń.

- Ciociu - odezwał się Barnaba - to straszne, że ktoś prześladowuje ciocię. Ja ciocię wyczuwam. Ale co zrobić, żeby skończyły się te dziwne... no, ciocia wie, te wszystkie... i żeby ciocia miała spokojną głowę?

- A jak wy myślicie? - zapytała podstępnie Filomena. Laura odpowiedziała pierwsza:

- Trzymajmy się ramy, to się nie damy. Jedyńy sposób, żeby ucieszyć kilka osób. Ciocia powinna...

- Kochanie - przerwał jej Zenobiusz - prosiłem cię, żebyś wystawiała dwa palce, kiedy chcesz coś powiedzieć. Uniknęłabyś wtedy wielu głupstw, a niekiedy kompromitacji.

- Zenek, już boli mnie ręka od wystawiania palców. Bo zawsze mam coś do powiedzenia, nawet jak nic nie mówię. - Wolałabym wystawiać nogi.

- Lauro - wtrąciła Filomena - o tych sprawach porozmawiacie po ślubie. Teraz przystąpmy do rzeczy. Co tu ukrywać, wśród was znajduje się wielokrotny morderca. Gdyby nie szczęśliwy przypadek, zginęłabym już co najmniej siedem razy. Czy nie mam racji, Amelio?

- Oczywiście. To prawdziwy cud, że ciocia jeszcze żyje.

- Tak, moja droga. Ale cuda nie trwają na tym świecie zbyt długo.. Nawet prawdziwa miłość nie trwa długo. Mój nieboszczyk mąż... Czego chcesz, Lauro? Czy masz coś na temat?

- Mam, ciociu. Jak było, tak było, ale się skończyło.

- Debrze, dziecko. Skończyło się. Moje słowa. Otóż postanowiłam, że od jutra będę was bacznie obserwować. A po upływie roku zapiszę cały majątek tylko osobie, która na to godziwie zasłuży.

- I ten dwór?

- Tak.

- I klejnoty?

- Tak.

- I całą gotówkę?

- Tak.

- Wszystko jednej osobie?

- Wszystko - potwierdziła Filomena. - Powiedziałam. Barnaba zatarł ręce i uśmiechnął się przymilnie.

- No to chyba mnie. Bo nikt tak: nie kocha cioci, jak ja.

- Jeżeli Barnaba weźmie wszystko - żaliła się Laura - to żegnaj lalu, koniec balu.

- Od kiedy odziedziczyłam fatalny spadek - ciągnęła Filomena - wszyscy mnie szanują, nawet w Ubezpieczalni. Ekspedientki odkładają dla mnie lepszy towar, a babcia w kiosku zostawia mi „chodliwe” tygodniki. Tylko wśród moich najbliższych nikt o mnie nie dba. Wy marzycie o mojej śmierci - Filomena podniosła głos - tak wygląda prawda! Ale ostrzegam was: jeżeli umrę przedwcześnie, nikt nie dostanie ani grosza. Powiedziałam.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Filomena wstała.

- Dobrej nocy - dodała. I skierowała się ku wyjściu.

- Dobranoc, kochana ciociu - odpowiedzieli chórem. Filomena spojrzała na nich i zaśmiała się z odcieniem triumfu. Był to jednak triumf przedwczesny. Wyszła z salonu.

Czekali, aż ucichną jej kroki. Wtedy Laura powiedziała:

- Wesoło jak na pogrzebie.

Zenobiusz skinął głową. Wstał, podszedł do okna, później do lustra. Oglądał odbicie swej twarzy i powiedział jakby do siebie, w zamyśleniu:

- Co w tym wszystkim się kryje?

Amelia spojrzała na Zenobiusza.

- Nie wierzę w krasnoludki. Ktoś musi to robić.

- Może zwykły zbieg okoliczności? - zapytał Barnaba.

- A ja wam powiem - odezwał się Zenobiusz - że trucizna w makaronie nie może być zbiegiem okoliczności. Dlaczego jednak kucharka, obdarzona wyjątkowo subtelnym smakiem i powonieniem, nie wyczuła w potrawie arszeniku? Kto na to odpowie?

- Ja - rzuciła Laura. - Arszenik nie kielbasa, nie pachnie.

- I słusznie - zgodził się Zenobiusz.

Amelia stała przed ozdobnym ściennym zegarem. Spojrzała na swój zegarek, sprawdziła godzinę i palcem przesunęła dużą złoconą wskazówkę ściennego o kilka minut wstecz. Podeszła do telefonu. Podniosła słuchawkę i przez kilka minut nasłuchiwała, naciskając i zwalniając widelki.

Nie było sygnału.

- Do kogo dzwonisz? - zapytał Barnaba.

- Do nikogo - powiedziała Amelia. - Chciałam sprawdzić, czy telefon działa. Widocznie powódź zerwała już albo uszkodziła przewody telefoniczne. Jesteśmy odcięci od świata.

- Mnie tam wszystko jedno - wtrąciła Laura - no nie, Zenek?

- Prócz nas - głośno rozmyślał Zenobiusz - mieszka jeszcze w oficynie Filip. I ten stary felczer. Jeżeli sami nie robimy tych niemądrych zamachów, to chyba tylko oni..

- A jeżeli nie oni? - zapytał Barnaba. - To kto?

- Kucharka wyeliminowała się automatycznie.

- To nic pewnego, Zenobiuszu - powiedział Barnaba.

- Coś bardzo pewnego. Jeżeli kucharka zjadła makaron z arszenikiem, to znaczy, że ona nie wsyłała go do makaronu - dowodziła Amelia. - Jadła kolację razem z pokojówką, w

kuchni, i gdyby Gienia wiedziała cokolwiek o arseniku, ostrzegłaby ją albo w jakiś inny sposób, przeszkodziła. Gienię możemy także wykluczyć.

- Bawisz się w oficera śledczego? - zapytał Barnaba. - Felczer nie wchodził do dworu co najmniej od tygodnia. Nic nie wymyślisz, Amelio, nic mądrego. Wiem, co mówię.

- Jest ktoś - odparła - kto już zajął się sprawą. Rozległy się pomieszane głosy.

- Jak to?

- Nie rozumiem..

- Kto?

- Kiedy?

- Ty?

- Skąd wiesz?

- Przecież jesteśmy odcięci od świata! Więc jak?. Wpatrzyli się w Amelię.

Wielką ciszę oczekiwania rozbił nagle głośny rumor. Jakby wielki ciężar toczył się po schodach. Jakby ludzkie ciało, rzucone z siłą, uderzało o, skrzypiące deski.

Zerwali się z miejsc.

- Filomena - ktoś szepnął.

Za drzwiami rozległ się przenikliwy jęk. Nikt nie ruszył się z miejsca.

Zastygli w swych nienaturalnych pozach, jakby jeszcze na coś czekali. Padał deszcz.

Dziwny jest ten świat

Powoli otwierały się drzwi salonu.

Ukazała się w nich Filomena. Była pochylona do przodu, wsparta na lasce. Lewą rękę miała nisko opuszczoną, na prawą nogę kulała. Barnaba i Amelia podbiegli do Filomeny i podtrzymując ją, podprowadzili do fotela.

Filomena przez chwilę przypatrywała się Zenobiuszowi i Laurze. Później Amelii.

Amelia zapytała:

- Co się stało?

- Chyba zwichnęłam rękę - cicho, powiedziała Filomena. - Może nawet złamałam.

Runęłam jak w przepaść.

- Ciocia zjeżdżała po poręczy? - zapytała Laura.

- Spadłam ze schodów.

- Wypadki chodzą po ludziach - oświadczył Zenobiusz. - Zawsze mówiłem, że życie...

- Chyba tym razem - powiedziała Amelia - nie usłyszymy, że któreś z nas zrzuciło ciocię ze schodów?

- Nie mam tej pewności - odparła słabym głosem Filomena.

- Na górze jest tylko Eligiusz - przypomniał Zenobiusz.

- Ale kondycję to ciocia ma! - zauważyła Laura. - Gdy bym ja tak sfrunęła ze schodów, zostałyby ze mnie same ogryzki i trochę pestek. Był taki huk, jakby dom się walił. Na olimpiadzie murowane złoto za skok w dal.

- Lauro! - zawołał Zenobiusz. - Kochanie, jak możesz...

- Wcale nie mogę. Właśnie tłumaczyłam cioci, że ja bym nie mogła.

- Daj dziecku spokój, Zenobiuszu - powiedziała Filomena. - Byliście tutaj, to prawda.

Poza salonem jest kilka osób: Eligiusz leżący na wyciągu, Gienia, felczer i poczciwy Filip.

W tym momencie do salonu wszedł Filip. Powoli przemierzył pokój ciężkimi krokami. Sprawdził, czy okna, są zamknięte, i wyszedł do przyległego pokoju. Słyszeli, jak zapala tam światła i jak później je gasi.

- Na pewno nie Filip - powiedział Barnaba. - Gienia także jest u siebie. Nawet słyszałem stuk garnków i pokrywek. A my tutaj - Laura wystawiła do góry dwa palce.

- Dobrze, dziecko, że jesteś - powiedziała Filomena. - Beztroskim i radosnym szczebiotam rozpraszasz ponury nastrój. Gdyby nie ty, człowiek nie wytrzymałby takiej atmosfery. Co chciałaś powiedzieć, Lauro?

- Że trzeba wykrecić na milicję i po krzyku.)

- Telefon nie działa - przypomniała Amelia.

- W ogóle nie trzeba telefonować. Mój nieboszczyk mąż - mówiła Filomena - był przed wojną prywatnym detektywem. I muszę wam powiedzieć, bo co tu ukrywać, że większość spraw ja za niego rozwiązywałam. We wszystkim mnie się radził. Poradzę sobie także z tą sprawą. Wy mnie jeszcze nie znacie.

- Ale ja ciocię wyczuwam - powiedział Barnaba.

- Filomeno - zapytał Zenobiusz - czy ktoś ciebie pchnął?

- Nie, jeśli mnie pamięć nie zawodzi. To było coś innego. Jakaś wielka siła mnie wyrzuciła, jakby schody nagle się zapadły.

- Zdziwicie się - odezwał się Barnaba - ale to trzeba jeszcze dziś wyjaśnić. Zajmę się sprawą.

Amelia stała przy oknie nieco pochylona, z twarzą przytuloną do szyby, jakby wypatrywała kogoś w ciemności. Nie odwracając się, powiedziała:

- Już ktoś się tym zajął. Powinien tu być. Powiedział, że przyjedzie. Sierżant z milicji. Były sierżant, ale zna się na tym.

- Po co tu przyjedzie?

- Umówił się ze inną. Interesuje go to, chociaż ktoś inny - poprowadzi śledztwo w sprawie otrucia naszej kucharki. Rozmawiałam z nim w szpitalu. Powiedział...

Usłyszeli odgłos ciężkich kroków. Przez salon znowu przeszedł Filip z dwururką zwisającą z ramienia. Szedł w odwrotnym kierunku nie zwracając uwagi na nikogo. Kiedy zniknął za drzwiami, Filomena powiedziała:

- Mnie tu nie trzeba żadnych sierżantów. Sama wszystko wyjaśnię. Barnabo, drogi chłopcze, wejdź ostrożnie na schody i sprawdź, co to mogło być. Zobacz, czy nie ma tam gdzieś jakiej skórki od banana albo czy ja wiem... Coś musi tam być.

Barnaba podszedł ku drzwiom.

- Ja wszystko dla kochanej cioci - powiedział. - Wszystko!

Kiedy już wyszedł, Laura westchnęła.”

- Lubię banany. Wbijaj w krzyże, póki świeże, jak mówi poeta.

Zdumiony Zenobiusz długo wpatrywał się w Laurę, nim uświadomił sobie, co powiedziała.

- Kochanie, który poeta tak powiedział? Chyba nie Mickiewicz!

- Zenek, mów większymi literami, bo nic nie słyszę. Rozległ się hałas na korytarzu, jakby ktoś upadł. Później gwałtownie otworzyły się drzwi. Stał w nich Barnaba, ku” lejąc i pocierając kark.

- Ciociu...

- Mów śmiało, drogi chłopcze. Nie mamy nic do strącenia.

- Ciociu, nie mogę tego powiedzieć.

- Rozkazuję pod groźbą wydziedziczenia.

- Ciocia tylko tak straszy.

- Mów!

- Schody są posmarowane mydłem.

I znowu, jak na znak dany przez niewidzialnego dyrygenta, wszyscy zawołali:

- Mydłem!

Pierwszy oprzytomniał Zenobiusz.

- Zawsze mówiłem... Ale teraz nie powiecie już, że to kucharka. Co krok na tym padole leż czyha na człowieka brutalna zasadzka. I tak przemija całe nasze marne życie.

Amelia odwróciła się od okna.

- Skąd wicie - zapytała - że to była zasadzka na ciocie, a nie na mnie? Właśnie po tych schodach inuszę wchodzić do pokoju Eligiusza. I po tych schodach wchodzi do niego również Gienia. Codziennie, po kilka razy.

- A ja wam powiem - rzuciła Laura - że zawsze trzeba trzymać się poręczy.

- Daj spokój - ofuknął ją Barnaba. - To niczego nie wyjaśnia.

- Wszystko wyjaśnia. Kto trzyma się poręczy, ten się nie zmęczy.

Amelia patrzyła na Laurę z nieukrywanym zdumieniem, nawet z podziwem. Nigdy nie wiedziała, z czym ta dziewczyna wyskoczy. Reakcje Laury szokowały wszystkich.

- Lauro - powiedziała Amelia - jesteś słodka idiotka.

A na to Laura:

- Ze słodczy najlepsza jest szynka.

- O Boże! - jęknął Zenobiusz. - Szynka? Wtedy Laura:

- Porozmawiajmy poważnie: jak ciocia się czuje?

- Dziękuję, że się o mnie troszczysz, Lauro. Trzeba przyprowadzić felczera z oficyny, on mnie opatrzy.

- Przepraszam, że się wtrącam - powiedziała Amelia - ale felczer weterynarii? On nie może...

- Na zwichnięciach każdy weterynarz się zna - przerwała niecierpliwie Filomena. - Przyprowadźcie go do mojego pokoju. Na razie tyle, moi drodzy. Jutro wieczorem powiem wam ostatecznie, co o tym wszystkim myślę. I wydam odpowiednie zarządzenia. Ach - jęknęła - moja raka! Barnabo, zagrasz nam coś na gitarze. Lubię muzykę, to mnie i uspokoi. Pomóście mi...

Laura i Zenobiusz, podtrzymując Filomenę, pomogli jej wstać z fotela.

- Odprowadźcie mnie do pokoju Ach, moja ręka, moja; ręka...

Zenobiusz przy pomocy Laury wyprowadził Filomenę z salonu.

Barnaba został z Amelią. Sięgnął po elektryczną gitarę i uderzył w struny. Rozległa się melodia *Dziwny jest ten świat*.

- Szkoda, że tego nie skomponowałem - mówił, nie przerywając gry. - To się nazywa mieć pecha. Szlagier gigant!

Amelia stała za Barnabą, oparła dłoń na jego ramieniu.

- Barnabo, już nie wytrzymuję nerwowo. Od tego można oszaleć. Co tutaj się dzieje?

- Jeszcze trochę cierpliwości. Zaczekaj.

- Na co mam czekać?

- Amelio, powiedz mi, ale tak od serca: czy mnie wyczuwasz?

- Nie lubię wielkich słów. Czemu pytasz? Wciąż grając, spojrzął przelotnie na Amelię.

- Warto wiedzieć - powiedział.

- A może nie warto? - zapytała Amelia.

- Może i tak. Życie nie ma sensu. Człowiek jest z drugim człowiekiem i nic o nim nie wie.

- Tym lepiej. Gdyby ludzie wiedzieli o sobie za dużo, nie wytrzymałoby ze sobą. Ale zostawmy „złote myśli”. Powiedz mi raczej...

Barnaba zaczął śpiewać załamującym się tenorowym głosem, zmieniając dowolnie słowa piosenki:

Dziwny jest ten świat i dziwni są ludzie
a człowiek człowiekowi wilkiem jest.

Amelia przybliżyła swoją twarz do jego twarzy i cicho zapytała:

- Barnabo, kto to wszystko robi? Barnaba przerwał śpiew, ale nadał grał.

- Może ktoś naprawdę chce zabić ciocię - odparł.

- I wszystko popsuje, rozdrażni tylko Filomenę. Trzeba temu przeszkodzić. Ale jak?

- Ktoś nie ma odwagi zrobić tego wprost, na własne konto, ryzykując własną głową.

Szuka więc pomocników w przedmiotach. Podpiłowane schody, zerwany żyrandol, mydło na schodach, rozsypany śrut...

- Myślisz, że to wszystko robi jedna osoba?

Barnaba uśmiechnął się, odjął na moment palce od strun gitary i poruszył nimi tak, jakby zdrętwiały.

- Zdziwisz się - powiedział. - Ten świat jest naprawdę dziwny, ale nie wszystko można wyrazić.

- Powiedz - nalegała.

- Domyślam się tylko.

Przekreślił gałkę potencjometra i szarpnął silniej strunami. Grał coraz głośniejsze. Padał deszcz.

Oskarżenie Filomeny

Noc minęła spokojnie.

Następnego dnia wszyscy zebrali się w salonie, wokół rzeźbionego stołu. Gdyby nie ręka Filomeny zawieszona na temblaku z czarnego jedwabiu, mogłoby się wydawać, że jeszcze wciąż trwa miniony wieczór.

Siedzieli w milczeniu, wpatrzni w usta Filomeny.

- Moi drodzy - powiedziała Filomena - po wczorajszym zamachu na moje życie...
Lauro, co cię tak rozśmieszyło?

- To mydło na schodach. Stary kawał, ale zawsze śmieszny, no nie, Zenek? A jak ciocia uważa?

- Kochanie, ja proszę! - zawołał Zenobiusz. - Zgroza, co ty mówisz.

- Daj spokój, Zenobiuszu. Lauro, dziecko drogie, wiem, że twoja wyobraźnia nie może sobie przyswoić czegoś tak niehumanicznego, jak zamiar zgładzenia starszej kobiety, która okazała wam tyle serca. Reagujesz na to jak niewinny i zdrowy psychicznie człowiek, dlatego wybaczam ci twój śmiech. Masz duszę nie skalaną występkiem i czystą.

- Tak, ciociu - przytaknęła Laura - czysta to ja jestem. Codziennie biorę prysznic. A co do duszy, to co se nie mam, jak se mogę. No nie, ciociu?

- Ja w twoim wieku... - zaczął z namaszczeniem Zenobiusz, lecz Laura nie dopuściła go do głosu.

- Coś ty, Zenek. To było dawno i nieprawda.

- Moje słowa, Lauro - powiedziała Filomena. - W twoim wieku także nie stroniłam od uciech doczesnych i nikt nie mógł złego słowa powiedzieć. To były czasy! Zenobiusz wie; jakie miałam powodzenie. Nie mogłam się opędzić od młodych ludzi, klękali przede mną, a i starsi panowie o mnie zabiegali. Co tu ukrywać, jeszcze wtedy żyli prawdziwi mężczyźni. A dzisiaj?

- Tak prawdę mówiąc, Filomeno - nieśmiało napomknął Zenobiusz - wcale nie opędzałaś się od mężczyzn. Ceniłaś ich towarzystwo, amory i zaloty. Kwiaty przyjmowała! i bombonierki też. Tak, tak, pamiętam.

Stara kobieta uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- Nie przeczę, Zenobiuszu. Ale Laura ma rację, kiedy mówi, że raz się żyje, a potem już się tylko straszy.

- Jak się mówi, to się wie - powiedziała Laura. - Kwiatów nie dostawałam, ale także umiałam się zabawić. Nawet raz sąsiedzi zawołali dzielnicowego. Życiowy był i nie wysłał na kolegium, bo to pierwszy raz...

- Bawiliście się w chowanego i w ciuciubabkę? - zapytał Barnaba.

- Coś ty, nie zadaję się z przedszkolakami.

- Jesteście dzisiaj w lepszym nastroju - powiedziała Amelia.

Zenobiusz zatarł dłonie.

- Pogodny nastrój rodzinny cenię sobie ponad wszystko. Tak tu sobie siedzimy, rozmawiamy, wspominamy - mówił Zenobiusz - a kochana Filomena jest z nami i nigdy nas

nie opuści. Zawsze tęskniłem do spokoju i ciepła rodzinnego ogniska i do ludzi uroczych, serdecznych...

- Wśród których jest niedoszły morderca! - krzyknęła Filomena. - Nie zapominajcie o tym. I nie rozrzewniajcie się pozorami spokoju, serdeczności itede.

- Ależ, ciociu - zaczął Barnaba - my dla kochanej cioci...

- Z tym mydłem, to mógł być tylko czyjś niesmaczny dowcip - powiedział Zenobiusz.

- Czy nie sądzisz, Amelio, że mam słuszość?

- Powinniśmy się zastanowić nad wszystkimi okolicznościami wypadku - odparła. - Wtedy powiem, czy masz słuszość.

- Amelio - odezwała się Filomena - zostawmy w spokoju okoliczności. Wśród was jest skrytobójca, który chce zniszczyć moją doczesną powłokę, że użyję tu wyrażenia Zenobiusza. Ale ja dojdę prawdy.

- W jaki sposób, Filomeno?

- Zenobiuszu, powiedziałam wczoraj, że podejmę pewne decyzje: Już je podjęłam. Co tu ukrywać. Oto moja decyzja: w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin opuścicie mój dom.

- Ciociu!

- Filomeno!

- Ależ...

Filomena stuknęła laską o parkiet posadzki.

- Opuścicie ten dom, jeżeli nie wydacie ind natychmiast tego, który czyha na moje życie. Zaślepiła go gorączka złota, bo tu o to chodzi, o moje pieniądze i klejnoty. Jednak minęły już czasy gorączki złota na Alasce i nieprawości popełnianych przez zaniedbanych i chciwych poszukiwaczy złotego piasku i samorodków. Wydajcie mi przestępcę, a ja obiecuję wszystkim bezkarność i zapewnię wam życie w spokoju i dobrobycie. Powiedziałam.

- A co zrobisz z przestępcą, Filomeno? - zapytał Zenobiusz.

- Ja bym takiego - zawołał Barnaba - ja bym kazał go żywcem zamurować w piwnicy! Na zawsze.

- Co chcesz powiedzieć, Lauro? - zapytała Filomena patrząc, jak dziewczyna wysuwa w jej stronę dwa złożone palce.

- Umarł w butach - powiedziała Laura - a boso go pochowali.

Zenobiusz jęknął.

- Kochanie, a cóż to znowu? Co but ma do rzeczy? Zawsze cię prosiłem, żebyś się zastanowiła, a później dopiero... Laura machnęła dłonią.

- Ty mi mów, a ja zdrów.

- Kochanie, chciałem ci wytłumaczyć, że zawsze masz coś do powiedzenia. Ale żeby to miało jakiś sens...

- Nic nie mówię, ale cicho też nie będę. Nie rozumiesz, Zenek, że jak ciocia nas spławi, znowu zacznie się życie jak na autostopie: chłodno, głodno i do domu daleko. Co to za życie?

- Ciocia tego nie robi - powiedział Barnaba. - Ależ ciociu...

Filomena przerwała mu porywczo:

- Ależ ciociu, ależ ciociu! I co z tego, że ależ ciociu, jeśli tej kochanej cioci grozi totalna zagłada?

- To byłoby nazbyt brutalne rozwiązanie palącego problemu - wtrącił Zenobiusz. - Apeluję do twego miłosierdzia.

- I ja tak uważam - dodała Amelia.

- Co tam - zaśmiała się Laura - nie ma się co przejmować. Ciociu, to były tylko jakieś takie kawałki z kącika humoru. Humor z zeszytów szkolnych.

- Może - powiedziała Filomena. - Ale kto wymyśla takie „kawałki”? Jeżeli powiecie, wówczas cofnę moją decyzję.

Barnaba: Ja nie.

Amelia: Chyba ciocia nie przypuszcza, że ja. Zenobiusz: Domyślasz się chyba, Filemono, że pozostaję poza wszelkimi podejrzeniami. Jestem twoim bratem. Lauro, kochanie, przecież ty także nie.

Laura: Zenek, jesteś zaskakujący jak zepsuty motocykl. Mnie tu jest dobrze, nie narzekam, Amelia: Nasz głuchy Filip także nie. Filomena: No więc kto?

Zenobiusz: Pokojówka także nie. Ręczę za nią. Po śmierci cioci straciłaby tylko dobrą posadę. Filomena: A zacna kucharka już nie żyje. Zenobiusz: Panie, świeć nad jej duszą.

Wtedy Laura powiedziała:

- Ja nic nie mówię, ale kucharkę ciocia otruła. Słowo honoru.

- Ja? - zawołał Filomena. - Moją własną kucharkę?

- Właściwie to tak - powiedział nieśmiało Zenobiusz.

- Na to wychodzi - powiedział Barnaba.

- Jeżeli się nad tym zastanowić... - powiedziała Amelia. - Od początku tak wymyśliłam - powiedziała Laura. -

Jak ciocia, to ciocia. Filomena zadygotała z oburzenia.

- Więc naprawdę mnie oskarżacie? Wy?

- Tak - zawołali chórem. A Amelia dodała:

- Przecie? ciocia kazała kucharce zjeść makaron z arsenikiem. Takie są fakty.

- Ciocia grzebała widelcem w makaronie - przypomniała Laura - a później powiedziała, że parmezan zajeżdża pleśnią. I ciocia oddała swój talerz kucharce. Ona powiedziała, że parmezan jest dobry, a na to ciocia do kucharki, że niech sama zje, jeżeli tak uważa. I życzyła jej smacznego.

- A kucharka spożyła zatruty makaron - stwierdził Zenobiusz. - Bo podrażniłaś jej ambicję zawodową.

- Nie przyrządzałam makaronu - zaprzeczyła Filomena. - Nie byłam w kuchni.

- Nie ma się o co spierać - odezwała się Laura. - Gdyby ciocia wrzuciła makaron na własne ruszta, to kucharka żyłaby do dzisiaj. I po krzyku. No nie, Zenek?

- I po krzyku, i po cioci - wtrąciła Amelia.

- Kochanie, to nie jest pozbawione słuszności. Tym razem, Lauro, trafnie oceniłaś sytuację...

- Nigdy nie pozwoliłbym, żeby kochana ciocia zjadła ten makaron! - zawołał Barnaba.

- A więc wiedziałeś, że tam jest arsenik? - zapytała podstępnie Amelia.

- Od ciebie się dowiedziałem - odparował natychmiast Barnaba. - Ty powiedziałaś, że kucharka jest otruta. Może nie?

- Może tak. Ale przyznaj się: czy zjadłbyś makaron, gdyby ciocia podała go tobie, a nie kucharce?

- Wszystko jem, co mi ciocia daje. I jestem cioci bezgranicznie wdzięczny...

- Ach,- Barnabo - powiedziała Amelia - ty zjadłbyś nawet ciocię! Na razie ustaliliśmy jedno: że ciocia podała kucharce zatruty makaron. Interesujące, że ciocia nigdy przed tą piątkową kolacją nie narzekała na kucharkę. Dopiero tego dnia po raz pierwszy, kiedy spożycie makaronu groziło cioci śmiercią. Musimy to ustalić w imię prawdy.

Filomena skurczyła się w fotelu, jakby zmaląła.

- Więc wy mnie - szeptała z goryczą - wy oskarżacie mnie... Mnie. A ja bym nawet muchy...

Padał deszcz.

Wygnanie

Komunikaty radiowe były coraz bardziej zatrważające.

„W okolicy Kłodzka woda zerwała kilka mostów i uszkodziła poważnie dwanaście innych. W samym mieście woda dostała się do wielu budynków, a gwałtowna wichura

zniszczyła dachy na stu kilkunastu, domach. W Jaszkowej Dolnej wzburzone fale sięgały wysokości trzech metrów, zalewając przeszło pięćdziesiąt budynków mieszkalnych i gospodarczych oraz wiele hektarów upraw. W miejscowościach dotkniętych klęską tej niespodziewanej i gwałtownej powodzi rozpoczęły pracę ekipy ratunkowe i sanitarne. Niszczycielski żywioł dociera już...”

Po oskarżeniu Filomeny o otrucie kucharki, oskarżeniu, które miało wpłynąć na odwołanie przez nią nakazu opuszczenia dworku - w salonie zapanowała przytłaczająca cisza. Ci ludzie umieli mówić, ale umieli także milczeć.

- A ja wam powiem - Zenobiusz odezwał się pierwszy - że w naszym starym dworku straszy duch poprzedniego właściciela albo jakiegoś innego przodka. Zgroza.

- Chyba jakiegoś tyłka - zaśmiała się Laura. - Przodkowie, leżą w drewnianych jesionkach, w parku sztywnych. I nie łążą po dworkach ani nie chodzą w taki deszcz.

- Nasza młodzież już nie wierzy nawet w duchy - zaczął Zenobiusz, lecz Amelia szybko mu przerwała:

- Przestań, Zenobiuszu! Duchy są niematerialne i nie smarują schodów mydłem! Nie widziałam także ducha piłującego schody. Na takie pomysły mogą wpaść tylko żywi ludzie. Niestety, tylko ludzie.

- Jednak mam wrażenie, że w tym domu pokutuje zły duch. I nie zmienię zdania. Duchy mogą również kontaktować się z materialnymi przedmiotami i zmieniać ich położenie. Jeszcze za mało wiesz o życiu, Lauro, żebyś mogła...

- Zenek, nie truj. Krótco żyłam, ale żaden duch jeszcze mną nie poruszał ani nie zmieniał mi położenia, już nic nie mówiąc o innych detalach.

- Kochanie moje, jak pożyjesz trochę... dłużej... to jeszcze niejedno...

Zenobiusz nie dokończył zdania Pochylił lekko głowę i zaczął drzemać. Ręce opadły mu na kolana.

- Więc wy mnie oskarżacie - odezwała się Filomena. - Wy mnie.

- Nie - zaprzeczyła Amelia. - Ustalamy tylko fakty. Uważam zresztą, że kucharka zginęła przypadkowo. Miał zginąć ktoś inny. Stało się inaczej. „Trupów będzie para”. Tak będzie.

- O czym ty mówisz?

- Kto miał zginąć?

- Tak było w pewnej sztuce.

- W jakiej?

- W takiej. Już zapomniałam - odparła Amelia. Spojrzała na niebezpiecznie przechyloną głowę drzemiącego Zenobiusza. - Zenobiuszu!

Poruszył głową, szepnął: „żyrandol, schodki, śrut, skorpion, ja nic nie wiem” - i nadal drzemał.

- Zenek - dorzuciła Laura - wstań, to cię podniosę.

- On nic nie wie - mruknęła Filomena. - Nikt nic nie wie.

- A ja wiem - wyrwała się Laura - że ten, kto wsypał I cyjankali do szklanki, uratował cioci życie. Bo inaczej skorpion wyszedłby z kefiru i ugryzłby ciocię. A skorpiony gryzą skutecznie i na zawsze.

- Jesteś rezolutna i rozgarnięta - pochwaliła ją Filomena. - Tak, ten - jeden uratował mi życie, co tu ukrywać.: No więc pytam, kto mnie wówczas ocalił, wrzucając cyjankali do kefiru? Wynagrodzę go sowicie.

Filomena rozejrzała się, popatrzyła na twarze współbiedniaków. Zapewne pomyślała, że wobec tych ludzi zbyt naiwnie zagrała. Nie, na to nikt nie da się złapać, że ocalił jej życie wsypując cyjankali! Milczeli.

- W takim razie moja decyzja jest nieodwołalna. Za czterdzieści osiem godzin wszyscy opuszczą mój dom. Zenobiuszu, czy mnie słyszysz? Zenobiuszu!

- Zenek zasycha - stwierdziła lakonicznie Laura. - Obciął sobie drzemkę.

Potrząsnęła ramieniem śpiącego. Ten otworzył oczy.

- Zenek, nie śpij, bo cię ukradną.

Podskoczył na krześle, sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni.

- Kto mnie okradnie? Portfel jest i zegarek...

- Powiedziałam, że cię ukradną. Raz jedno takie nijakie dziecko zasnęło na dworcu i ktoś ukradł szczeniaka. Już nigdy dziecka nie znaleźli. Zenek, bądź przytomny. Ciocia nas splawia. Skończyło się święto lasu. Jedli, spali” aż ich wygnali. Jak z raju.

- I co zrobimy? To straszne, że nawet nie można się spokojnie zdrzemnąć. Lauro, kochanie, co teraz zrobimy?

- Zwijamy żagle i znikamy nagle - odparła.

Amelia pogłaskała Laurę po głowie.

- Moja biedna Lauro, co z tobą będzie? Zenobiusz nie ma nawet mieszkania.

- Nie martw się - pocieszyła ją Laura - dziewczyna z takimi płucami jak ja nie zginie w ukochanym kraju. I oczy mam udane. Jakoś to be. Ale z tobą, Amelio, chyba klops? Leżysz, nie?

- Odpowiem ci w twoim stylu: był taki przebój, o mnie się nie bój.

Laurę zaskoczyła odpowiedź Amelii, jednak nie dała za wygraną. Po chwili już miała odpowiedź:

- Ha, ha, zaśmiała się królowa i poszła prać skarpetki. Amelia skapitulowała.

- Ciebie nikt nie przegada.

Filomena spojrzała na ścienny zegar.

- Na co czekacie? Za czterdzieści siedem godzin i pięćdziesiąt minut nie chce, w tym domu nikogo widzieć. Eligiusza z nogą w gipsie także stąd wyniosę. Wszystkich.

- Ależ ciociu - jęknął Barnaba - nie wyobrażam sobie życia bez kochanej cioci! Co to za życie?

- I jeszcze ta straszna powódź - dodał Zenobiusz. - Boję się o ciebie, Lauro.

- Zenek, sierotko ty moja, dokąd pójdziemy?

- Niech ciocia tylko pomyśli... Filomena stuknęła łaską.

- Skończyło się myślenie - powiedziała. - Teraz obowiązuje decyzja odgórna. Już nie chcę myśleć ani się litować.

Barnaba w sposób przewrotny postanowił przebłagać Filomenę.

- Mnie najbardziej żal cioci - powiedział. - Bo my sobie gdzieś tam będziemy, - a kochana ciocia sama zostanie, samiuteńka... Płakać się chce nad losem cioci.

Filomena wstała. Wyprostowała się, uniosła w górę hebanową łaskę. Wyglądała jak czarny anioł gniewu, który wygnał z raju naszych pierwszych, nieprzyzwoitych rodziców.

- Precz z moich oczu!

Amelia bez słowa wyszła z salonu. Za nią Zenobiusz, spoglądając po drodze w lustro. Laura, owijając kosmyk włosów wokół wskazującego palca, dygnęła z gracją i znikła za otwartymi drzwiami. Barnaba podszedł do empirowej komódki, na której leżała gitara. Oparł ją o ramię i wolnym krokiem wyszedł. Za drzwiami zaklął.

Nadciągała burza.

W oddaleniu rozległ się odgłos gromu. Błyskawica cięła niebo, które po tym oślepiającym blasku wydało się jeszcze ciemniejsze.

Padał deszcz.

Filomena contra Filomena

Z Amelią rozmawiałem w kilka godzin po przybyciu do dworku Filomeny. Podała mi kawałek mydła do prania i zapytała:

- Co to jest?

Obejrzałem mydło. Z jednej strony kostka była bardziej wysuszona i mocno starta. Tkwiły w niej dwie drzazgi, jak pod skórą. Powiedziałem Amelii, że tym mydłem pocierano mocno jakieś deski, na sucho.

- Schody - wyjaśniła Amelia - z których spadła Filomena.

- Prowadzą na piętro, a tam mieszka Filomena i Eligiusz, którym pani się opiekuje - powiedziałem, lekko pociągając nosem.

- Pan sierżant ma katar.

- Nie ma pani pojęcia, jak mnie wykańcza deszcz i taka wilgoć w powietrzu. Gdzie pani to znalazła?

- W pokoju Filomeny. Gdyby pan obejrzał jej dłonie, znalazłby pan pod paznokciami strużki tego mydła.

- Tak - powiedziałem.

- Co „tak”? - zapytała.

Nie mogłem jej tego powiedzieć. Podałem mydło.

- Nic „tak”.

Amelia oddała mi mydło.

- Przecież to jest tak zwany dowód rzeczowy! Powiedziałem, że już teraz nie jest dowodem rzeczowym, i znowu wręczyłem Amelii kostkę mydła.

- Ale tu są odciski palców Filomeny! Nie wierzy mi pan?

- Zawsze, prawie zawsze - poprawiłem się szybko - wierzę kobietom.

- Nawet tym, które pan kocha?

- Przede wszystkim tym, bo bym je stracił. Muszę im wierzyć. Albo udaję, że wierzę. A powodzenia specjalnego nie mam, raczej przeciętne i statystyczne. Więc jak już znajdę jakąś miłą dziewczynę... Ma się te czterdzieści kilka lat. Kiedyś mówiono, że życie zaczyna się po czterdziestce. Ale ja twierdzę, że życie zaczyna się po czterdziestce. Stary kawał, ale jednak..

Amelia uśmiechnęła się.

- To tylko dowcip. Pan jest bardzo...

- W każdym dowcipie jest odrobina prawdy. A co do tego mydła, to i tak wiedziałem, kto posmarował nim schody.

Amelia znowu wcisnęła mi mydło do ręki.

- Daję panu słowo, że znalazłam w pokoju Filomeny.

- Felczer, który mieszka w oficynie...

- Tak, wiem - przerwała mi. - Zakładał Filomenie opatrunek i temblak. Bo ona pośliznęła się na schodach, przypadkowo albo naumyślnie. Nic już nie rozumiem, nic.

- Właśnie chciałem pani powiedzieć, o czym dowiedziałem się od felczera. Powiedział, że na ramieniu Filomeny nie było nawet śladu stłuczenia.

- Więc po co kazała założyć temblak? Naprawdę nie rozumiem.

- Mosia udawać potłuczoną., na złość tej osobie, która posmarowała schody mydłem. A może chciała mieć pretekst, zęby was przegnać”

- Panie sierżancie, przecież Filomena sama mogła posmarować schody! To musi naprowadzić na właściwy trop.

Powiedziałem Amelii, że to nie naprowadza nawet na właściwy ślad. To na mydle są teraz również odciski jej palców i moich. Dowody rzeczowe trzeba odpowiednio zabezpieczać. A o tak zwanym tropie nie może być mowy.

- Myślałam - powiedziała - że trop jest tym samym, co ślad. Może pan wytłumaczyć różnicę?

Wyjaśniłem, że śladem jest każda zmiana wywołana w tym, co nas otacza, zmiana spowodowana przez jakieś działanie lub zdarzenie. Na przykład ślad opon na asfalcie, odprysk lakieru z karoserii, niedopałek, rysa na parapecie okna, odcisk stopy, nawet włos. Zmiana ta pozwala nam wnioskować, w jaki sposób ją wywołano. Na przykład drzazgi na mydle. Można łatwo sprawdzić, czy pochodzą z tych drewnianych schodów. Dopiero następujący po sobie szereg śladów stanowi tak zwany trop.

- Rozumiem - powiedziała Amelia.

- Jeszcze powinna pani zrozumieć, że nawet zatarty ślad może być dowodem czyjegoś umyślnego działania. Taki fakt, jak zatarcie śladu, również wzbogaca naszą wiedzę o przestępcy i o popełnionym przestępstwie. Przepraszam panią - wyjąłem chusteczkę i osuszyłem zakatarzony nos. - Kiedy pada deszcz, nie nadaję się do tej roboty. To mnie rozkleją.

- A więc mydło...

- Jeżeli pani nie natarła nim schodów ani ja, mydło stanowi teraz z pani odciskami i moimi fałszywy ślad. To zresztą skomplikowany problem.

- Dlaczego skomplikowany? Mnie to interesuje. Powie mi pan?

- Może potrafię. Proszę uważać, pani Amelio: stopniowe uzupełnianie śladów sprawia, że nasza wiedza o interesującym nas zdarzeniu, nasze poznanie, rozwija się w kierunku odwrotnym od biegu czasu. A więc od tych odkrytych śladów zmierza do wypadków, które zdarzyły się w przeszłości i pozostawiły te ślady. Rozumie pani?

- Tak - potwierdziła - proszę mówić.

- Na przykład znajduję w miejscu, w którym kilkoma strzałami zabito kogoś, odpryśnięty tynk i ślad pocisku na murze. Później znajduję odbity rykoszetem pocisk. Nasi specjaliści badają, z jakiej broni wystrzelono pocisk. Z kartoteki dowiadujemy się, że zarejestrowano sto tego typu pistoletów. Wśród tych stu znajdujemy ten, a to można sprawdzić dzięki odkształceniom i innym cechom, z którego wystrzelono znaleziony przeze mnie pocisk. Docieramy do właściciela pistoletu, a więc do mordercy. Tak więc cały szereg śladów, podaję tu najważniejsze, od nieznacznego odprysku tynku,

zaprowadził nas wreszcie w przeszłość, do człowieka, który kiedyś w tym pomieszczeniu strzelał do kogoś. Robimy eksperyment śledczy i odtwarzamy przeszłość. Nie tylko w przyrodzie, ale w czasie także nic nie ginie.

Amelia była zachwycona moim wywodem, a mnie kosztował on sporo wysiłku; nie zajmowałem się teorią śledztwa, ale praktyką.

- Bo ja pomyślałam - powiedziała Amelia - że te zamachy Filomena sama sfingowała. Może, nie wiem.

- Na podstawie kawałka mydła mówi pani również o żyrandolu, arseniku i tak dalej? To nielogiczne i nazbyt dowolne. Takie założenie może być fałszywe i wtedy niczego się nie dowiemy.

- Lecz to mydło - upierała się - naprawdę w jej pokoju...

- Ktoś mógł podrzucić. To nic nie znaczy. Na razie tutaj, w tym dworku, w ogóle wszystko nic nie znaczy. Powódź odcięła mnie od komendy i od naszego laboratorium. Zresztą jestem tu prywatnie, powiedzmy, że jako turysta.! Przerwane są także połączenia telefoniczne. Czy pani nie sądzi, że ktoś chciał wykorzystać tak pomyslną dla popełnienia przestępstwa sytuację? Właśnie dlatego przyjechałem, nie licząc się z tym, że miejscowość jest zagrożona powodzią.. Chciałem przeszkodzić i uprzedzić...

- Rozumiem - powiedziała. - Tak, to prawda. Ktoś chciał chyba działać szybko, nim zacznie się śledztwo w sprawie otrucia kucharki. Więc pan przewidział, że ta okropna pogoda może przyspieszyć decyzję przestępcy?

- Tak. A pani w jakim charakterze przebywa tutaj?

- Jestem daleką krewną Filomeny. Opiekuję się chorym Eligiuszem, jej synem. I jestem... czymś w rodzaju narzeczonej Barnaby.

- Czymś w rodzaju - zauważyłem. - Ładnie to pani powiedziała.

- Czy nie nadajemy się dla siebie? Ja i Barnaba?

- Nie jestem z biura kojarzenia małżeństw. Czy on panią kocha albo pani jego? Przepraszam, że o to pytam. Nie musi pani odpowiedzieć.

Zaśmiała się, odgarnęła kosmyk włosów opadający na czoło. Nie podobał mi się wyraz jej twarzy ani uśmiech, lecz nie wiedziałem, na czym to polega.

- Panie sierzancie, na tysiąc mężczyzn i kobiet, którzy chodzą ze sobą czy też śpią ze sobą, tylko jedna para wie, czym jest miłość i co znaczy kochać.

Podziękowałem jej za rozmowę. Ale nie wiedziałem, czy Amelia jest jedną z tych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu, które nie potrafią kochać.

- Nie wątpię - powiedziałem na pożegnanie - że do miłości także trzeba mieć talent. Mani takie same poglądy w tej sprawie.

Pomyślałem jeszcze o młodej dziewczynie, do której nie mogłem pojechać i której znowu nie powiedziałem, że ją kocham. Nigdy jej tego nie powiem. Już nigdy.

Podejrzenia Amelii, że Filomena mogła sama sfingować zamach na siebie przy pomocy mydła, potwierdziła rozmowa Barnaby i Laury z Filomeną, rozmowa, o której dowiedziałem się nieco później.

Otóż Filomena wezwała do siebie Laurę i Barnabę. Zapytali ją, czy żartowała mówiąc, że wszyscy muszą opuścić dworek.

- Chciałam ich zdenerwować - odpowiedziała. - Chciałam zaniepokoić te nędzne duszyczki. Ludzie podnieceni, wzburzeni i zagniewani szybciej ujawniają swoją prawdziwą naturę. Zaraz wyłożę wam mój plan.

Zdjęła temblak.

- Nic mi się nie stało na schodach - powiedziała. - Ręka jest zdrowa.

Szybkimi ruchami zrzuciła z ramienia opatrunek. Padał deszcz.

Zabawa w śmierć

Laura i Barnaba stali przed Filomeną.

- Lauro - powiedziała Filomena - masz zaczerwienione oczy jak królik. Chyba nie płakałaś?

- Płakałam, bo ciocia chciała nas przegnać. Nie wiedziałam, że króliki mają zaczerwienione oczy.

- Dowiesz się jeszcze ciekawszych rzeczy. Powiedz mi, dziecko, czy ty aby dobrze wybrałaś sobie Zenobiusza?

- Zenek chce mnie wykorzystać, żeby zdobyć część majątku cioci. Udaje łysego z przedziałkiem.

- Zanudziłabyś się przy nim na śmierć. Barnabo, podejrzewam, że nie jesteś nieślubnym synem Zenobiusza. On się tylko tak przechwala.

- Niemożliwe, ciociu. A czyim jestem synem?

- Chyba ciocia nie mogła być ojcem Barnaby - powiedziała Laura. - Tego jeszcze w telewizji nie było.

- Byłby to dziwaczny wybryk natury. Barnaba miał matkę, co tu ukrywać. Kobieta przemiła, ale frywolna i lekkomyślna. Jednak co do ojcostwa nigdy nie ma pewności. To także wpływa na zmianę moich postanowień.

- Umieram z ciekawości - powiedziała Laura. - Niech; ciocia ratuje mnie przed śmiercią u progu życia.

- Mój drogi Barnabo - ciągnęła Filomena - życzę sobie, żebyście się pobrali, ty i Laura, i rychło obdarzyli mnie potomstwem.

- Jak już ciocia coś wymyśli... - powiedziała Laura.

- Czy wyszłabyś za Barnabę? Laura spojrzała na Barnabę. Przypatrywała mu się przez chwilę, zastanawiała się nad czymś.

- Prawdopodobnie na pewno - powiedziała. - A nie masz jakiegoś narzeczonego? - zapyta? Barnaba.:

- Był taki jeden. Niski w wysokim płaszczu. Ludy kolorowe, ciocia wie. Studiował w Warszawie, na Politechnice.. a jak skończył studia, te wziął i wyjechał. Do Algierii. Chciał mnie zabrać ze sobą, ale dla mnie tam za gorąco i za dużo piasku. Cudzoziemiec w Polsce jest dobry, a za granicą staje się zwyczajny. I dewizy nie te same, także zwyczajne. Jak u mnie coś nie gra, no to cześć pieśni. Wolę rodaka, mam swój honor.

- Kochałaś go? - dopytywał Barnaba. - Płakałaś, jak wyjechał?

- Szkoda łez, jak nie ma miłości do grobowej deski.

- A ty, Barnabo? - zapytała Filomena. - Ożeniłbyś się z Laurą? I byłbyś dla niej dobry?

- Ciocia się zdziwi, ale ja wszystko zrobię, co ciocia każe. Tylko boję się, że Zenobiusz zabije nas z zazdrości. Mnie może nie, ale on Laurę zabije. Ciocia zobaczy.

- Nie zabije. Bo on wie, że jeśli Laura nie będzie mieć dzieci, to nic mu nie oddam ze spadku po siostrze nieboszczce. Muszę założyć w tym dworku nowy ród - mówiła Filomena. Wskazała mosiężną tarczę herbową. - Herb już mamy, i to jaki.

- Ciocia znalazła to na strychu - przypomniała Laura.

- A gdzie miałam szukać herbu? Ten był gotowy. Teraz posłuchajcie, co powiem.

Z książki leżącej na kolanach wyjęła ozdobny sztylet, który służył jej do rozcinania kartek.

- To sztylet Lukrecji Borgii - powiedziała. - Mój nieboszczyk mąż był w młodości strażnikiem w Muzeum Watykańskim, na Viale Vaticano. Zresztą tam go poznałam, jeszcze przed wojną.

- Przed którą? - Laura cicho zapytała Barnabę.

- Ciociu - odezwał się Barnaba - czytałem kiedyś, że z tego muzeum zginęły przed wojną dwa weneckie sztylety Lukrecji Borgii. Do dzisiaj ich nie odnaleziono. Teraz już wiem, dlaczego. Mąż cioci miał głowę.

- I ja wiem - zawołała Laura. - Znaczy się, że nieboszczyk zwędził sztylety. A gdzie jest drugi z tej pary?

Filomena pogroziła palcem.

- Drogie dziecko, o umarłych nie wolno źle mówić. Jaki był, taki był. Mało tam płacili i biedaczek musiał sobie dorabiać. Ale sztyletów nie chciał się pozbyć. Ofiarował mi oba jako ślubny prezent. To wzruszające. Drugi sztylet z tego kompletu był u Zenobiusza. Oto on.

Sięgnęła ręką do tyłu, w głąb fotela, na którym siedziała. I wydobyła stamtąd taki sam sztylet, z pięknie inkrustowaną rękojeścią, wysadzaną szafirami i rubinami, zdobioną srebrem i złotem, cyzelowaną. Nacisnęła jeden z kamieni znajdujących się u nasady rękojeści; był to zacisk sprężynowy, zwalniający ostrze.

- Rękojeść jest bardzo cenna, więc tak to zrobiono, żeby można było wymieniać ostrze.

- Czy Zenek wie, że jego sztylet jest u cioci?

- Ktoś wykradł ten sztylet z jego pokoju na moją prośbę. Jeszcze są ludzie, na których można polegać.

- Ja także dla cioci zawsze wszystko - powiedział Barnaba: - Słowo honoru, że wszystko. Nawet nie wiem co.

- Zaraz się przekonamy, czy ty także zawsze i wszystko. Spójrzcie. Tutaj, nad obojczykiem, przyczepicie do szala rękojeść tego sztyletu od Zenobiusza. Klingę tu schowam - to mówiąc schowała ją poza plecami, w głębi fotela. - A mój sztylet zostawię w książce.

- I będzie ciocia udawać, że ktoś ciocię zabił sztyletem Zenka? - zapytała Laura. - Dla mnie bomba.

- Moje słowa, Lauro. Za pół godziny znajdziecie mnie niby martwą i zaalarmujecie wszystkich. Zobaczymy, co oni powiedzą i co zrobią. Wtedy nareszcie dowiemy się, kto chciał mnie zgładzić. Będą się pieklić i kłócić o spadek. Będą szukać moich klejnotów. Ale ich nie znajdą.

- A gdzie są klejnoty kochanej cioci? - zapytał Barnaba.

- Dowiesz się, jak przyjdzie pora. Jeszcze nie przyszła. - Dobrze, ciociu. Ale po co kochanej cioci drugi sztylet, który leży w książce?

- Już jak ciocia coś wymyśli - powiedziała Laura.

- Ciocia ma głowę, droga Lauro - odparła Filomena - i wie, co robi. Kiedy zobaczą, że zabito mnie sztyletem Zenobiusza, zaczną siebie nawzajem oskarżać. Oni Zenobiusza, a on ich o kradzież sztyletu z jego pokoju. Tak wikła się intrygę. Sprawa się skomplikuje. I wtedy każdy wygarnie, co ma na wątrobie. Wówczas odkryjemy sprawcę zamachów. Poniesie zasłużoną karę.

Laura z podziwem patrzyła na Filomenę.

- Ciocia dobrą porę wybrała. Jest powódź i telefon nieczynny, i poczta zamknięta, bo grypa wykosła naczelnika. Ani milicji, ani lekarza, ani nic. Cicho, ktoś idzie!

Filip wszedł do pokoju, w którym rozmawiali spiskowcy. Nawet nie spojrzął na nich. Sprawdzał, czy okna zamknięte. Zajrzał do kątów. Przytrzymując za lufę strzelbę zwisającą z ramienia, wszedł do przyległego pokoju.

- Diabli wiedzą - odezwał się Barnaba - czy Filip jest naprawdę głuchy. Może on udaje?

- Raz dowalał się do mnie - powiedziała Laura - ale na migi. A na migi to szkoda fatygi.

Filomena przyłożyła palec do ust.

- Opowiesz o tym Barnabie po ślubie. Teraz trzeba działać.

- Zawsze mówiłem, że kochana ciocia jest genialna. Ja dla cioci tobym wszystko, żeby nie wiem co.

Laura oglądała rękojeść sztyletu, ważyła ją na dłoni.

- A jak długo ciocia będzie wystawiać własne zwłoki na widok publiczny?

- Wytrzymam nawet całą noc, a może i następny dzień. Mam tutaj kanapki z pasztetową, trochę polędwicy i kawałek chałwy także.

- O rany! - zawołał Barnaba. - A gdzie ciocia kupiła chałwę?

- Właśnie - zdziwiła się Laura. - Chałwa jest tylko po znajomości.

Barnaba wziął rękojeść sztyletu od Laury, obejrzał ją.

- Ciocia to ma chody. No tak, rączka dobrze się zaczepi o szal cioci. Trzeba tylko zabarwić szal. Lauro, przynieś z mojego pokoju czerwony tusz. Leży na biurku. Przy nutach.

Podprowadził Laurę do drzwi.

- I ty naprawdę chcesz ze mną? - zapytał półgłosem.

- Spróbować można - odpowiedziała szeptem Laura. - Od tego jeszcze nikt nie umarł.

A ty?

- Ja ciebie wyczuwam, Lauro. Nawet bym się uczuciowo zaangażował, a nie tylko tak sobie i na niby. Całym sercem.

- Serce nie z cukru, nie roztopi się. Nie te czasy. Laura wyszła z pokoju.

- Zapal małą lampkę, Barnabo - odezwała się Filomena - i zgaś żyrandol.

Barnaba wyłączył żyrandol i przekręcił kontakt małej lampki stojącej na stoliku obok fotela Filomeny. Padło na nią miękkie seledynowe światło.

Barnaba pochylił się nad Filomeną.

- Zrobię to cioci na medal. W dechę i na medal. Przesłonił swoim ciałem Filomenę i umocował na szalu rękojeść sztyletu.

- A klingę położę za ciocią, na fotelu. O rany, ale będzie ubaw!

Uchyliły się drzwi wiodące do salonu.

Nie zauważona przez nikogo, przesłonięta mrokiem, stała: w nich pokojówka Gienia. Uniosła dłoń i przycisnęła ją do piersi, jakby jej serce nagle silniej zabiło.

Padał deszcz.

Nieprzewidziany finał

W pokoju Barnaby było włączone radio. Laura, szukając czerwonego tuszu, usłyszała głos spikera:

„...rzeka nie jest jeszcze ujarzmiona i to tragicznie odbija się przy każdej większej wodzie. Tak stało się również w tym roku. W ciągu kilku godzin rzeka osiągnęła poziom dziesięciu metrów. Obszar zniszczeń ciągnie się wzdłuż całego biegu rzeki. Od Rabki, przez Mszanę Dolną, koło Myślenic, przez Gdów, Proszówki, aż po Zieloną i Ujście Solne. Żywiół wyłobił tu pas zniszczeń sięgający do kilku kilometrów od koryta rzeki.

Zerwane brzegi, uwalone drzewa, pniaki i bele przyniesione nie wiadomo skąd, porwane domki campingowe, zniszczone uprawy zbóż i ziemniaków, zmyte przez wodę odcinki dróg - znaczą pochod powodzi. Osiedle letnich domków zostało zdmuchnięte uderzeniem dziesięciometrowej fali”.

Laura wyłączyła radio. Wróciła do pokoju i podała Barnabie buteleczkę z tuszem.

- Masz kolorek.

- Dobra. Stój przy drzwiach, żeby nikt nie wszedł. A gdzie te wszystkie pawiany?

Laura zaśmiała się cicho.

- Przy tobie to można się rozwinąć. Amelia moczy się w wannie,- słyszałam, jak pluska. Gienia gdzieś się kręci, a Zenek jest chyba u siebie...

Barnaba stanął przy fotelu.

Usłyszeli uderzenie piorunu i wzmagające się wycie wichury.

- Wiesz - szepnęła Laura - boję się czegoś. Taki straszny dzień, dzisiaj. I powódź coraz większa. I ten wiatr, i deszcz. A ciocia wygląda stąd, jakby naprawdę umarła.

- Właśnie o to chodzi - odparł. - Tak trzeba. Zakorkował buteleczkę z czerwonym tuszem.

- Wszystko gra, kochana ciociu - powiedział i skinął dłonią spoczywającej w fotelu starej kobiecie. - Tymczasem, ciociu..

Zbliżył się do Laury. Podał jej tusz.

- No to spadamy - powiedziała Laura.

Wyszli z pokoju. Nikły blask seledynowej lampki padał na Filomenę. Rękojeść sztyletu wpięta w szal ukryta była w półcieniu.

Przez pokój przeszedł powoli Filip, wracał z obchodu. Chciał zgasić lampkę, więc zbliżył się do fotela. Zauważył Filomenę. Pochylił się nad nią, zasłaniając siedzącą swym wielkim ciałem. Później wyprostował się i powolnym krokiem ruszył do przyległego pokoju.

Dobiegał tu hałaśliwy bigbitowy rytm elektrycznej gitary Barnaby. I wzmógł się na moment, kiedy Amelia otworzyła drzwi z korytarza. Była w białym szlafroku kąpielowym, na stopach miała lekkie pantofle.

- Czy ciocia jest tutaj? Rozejrzała się.

- Ciociu!

W innych drzwiach, teraz uchylonych, ponownie ukazała się twarz pokojówki. Amelia nie zauważyła jej. Poruszała się niepewnie w półmroku. Podeszła do fotela.

- Ciocia śpi?

Pochyliła się nad Filomeną, przysłaniając ją plecami przed oczyma pokojówki. I chwilę stała tam, tak pochylona.

Podeszła do okna i oparła głowę o ramę okienną. Patrzyła na strugi deszczu spływające po szybach.

Kroki Gieni tłumił szum deszczu i dźwięki elektrycznej gitary. Na palcach zbliżyła się do Filomeny. Pochyliła się nad nią, jakby wsłuchując się w oddech starej kobiety. Po chwili równie bezszelestnie wyszła z pokoju. Ale zawadziła o drzwi, potrąciła je i te zatrzęsnęły się z hukiem.

Amelia odwróciła się natychmiast. Podbiegła do Filomeny i szybko wróciła do okna. Jednym pchnięciem ramienia otworzyła okienną ramę. Wychylona przez okno, krzyknęła:

- Ratunku! W tym momencie Barnaba wbiegł do pokoju. Wiatr uniósł wysoko firanki, szarpnął ciężkimi portierami. Do pokoju wdarła się woń deszczu i mokrych liści. Powiew wiatru przewrócił ramkę z fotografią Filomeny, stojącą na komódce.

- Amelio! - zawołał Barnaba.

Amelia nie usłyszała tego wołania.

- Ratunku, mordercy! - krzyczała wychylona przez parapet: Wiatr targał jej włosami, deszcz bił ją w twarz.

Barnaba przysłonił jej usta jedną dłonią, a drugą objął ją wpół i odciągnął od okna. Ktoś zapalił światło. To Laura wbiegła do pokoju.

- Oszalałaś? Przecież tutaj nikt ciebie nie usłyszy. I o jakim morderstwie mówisz? Co cię napadło? - pytał Barnaba.

Amelia wyciągniętą dłonią wskazała fotel.

W tym czasie biegłem w kierunku dworu, potykając się w ciemności o kamienie, splątane korzenie i kretowiska. Buty oplątywała trawa wysoka i śliska. Wsunąłem polową lornetkę do futerału, w którym zachlupotała woda. Przesadziłem płot zagrządzający mi drogę, później szukałem przejścia w wysokiej siatce drucianej. Zbłąkany w ciemności, nie wiedziałem, jak dotrzeć najszybciej do domu na wzgórzu.

Pomyślałem wtedy, że przybyłem na to wzgórze za późno. I przypomniałem sobie: „trupów będzie para”, Amelia wskazywała fotel Filomeny. Powiedziała:

- Tam. Zobacz. Ciocia...

- Co ciocia?

- Nie żyje.

- Co się stało? - zapytała Laura. Barnaba szybko do niej podszedł.

- Cholera! Nie przewidzieliśmy, że ktoś narobi tyle hałasu. Jeszcze Filip usłyszy i felczer...

- Trzeba było wcześniej im powiedzieć.

- Ciocia kazała, żeby za pół godziny. I co teraz będzie? Laura wzruszyła ramionami.

- Jeszcze tego nie było, żeby jakoś nie było. A jak ciocia się trzyma?

- Twardo udaje trupa. Ciocia się nie złamie.

- Tak - potwierdziła Laura. - Ciocia jest równa... jak decha - dodała ciszej.

W drzwiach stał wzburzony Zenobiusz, z trudem chwycił oddech, rozluźnił kołnierz koszuli.

Amelia zbliżyła się do niego, ocierając łzy wierzchem dłoni.

- Zenobiuszu, co ci?

- Co z Filomeną... Czy to prawda... Że Filomena...

Przez chwilę poruszał tylko ustami, nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Amelia zmrużyła oczy, spojrzała podejrziwie.

- Kto ci powiedział?. Skąd wiesz?

- Właśnie Gienia - mówił urywanym głosem Zenobiusz - spotkałem ją na korytarzu...

Biegła po felczera.

- To jest weterynarz.

- Ale przynajmniej jest.

- Powiedz prawdę, Zenobiuszu.

- Już ją znasz. Gienia powiedziała.

- A skąd Gienia wie? - nacierała Amelia. Barnaba przyskoczył do nich.

- Po co felczer? Co tu felczer poradzi?

Zenobiusz stał nieporuszony. Wyglądał jak manekin woskowy. Laura dotknęła jego ramienia. - Zenek, co tak stoisz?

- A bo ja wiem.

- Ruszaj się, Zenek - Laura pociągnęła go za rękaw - bo zardzewiejesz.

Zenobiusz już spokojniej oddychał. Wszedł w głąb pokoju.

- Lauro, kochanie, nie pora na żarty. Po tym wszystkim nie mogę przyjść do siebie.

Zgroza.

- No to przyjdź do mnie - odparła Laura.

Amelia chwyciła Laurę za ramiona.

- Dziewczyno, czy nie rozumiesz, że Filomena nie żyje?

- E tam - powiedziała Laura. - Nie rób mnie w konia.

- Ktoś ją zabił, Lauro.

Barnaba zbliżył się do Amelii.

- Coś ty, to tylko żart. Przecież my...

- Wy! - krzyknęła Amelia. - Nie wiem, czy wy. Może ktoś inny. Idź, sam zobacz.

- Ale co? - zawołał ze złością Barnaba. - Co mam zobaczyć?

W oczach Amelii był niesamowity ogień, a jej twarz przybrała niezwykle wyraz grozy. Wszyscy stali nieruchomo, cisi i tak bladzi, jakby cała krew z ich twarzy odpłynęła.

Błyskawica rozdarła niebo i na moment rozświetliła pokój blaskiem białym i upiornym.

Wtedy Amelia powiedziała:

- Ktoś naprawdę zamordował Filomenę. Padał deszcz.

Niewinni

„Powierzchnia terenów zalanych przez Wisłę - mówił spiker radiowy - a wcześniej przez wody górskich rzek i potoków, Raby, Dunajca i Soły, przekroczyła pięćdziesiąt tysięcy hektarów. Straty, nie wliczając w to szkód, jakie poniosło rolnictwo, przekroczyły pół miliona złotych. Ewakuacją objęto przeszło dziesięć tysięcy osób. Fala powodziowa zalała ponad sto wsi i podmyła około dwustu pięćdziesięciu kilometrów dróg. Zniszczeniu uległo wiele mostów...”

Pomyślałem: może byłoby lepiej, gdyby woda zagarnęła nas wszystkich, razem z dworkiem Filomeny.

Zebrałem mieszkańców dworu w salopę Przedstawiłem się i wyjaśniłem cel mojego przyjazdu do Z

- Więc to się tam stało, w przyległym pokoju?

- Tak, panie inspektorze - powiedziała Amelia. - Tam.

- Proszę nie tytułować mnie inspektorem. Miałem stopień służbowy, na który chyba zasłużyłem. Tak mi się przynajmniej wydaje. Obecnie jestem już w stanie spoczynku, ale nie w stanie bezwładu. Pani - zwróciłem się do Amelii - wzywała pomocy przez okno. Kto panią stamtąd odciągnął i kto zatrzasnął okno?

- Skąd pan wie? - zdumiał się Barnaba.

- Gdybym nie wiedział, nie pytałbym. To ty, synku, zrobiłeś? Nie musisz mi odpowiadać, nikt z was nie musi. Apeluję jednak...

Barnaba skinął głową.

- Dlaczego tak zrobiłeś? - zapytałem.

- Pomyślałem, panie sierżancie, że Amelia zwariowała.

- Nie zauważył pan ofiary?

- Skąd - odparł Barnaba. - Było ciemno. Dopiero Laura zapaliła światło. Ale było ciemno, kiedy usłyszałem krzyk Amelii.

- Ciemno - mruknąłem. - Doskonale. Przestępcy lubią ciemność.

Do salonu weszła pokojówka. Spojrzałem na nią. Poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć.

- Pani coś powiedziała?

- To nasza pokojówka - wtrąciła Amelia - Gienia.

- Domyśliłem się. Czy pani Gienia celowo mówi do siebie tak, żeby nikt tego nie usłyszał?

Znowu wtrąciła się Amelia:

- Lepiej mówić do siebie niż do innych. Skutek taki sam, a człowiek mniej się naraża.
Nie sądzi pan?

- Jest w tym nieco prawdy - przyznałem. - Ale nie wtedy, kiedy idąc za głosem sumienia, szukam prawdy. Właśnie sumienie upoważnia mnie do tego - powiedziałem nieco ostrzej. I do Gieni: - Pani jest tu w charakterze...

- Tak, proszę pana - powiedziała - w charakterze. Ale ja."

- Pomocy domowej - podrzuciłem. - Proszę przypilnować, żeby w całym domu były zamknięte wszystkie drzwi i okna. Gdyby ktoś przybył, proszę wpuścić. Jednak nie wolno nikogo wypuszczać bez mojej wiedzy i zgody.

- Tak, proszę pana - powiedziała Gienia. Wyszła z salonu.

Zwróciłem się do Laury. Zaniepokoił mnie jej dobry humor i błysk rozbawienia w oczach. Kiedy tylko wszedłem do dworku, zapytała mnie: - Panie sierżancie, mam jedną zagadkę: „pod wodą pływa, ryba się nazywa”. Co to jest?

- Karp, powiedziałem.

- Zgadł pan - odparła.

- A gdybym powiedział, że łosoś albo sardynka?

- Także by pan zgadł - powiedziała Laura. - To jest właśnie taka zagadka, żeby zaraz zgadnąć.

- Czy pani także uważa, jak pokojówka, że lepiej mówić do siebie niż do innych?

- Jeśli o mnie chodzi, ja nie wiem, o co chodzi - powiedziała beztrąsko Laura, wciąż patrząc mi w oczy.

- A gdybym zapytał panią...

- Co słyhać? - przerwała mi. - Nie wiem, co słyhać; zapytam mamusi...

- Doskonale. A gdzie mieszka pani mamusia? Barnaba zaśmiał się.

- Rodzice Laury mieszkają na drugim końcu Polski. Laura nie lubi życia rodzinnego, bo trzeba wczesnie wstawać.

- Z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu, a i to nie bardzo - wyjaśniła Laura.

Domyśliłem się, że z tą parą młodych nie tak łatwo dam sobie radę. Na kogo mogłem tu liczyć, na czyją pomoc? Amelii? Zenobiusza? Zenobiusz siedział na fotelu Filomeny obitym kurdybanem, jakby dawał w ten sposób do zrozumienia, że teraz on będzie głową tego domu.

- Proszę, może państwo wygodnie usiądą, gdzie kto woli.

Czy pan - zwróciłem się do Zenobiusza - naprawdę nie ma nic do powiedzenia?
Zenobiusz milczał.

- A jednak trzeba będzie porozmawiać - dodałem. Na to Laura:

- Co tu dużo gadać, jak nie ma o czym mówić. Pocieszyłem Laurę, że na pewno znajdzie się coś takiego, o czym warto pogadać. I to dużo. Zapytałem, kto jeszcze mieszka w tym domu i w zabudowaniach, na wzgórzu już od godziny odciętych powodzią od reszty łądu.

- Jest jeszcze Eligiusz, syn Filomeny - wyjaśniła Amelia. - Na piętrze mieszka. Nie może zejść na dół, bo ma całą nogę w gipsie. A w oficynie mieszka felczer weterynarii i stary dozorca Filip. Gienię pan już poznał.

Tak, poznałem. Ona nazywała to „poznaniem”! Tak samo znałem ich wszystkich. A więc nikogo, bo nic o nich nie wiedziałem.

- Musimy sobie zaufać - powiedziałem. - Jestem w trudnej sytuacji, przyznaję szczerze, pozbawiony pomocy z zewnątrz. I skazany tylko na waszą pomoc i waszą dobrą wolę.

Zapaliłem papierosa;

- Otóż to - dodałem. - Skazany. Właściwe określenie. Stałem pod oknem i oparłem się o futrynę. Mówiłem:

- Nie wiem, co myślicie o naszej pracy. Ale chyba najważniejsze jest, co człowiek sam myśli o swojej pracy i jak rozumie jej sens. Moja praca polegała głównie na tym, i to uważałem za swój pierwszy obowiązek, by nie dopuścić do szerzenia się zła. Przeszkodzić przestępcy, nim zdąży popełnić zbrodnię lub nadużycie. I tym samym spowodować, by ten człowiek jednak nie stał się przestępcą? Niestety, nie zawsze udaje się zapobiec zbrodni. W takim wypadku muszę odnaleźć winnego i udowodnić mu, że jest winien. W obu wypadkach muszę liczyć na pomoc uczciwych ludzi. Rozumiemy się, panie Zenobiuszu? Liczę na pana.

- Zawsze mówiłem - odparł Zenobiusz - że życie jest brutalne, i pełne zasadzek.

- A dla mnie życie jest jak taksa. - wtrąciła Laura. - Szybko jedzie i dużo kosztuje, więc kiedyś trzeba wysiąść. Bo kto to wytrzyma?

Spojrzałem na nią. Skąd tak dobry nastrój u młodej dziewczyny, w takiej sytuacji?

Powiedziałem nieco brutalniej, niż zamierzałem:

- Tak, trzeba wysiąść. Ale nie tak, jak wysiadła Filomena!

Dodałem ciszej i łagodniej:

- Przy takim „wysiadaniu” z życia nikomu nie wolno pomagać. Co do tego koniecznie musimy się porozumieć. Przecież wiecie, że ludzie, przeceniając wartość własnego życia i zdrowia, na ogół nie szanują cudzego zdrowia ani życia. Nawet godzą w życie innych. Jeśli ktoś rozmyślnie lub w uniesieniu zabija, staje się z kolei moją ofiarą. Muszę szukać takich ludzi, ścigać ich i osaczyć dowodami bezspornymi. Żeby ich ukarać. Nie sam, to zrozumiałe.

Bo takiej władzy nie może mieć żaden człowiek. Ale przy pomocy prawa, przy pomocy prokuratora i sądu, który wnikliwie i obiektywnie całą rzecz rozpatrzy. Właśnie przy pomocy prawa musimy korygować pewne ujemne właściwości natury ludzkiej.

W drzwiach salonu ukazała się Gienia.

- No więc? - zapytałem. - Czy ktoś przyznaje się do popełnienia tego czynu?

Odpowiedzieli zgodnym chórem:

- Nie!

- Proszę się zastanowić - powiedziałem. - Jeszcze jest czas. Im prędzej, tym lepiej. No więc? Kto?

Milczeli.

Przeszedłem przez salon i zatrzymałem się przed Zenobiuszem. Popatrzyłem na niego. Domyślił się, o co mi idzie.

- Ja nie - mruknął niechętnie.

Zatrzymałem się przed Amelią.

- A pani?

- Nie zrobiłam tego, panie sierżancie.

- Mam nadzieję - odparłem. Zbliżyłem się do Barnaby..

- A ty, synku?

- Kochałem ciocię, słowo honoru. Ja jeden ją kochałem i ciocia mnie także.

Spojrzałem na Laurę i podszedłem do niej. Mini-spódniczka była wysoko podciągnięta, odsłaniała całe uda. Laura nie obciągała spódniczki. Nie robiła tego rozmyślnie, wynikało to raczej z jej swobodnego sposobu zachowania się. Dla Laury szczególnie bez znaczenia, a efekt niezamierzony.

- Zastanowiła się pani?

- Poszłam po rozum do głowy - odparła - i wróciłam z niczym.

Pomyślałem: jeżeli w tym rozumie nie ma się niczego, zawsze wraca się z takich wypraw z niczym. Ale nie powiedziałem tego.

Zbliżyłem się do Gieni stojącej obok drzwi.

- Pani także nic nie wie? Pani także jest niewinna?

- Tak, proszę pana - powiedziała. - Ale ja...

- Jeżeli w tej sprawie nie ma pani niczego do powie dzenia, może pani odejść do swoich zajęć.

Pokojówka wyszła, ociągając się.

- Więc nie? - zwróciłem się do wszystkich.

- Nie - odpowiedzieli chóralnie. Zgrani byli, mogli założyć teatr rapsodyczny.
Padał deszcz.

Milczenie

Nie trafiły do nich moje wywody dotyczące prawości, jaką człowiek powinien się kierować w życiu. Nie działała na ich wyobraźnię moja wizja świata, którą przeciwstawiłem światu zdeprawowanemu gwałtem, przestępstwami i zbrodnią. Argumenty broniące ziemskiej sprawiedliwości, dzięki której ograniczaliśmy niszczycielską siłę zła, nie przemawiały do tych ludzi związanych wspólną tajemnicą albo tylko strzegących czujnie swoich własnych tajemnic i słabości.

- Chciałem zauważyć, panie sierżancie - mówił Zenobiusz tym swoim nieco kabotyńskim tonem - że istnieje też sprawiedliwość boska. Nie wierzę w ziemską, o której pan tutaj tak ładnie nam opowiadał. Lecz tam, w niebie...

Zawiesił głos dla efektu albo szukał odpowiedniego słowa. To się przedłużało, więc powiedziałem:

- Nie chciałbym urazić pańskich uczuć religijnych, i nie zrobię tego. Zawsze szanowałem cudze przekonania. Lecz powiem panu: gdyby policja wierzyła, że niebo istotnie rozpatruje skrupulatnie i nieomylnie każdą przewinę, że karze zbrodnie i nagradza uczciwość, wówczas policja zniosłaby siebie samą, byłaby niepotrzebna. W takiej sytuacji wiedzielibyśmy, że każdego przestępcę dosięgnie natychmiast mściwe i bezlitosne ramię Opatrzności.

Zenobiusz poruszył się niecierpliwie na fotelu Filomeny.

- Jednak - ciągnąłem - nawet państwo watykańskie posiada i opłaca policję mundurową i tajną. Liczni detektywi strzegą olbrzymich bogactw tego małego, lecz wpływowego państwa. Czy wie pan, dlaczego? Ponieważ również tam, w Watykanie, istnieją, powiedziałbym, pewne wątpliwości co do metod śledczych Najwyższej Instancji, pozaziemskiej. A instancja ta nie ochroni skarbców Watykanu ani jego wspaniałych zbiorów dzieł sztuki, że wymienię tu tylko Pinakotekę, przed przestępczą działalnością oszustów, malwersantów, złodziei i fałszerzy.

Wyciągnąłem dłoń i uniosłem ją w górę. Wszyscy spojrzeli na sufit, unieśli głowy.

- Tam - powiedziałem patetycznie - nie ma zakładu kryminalistyki ani oficerów śledczych. Nie ma wydziału zabójstw ani podoficerów.

- Takich, jak pan? - zapytał drwiąco Zenobiusz.

- Nawet takich jak ja - odparłem opuszczając wzniesione ramię. - Nawet emerytowanych i niepotrzebnych już sierżantów.

Zenobiusz skinął głową.

- Prawdę mówiąc, mogę się zgodzić z tym, co pan powiedział. Niebo nie interweniuje doraźnie w ludzkie nieprawości. Już nie te lata.

- Otóż to - natychmiast przyjąłem punkt widzenia Zenobiusza. - I w tym tkwią paradoksy naszej epoki. Bogowie nie mogą znać się lepiej na zbrodniach niż ludzie, którzy wymyślają te zbrodnie i popełniają je wciąż i wciąż, niezmordowanie, każdego dnia.

Zgasiłem papierosa w ciężkiej kobaltowej popielniczce. Już od kilku minut trzymałem go w palcach i nie zaciągałem się.

- Ślady historii ludzkości - podjąłem temat - to ślady zbrodni wielkich i małych, tych genialnie obmyślonych i tych nędznych, tandetnych, nikczemnych. A pani - zwróciłem się do Laury - czy pani wierzy w boską sprawiedliwość?

Laura odpowiedziała bez chwili namysłu:

- Co można wiedzieć o życiu pszczół, jak się w ulu nie było? Mniej niż nic.

- Doskonale to pani ujęła - powiedziałem. - Nareszcie rozumiemy się. Mam nadzieję, że będziemy pomagać sprawiedliwości ziemskiej. Ona nie istniałaby bez pomocy ludzi, możecie mi wierzyć. Ma się doświadczenie.

Usłyszałem skrzypienie drzwi i zobaczyłem wchodzącą pokojówkę. Znowu weszła do salonu, zapewne wiedzona ciekawością, o czym tutaj rozmawiamy.

- Wszystko jest pozamykane, jak pan kazał - powiedziała.

- A kto w ogóle mógłby tu przyjść - zapytał Zenobiusz - w taki deszcz i po tej wodzie?

- Pan sierżant przyszedł - wtrąciła Laura.

- Tak, proszę pani - odezwała się Gienia. - Ale ja...

- Co pani? - zapytałem.

- Tak, proszę pana - powiedziała. I wyszła z salonu. Jeszcze raz przypatrzyłem się tym ludziom. Nic nie zmieniło się w ich zachowaniu.

- Więc nikt się nie przyznaje?

Potrząsnęli przecząco głowami. Ktoś powiedział „nie”.

- Drodzy przyjaciele. Mówię „przyjaciele”, bo jeszcze nie straciłem ufności i wiary w wasze poczucie sprawiedliwości. Jeżeli powtarzacie „nie”, tym samym wypowiedacie mi wojnę. Jak wojna, to wojna. Powtarzam: wśród was znajduje się przestępca. Może tylko współlnik przestępcy. Może tylko świadek tego przestępstwa. Będę zastawiać na niego

pułapki, będę go tropić i niepokoić z godziny na godzinę. Doprowadzę go wreszcie do stanu załamania nerwowego, może nawet do rozpaczy.

Milczeli, patrzyli na mnie.

- I cierpliwie będę czekać, aż ten człowiek przyjdzie do mnie i powie: panie sierżancie, tak jest, ja zabiłem Filomenę B. Zabiłem bogatą starszą damę, jak kiedyś Raskolnikow zabił bogatą staruszkę w *Zbrodni i karze*.

Milczeli, patrzyli na mnie.

- Znaście Dostojewskiego? - zapytałem.

Wszyscy, oprócz Laury, powiedzieli, że znają, że czytali, że widzieli w telewizji.

- A kto on taki? - zapytała Laura.

- Moja droga - wtrąciła pogardliwie Amelia - czasem warto jakąś książkę przeczytać, zwłaszcza klasyków.

- Prawdopodobnie na pewno - powiedziała Laura. - Ale klasycy piszą za małymi literami.

Potraktowałem poważnie wypowiedź Laury.

- Jeżeli ma pani słaby wzrok, można kupić okulary. Zaśmiała się.

- A jak się stłuka? E tam, żartowałam tylko. Ktoś musi pożartować, kiedy robi się nudno. A tutaj jest nudno, no nie?

Zenobiusz patrzył na odsłonięte uda Laury. Miała smukłe, długie nogi ta Laura. Myślałem jednak o innej dziewczynie.

- Jak ty siedzisz, kochanie? - zapytał Zenobiusz.

- Lepiej źle siedzieć, niż dobrze stać - powiedziała.

- Kochanie, ale wszystko widać.

- Zenek, nie bądź taki szybki. Za wcześnie na wszystko. I nie mów do mnie „kochanie”. Kochanie już się skończyło, i Możesz wykreślić z życiorysu.

- Lauro, jak możesz?

- Zenek, szkoda łez.

- Ale co się stało? Cóż to za nowa zasadzka?:- Byli czasy, ale się skończyli.

Amelia wstała, podeszła do okna.

- Co cię tak nosi? - zapytała Laura.

- Twoje prywatne porachunki z Zenobiuszem - odparła! Amelia - możecie sobie zostawić na później. To nie są sprawy, które mogłyby zainteresować pana sierżanta. Czy nie mam racji?

Powiedziałem Amelii, że nie ma racji. I że sierżanci milicji w takiej sytuacji interesują się wszystkim, nawet prywatnymi „porachunkami”. Są to szczegóły, bez których obraz całości pozostanie zamazany i niepełny. Lub w ogóle nieodgadniony. Ale po diabła wpakowałem się w to wszystko?

Barnaba bawił się ogniwoami ciężkiego łańcucha, który zwisał z jego szyi.

- Synku - zapytałem Barnabę - czy jesteś nieślubnym dzieckiem pana Zenobiusza?

Pozostawił łańcuch w spokoju, splótł obie dłonie na kolanach.

- Tak Zenobiusz twierdzi. Ale sam pan wie, że na tym świecie nie ma nic pewnego. Dam panu przykład: kiedy skomponowałem symfonię w stylu modern. Był to utwór ni saks alt, puzon, elektronowe organy, elektryczną gitarę, tłuczone szkło i wystrzały ze straszaka. Wie pan, taki pistolet startowy. I okazało się, że nigdzie nie można kupić straszaka. Nawet w komisach nie było. Nic nie ma pewnego i niczego na pewno nie można zaplanować. Takie jest życie. No i jak żyć, jeśli wciąż czegoś nie ma?

- Mogliśmy wypożyczyć straszak - powiedziałem. - Ach, ludzie nie doceniają milicji! Panie Zenobiuszu, czy ma pan jeszcze inne dziecko?

- Chcieliśmy mieć dwoje, bo z jedynakiem zawsze są kłopoty - powiedział smętnie Zenobiusz. I wskazał Barnabę: - Oto dowód rzeczowy, co może wyrosnąć z rozpieszczonego jedynaka. Jednak życie jest brutalne. Jego matka, zacna zresztą kobieta i niezwyklej urody, porzuciła mnie dla pewnego aktywisty. Czy pan sądzi, że on był lepszy niż ja? Nonsens. Był gorszy niż ja. Ale jej imponowała kariera polityczna tego mężczyzny. Ona miała fioła na punkcie polityki. Czytała wszystkie gazety od deski do deski, a przecież w owym czasie w każdej gazecie było to samo. Odeszła. Zostałem sam. W opuszczeniu i rozterce. Pełen żalu do świata, pełen goryczy. Ach, życie jest... Lauro, dlaczego się śmiejesz? Gryzę się tym wszystkim, a ty...

- Nie gryź się; Zenek, szkoda zębów.

- I skończ wreszcie z tymi wspominkami - dodała niecierpliwie Amelia. - Panu sierżantowi chodzi o sprawy istotne, które mają znaczenie dla prowadzonego przez niego śledztwa. Prawda, panie sierżancie?

Powiedziałem:

- Ta prawda nie ma znaczenia. Natomiast prawdą jest, że to, co najbardziej istotne, ukrywacie przede mną.

Milczeli, patrzyli na mnie.

- Wiem o tym - dodałem. Milczeli, patrzyli na mnie.

- Dlaczego milczycie? - zapytałem.

Milczeli nadal.

Padał deszcz.

Niebo bez gwiazd

W szumie ulewy ich milczenie było głośne, tak wtedy to odczułem; było jak szum ukryty we wnętrzu muszli przyłożonej do ucha. Powiedziałem im, nie tając niechęci, że fakty najbardziej istotne ukrywają przede mną.

- Nie, panie sierżancie - zaprzeczyła Amelia. - To, co najbardziej istotne, znajduje się tam, w przyległym pokoju: Pan wie, o czym mówię. Zwłoki Filomeny. Pan wie, że kiedy popełniono tę ohydną zbrodnię, wszyscy byli w domu. Pan wie, że wszyscy krążyli wokół tego miejsca. Byli w pobliżu, nim to się stało, i później, kiedy już się stało. Pan o tym wie.

- A pani? - zapytałem.

- Niczego nie ukrywam przed panem. Byłam wtedy w łazience, brałam prysznic. Do wanny nigdy nie nopuszczałam wody, bo korzysta z niej zbyt wiele osób, nawet Gienia więc nie chcę. Ubrałam się dopiero po przyjściu pana sierżanta.

- Wiem.

- Sądzę, że nim się ubrałam, widział pan zwłoki Filomeny.

- Przyznam, że to był przykry widok. Nie mniej przykry, niż wasze milczenie, inna sprawa. Czy naprawdę żadne z was nie ma nic do powiedzenia? Przecież ktoś musiał coś; zauważyć.

Nie odpowiedzieli.

- I nikt nie chce się przyznać. Nikt nie chce podać żadnego szczegółu. Więc wszyscy akceptujecie popełnioną zbrodnię?

- My? - usłyszałem kilka głosów.

- Tak, wy. Wasze milczenie jest aprobatą tej zbrodni. Udzielacie w tej chwili swego poparcia mordercy. Czy naprawdę odpowiada wam taka rola, jak osłanianie zbrodni? Słucham.

Nikt się nie odezwał.

Na twarzy Barnaby dostrzegłem z trudem powstrzymany śmiech. Spojrzał na Laurę. Laura również się uśmiechnęła.

- Dlaczego się śmiejesz, synku? - zapytałem Barnabę.

- Coś śmiesznego sobie przypomniałem - odpowiedział. - Każdemu może się przypomnieć coś śmiesznego.

- A pani? - zwróciłem się do Laury. - Jest pani jeszcze młodziutką dziewczyną...

- E tam - przerwała mi. - Już nie taka młodziutka. Pan przesadza, a to nie kwiaty w ogródku babuni.

- Ale jest pani na tyle młoda, że śmierć starej kobiety mogła zrobić na pani większe wrażenie niż na innych. W pani oczach nie dostrzegam smutku. Te oczy są nie tylko pogodne, ale nawet wesołe.

- Oczy to mam udane - powiedziała Laura. - Trafił pan. Przy panu także można się rozwinąć.

Zenobiusz krążył po salonie, zamyślony. Zatrzymał się i dotknął poufale mego ramienia.

- Rozumiem pańskie uczucia, sierżancie. Młodzież dzisiejsza jest wstrząsająco nieczuła... W sytuacji, w okolicznościach... Za moich czasów, proszę pana...

- Pan przesadza". Znam wielu młodych ludzi w wieku Laury. I powiem panu, że ich pokolenie jest bardziej udane niż nasze. Ambitni i rzeczowi ludzie. Patrzą na świat trzeźwo i rozsądnie, i wierzą w wartość ludzkiej pracy. Żałuję, że urodziłem się w innych czasach i że nie jestem jednym z nich.

- Tak, tak - potakiwał bezmyślnie Zenobiusz - ale zaraz, co to ja chciałem powiedzieć...

- Że życie jest brutalne, i pełne zasadzek - wtrąciła zniecierpliwiona Amelia. - Przecież nic więcej nie masz do powiedzenia! Same porzekadła albo staroświeckie banały. A co do Laury, panie sierżancie, to chcę panu wyjaśnić, że ona zawsze jest wesoła i pogodna. Taka się urodziła. Inne dzieci płaczą w kołysce, a Laura ryczała ze śmiechu już w momencie porodu. Tak mogłabym wytłumaczyć jej nastrój i chyba to panu wystarczy.

- Po wyjaśnieniu sprawa się wyjaśniła - stwierdziła rzeczowo Laura. - Panie sierżancie, jeszcze nic nie jadłam. A jak żołądek piszczy, to człowiek się niszczy.

- Jeszcze zdąży pani zjeść - powiedziałem, - Mam nadzieję, że nie będzie to makaron z parmezanem i arsenikiem.

- Więc nasza kucharka naprawdę? - zapytał Barnaba.

- Tak, synku, naprawdę. Szkoda, że nie weźmiecie udziału w jej pogrzebie. Chciałbym przyjrzeć się wtedy waszym twarzom.

Na stole leżała książka, którą tego wieczoru Filomena trzymała na kolanach. Był to *Człowiek śmiechu* Wiktora Hugo. Wziąłem książkę do ręki i spojrzałem na ostatnią stronę.

„Szedł przed siebie - czytałem. - Wydawać by się mogło, że coś widzi... Nie odrywał spojrzenia od jakiegoś punktu; tu na niebie, wysoko, w górze... Niebo było czarne, bez żadnej gwiazdy, ale on widział gwiazdę na tym niebie”.

Odłożyłem książkę i spojrzałem na niebo za oknem, poprzez szyby zalane wodą. Niebo było czarne. Nie zobaczyłem żadnej gwiazdy na czarnym niebie.

W książce tkwił sztylet z ozdobną rękojeścią. Wyjąłem go i pokazałem Zenobiuszowi.

- Od jak dawna Filomena używała tego sztyletu do rozcinania papieru? Pan znał Filomenę najdłużej i chyba najlepiej, więc może pan wie, chyba się nie mylę.

- Używała go, panie sierżancie, jeżeli tylko niesforna pamięć mnie nie zawodzi, około czterdziestu lat. Rozcinała nim kartki w książkach i w ogóle papier. Nawet papier do toalety, za przeproszeniem, kiedy na rynku nie było rolek.

Obejrzałem jeszcze raz klingę sztyletu. Była bardzo ostra i nie zauważyłem na niej żadnych śladów ani zadrapań.

- Przecinanie papieru tępi ostrzę dość szybko. A to, które widzicie, jest niezwykle ostre.

Amelia zbliżyła się i obejrzała sztylet.

- Prawdopodobnie Filomenę zamordowano innym sztyletem, którym ona rozcinała kartki. A drugi sztylet, który pan sierżant trzyma, wsunęto do jej książki.

- Po co? Dlaczego?

Nikt nie wiedział po co ani dlaczego.

- Były więc dwa takie sztylety - powiedziałem - jednakowe, z ozdobną rękojeścią. Wymyślono niegdyś tę broń po to, by służyła do celów obronnych lub skrytobójczych. Tym razem użyto jej do tego drugiego celu. Proszę mi powiedzieć, do kogo należał drugi sztylet - uniosłem go w górę - właśnie ten ostry?

Zenobiusz potrząsnął głową i założył nogę na nogę, wciąż patrząc na wzniesiony sztylet.

- Kto to może wiedzieć - odparł. - Nigdy nic nie wiadomo.

- Także nie mam pojęcia - niepewnie dorzucił Barnaba.

Zauważyłem, że na widok sztyletu Barnaba spojrzał szyfoko na Laurę. Kiedy zaś Amelia powiedziała, że Filomenę zabito sztyletem tęnym, którego używała Filomena, Laura pochyliła się w stronę Barnaby i coś szepnęła. Przypuszczam” że mogła mu powiedzieć: „coś tu nie gra”. Ale to było tylko przypuszczenie.

Powiedziałem:

- Właściciel tego sztyletu może być posądzony o morderstwo.

- Niekoniecznie - odezwała się Amelia. - Przecież ktoś mógł wykraść właścicielowi sztylet i zabić nim Filomenę. Ale po co wykładał sztylet, jeśli Filomenę zabito jej własnym, stępionym? Tego nie mogę zrozumieć.

Położyłem sztylet na stole, obok książki.

- Morderca nie przewidział, że ktoś odróżni ostrza obu sztyletów. Są do siebie ładząco podobne. Zdemaskowałem ten manewr i ostrzegam was, że zdemaskuję wszelkie inne kalkulacje mordercy. Proszę nie liczyć na własny spryt ani na moją naiwność.

Rozpędziłem się niepotrzebnie - pomyślałem. Byłem jednak zmęczony po wyprawie do Z., po tym biegu w błocie i deszczu w kierunku dworu. Miałem przemoczone buty. Katar znowu dał się we znaki. Wyjąłem chusteczkę i przyłożyłem ją do nosa. A może nie zdemaskuję intryg mordercy? Może jego przebiegłość będzie górować nad moim doświadczeniem?

- No tak - powiedziałem, nie wiadomo dlaczego. - Pytam po raz ostatni: kto...

Nie dali mi dokończyć pytania i wpadli w zaczęte zdanie kilkoma okrzykami: „to nie my. Nie ja. Ani ja”.

Chcą mnie wykończyć - pomyślałem. - Zmówili się przeciw mnie. Oni będą mnie zadrećcać, nie ja ich. Są górą, i ta świadomość daje im przewagę nade mną. Byłem tego dnia w nie najlepszej, nawet w dość podłej formie. To także mnie peszyło.

- Deszcz, katar i wy - powiedziałem - to trochę za dużo na jednego emerytowanego sierżanta. Zapewniam was jednak, że jestem cierpliwy i że potrafię dużo znieść. Byłem już w gorszych opałach, możecie mi wierzyć. I jakoś z tego wychodziłem. Z tarczą, a nie na tarczy.

- A może pan coś opowiedzieć ze swoich przygód? - zapytała Laura. - Niech pan coś opowie!

- Kiedy zamkniemy śledztwo - powiedziałem. - Mam wrażenie, że postanowiliście utrudnić mi moją pracę. Zmówiliście się przeciw mnie. Zachowujecie się jak spiskowcy.

- My?

- Ale co pan!

- Zgroza!

- Ależ panie sierżancie!

- Jak pan może!

Widocznie mogłem. Czuję, że jestem otoczony spiskowcami. Ci ludzie instynktownie zatajali myśli i ukrywali przede mną swoje spostrzeżenia.

Przypomniałem sobie, że ostatnia strona powieści Wiktora Hugo, na którą przed chwilą patrzyłem, kończy się takim zdaniem:

„Homo stał u burty, i wył w ciemność, patrząc na morze”.

Homo, tak nazywał się pies. Jak nazywa się pies, który w budzie przed dworem Filomeny w tej chwili także wyje? Czy wycie tego psa zapowiada nową śmierć? Przypuszczenie absurdalne, jednak w tym momencie właśnie tak pomyślałem I także chciałem zawyć w tę ciemność za oknem. Byłem bardzo zmęczony. Ogarniał mnie nastrój zniechęcenia i rezygnacji.

Padał deszcz.

Telefon

Zaprzeczyli, kiedy im powiedziałem, że są w zмовie przeciw mnie. Oburzyło ich takie posądzenie. Ile w tym oburzeniu było obłudy, a ile urażonej godności?

- Pozwólcie w takim razie, że ogłoszę koniec waszej zabawy, okrutnej zabawy w śmierć - powiedziałem. - Jeżeli nie macie do mnie zaufania, także przestanę wam ufać. Wtedy porozmawiamy inaczej. Ostrzegam was, że są na to sposoby. Zmylił was mój spokojny ton, towarzyski i przyjazny sposób bycia. Jeszcze nie wiecie - starałem się nadać memu głosowi ton groźby - z kim macie do czynienia.

- Wiem, z kim mamy do czynienia - odezwała się Laura. - Pan się przedstawił.

- Przestań już, Lauro - upomniała ją Amelia.

- Czy pani także zależy - zapytałem z wyrzutem, nawet z żalem - na utrudnieniu mi...

- Nie, panie sierżancie - zaprzeczyła Amelia - naprawdę mi nie zależy. Ufam panu. Oni wszyscy panu ufają. Ale nie mają do siebie zaufania, nigdy go nie mieli. Kiedy są razem, stają się nieszczerzy i boją się prawdy.

- Zauważyłem to i myślę tak samo jak pani. Jednak przede wszystkim musiałem poznać was, kiedy jesteście razem, nie rozproszeni. Przypuszczałem też, że wspólnie coś ustalimy i dojdziemy do wniosków, które pomogą w rozwikłaniu tej ponurej sprawy.

- Tak, ale pan sierżant nie wie jeszcze o wszystkim. Domyśliłem się, co Amelia chce powiedzieć.

- Czy chce pani powiedzieć, że nagromadziło się wśród was zbyt wiele sprzecznych interesów i niezdrowych ambicji, zawiści, może nawet chciwości? O to pani idzie?

- Właśnie tak chciałam powiedzieć - potwierdziła Amelia. - I chyba nie doceniłam pana, jeżeli pan szybko zorientował się w skomplikowanych układach.

- A siebie pani wyłącza z tych układów? - zapytałem w odruchu niechęci. - Pani to nie dotyczy?

Amelia wróciła do stołu. Usiadła na krześle. Zapaliła papierosa i głęboko zaciągnęła się dymem. Patrzyła na mnie. Zastanawiała się chyba nad moim pytaniem.

- Mnie nigdy nie interesowało - powiedziała - jak wydam się innym. Interesuje mnie tylko, co sama o sobie pomyślę. Pan chciał się czegoś dowiedzieć o nas i po to zebraliśmy się w saloniku. Jestem więc szczerą, powiedziałam panu prawdę: zawsze sama oceniam moje postępowanie i liczę się tylko ze sobą.

Zapytałem:

- A pewne ustalone przez doświadczenie ludzkie normy moralne? Te, które obowiązują nas wszystkich. Z tymi pani się nie liczy?

Znowu zaciągnęła się głęboko dymem papierosa.

- Panie sierzancie, nie mogę liczyć się z czymś, co już nie istnieje. Czego w ogóle nie ma.

- Każdy może tak powiedzieć” żeby siebie usprawiedliwić. Nazwałbym to obłudą, świadomą obłudą. Komedia obłudy, która jest niekiedy bardziej przerażającą niż zbrodnia. To jest ten rodzaj rozpowszechnionej obłudy, który najbardziej nas zatruwa. Każdy myśli o sobie i jeszcze ma odwagę usprawiedliwiać swój egoizm, nawet szcycić się nim.

Amelia była skupiona i poważna, zastanawiała się nad każdym moim słowem. I znowu jej zagadkowy, niepokojący wyraz twarzy.

- Każdy człowiek sam siebie wymyśla - powiedziała. - Wymyśla siebie dla innych: popatrzcie, taki jestem lub taka jestem. I nie życzę sobie, by ktokolwiek myślał o mnie inaczej.

- Widzi pani - powiedziałem - chyba doszedłem do dalszych kręgów wtajemniczenia niż pani. Nic pana nie pomoże, że wymyśli pani siebie tak czy inaczej. Bo naprawdę to inni nas wymyślają. Podobnie jak pani wymyśliła przed chwilą siedzących tu ludzi: zawistni, chciwi, nieufni. Czy tak?

:- W pewnym sensie usprawiedliwiam ich - odparła wymijająco. - Nie mają władzy, nie mają żadnych wpływów, nic nie znaczą w społeczeństwie, więc chcą być kimś ważnym dzięki pieniądзом.

- O wszystkich myśli pani tak samo?

- Proszę spojrzeć na Zenobiusza - powiedziała Amelia. - Chce mieć spokój i wygodną starość. Prawda, Zenobiuszu? Proszę spojrzeć na Laurę. Laura chciałaby podróżować z walizkami pełnymi komisowych ciuchów, bawić się i nie mieć żadnych trosk.

- Pani upraszcza te sprawy - wtrąciłem. - Ludzie są bardziej skomplikowani, i nie można ująć ich charakteru czy osobowości w jednym zdaniu, w kilku epitetach i przymiotnikach.

Amelia nie słuchała. Patrzyła na Barnabę.

- Proszę teraz spojrzeć na Barnabę - mówiła. - Chciałby w spokoju układać kompozycje na elektryczną gitarę, elektronowe instrumenty i tłuczone szkło. A Gienia? Jest tylko pokojówką i na pewno marzy, by być panią domu i także mieć pokojówkę. Eligiusz chciałby mieć sto tysięcy tomów we własnej bibliotece i wymyślić nowy system filozoficzny, być sławnym jak Sartre albo McLuhan. Każdy pragnie czegoś innego, niż ma, i każdy stara się być kimś innym, niż jest.

- A pani? - zapytałem.

Byłem zadowolony z tej rozmowy, w której Amelia charakteryzowała swoje otoczenie i ujawniała siebie samą. „- Mam tylko jędrno pragnienie: żeby już nie widzieć ich wszystkich. Nie chcę ich widzieć, drażnią mnie.

- Barnaby także? - zapytał Zenobiusz. - Narzeczonego? Amelia spojrzała na Laurę i na siedzącego obok niej Barnabę. Skłonili głowy ku sobie, trzymali się za ręce.

- Nie zauważyłeś, Zenobiuszu, że Barnaba zmienił swoje plany matrymonialne? Spójrz tylko, kim interesuje się teraz.

Laura zaśmiała się, mocniej ścisnęła dłoń Barnaby.

- Zenek, coś ty? - zapytała. - Otworzyłeś usta, i nic nie mówisz. Powiedz coś, bo jak zamkniesz usta, będzie za późno.

- Chyba zdębiałem - powiedział Zenobiusz.

- Jak zdębiałeś, to wypuść listki.

- Kochanie...

- Daj mi już spokój z tym kochaniem! Wszyscy chcieliby się tylko kochać, ale jak trzeba zrobić coś dla człowieka, to wtedy zmywają się. Odpadają bez słów.

Przypatrywałem się Amelii. Była zdenerwowana, niespokojna. Wyczułem to już wtedy, kiedy wygłaszała tyradę o zaniku norm moralnych. Zaciągnęła się jeszcze kilka razy i zgnrkła papierosa w popielniczce. Czy przyczyną tego niepokoju był Barnaba?

- Pani jest zdenerwowana - powiedziałem.

- Jestem.

- Dlaczego?

- Widocznie mam powód.

- Pani pierwsza zauważyła zwłoki Filomeny - powiedziałem.

- Tak pan sądzi?

- A więc kto? - zapytałem.

- Pokojówka wcześniej widziała. Spojrzałem na Zenobiusza.

- Czy tak?

- Panie sierżancie - odparł - to chyba prawda. Bo mnie właśnie Gienia powiedziała. A kiedy pobiegłem do pokoju, Amelia już tam była.

- Każdy mógł wejść do tego pokoju przede mną. Może nawet byłam ostatnia z tych, którzy zauważyli zwłoki Filomeny?

Nareszcie mówili. Jednak sprawa w ich relacjach zaczęła się gmatwać. Fiic się tu nie zgadzało. Zapytałem:

- Jeżeli inni zorientowali się wcześniej, co stało się z Filomeną, dlaczego nie zaalarmowali domowników?

- Pan sierżant prowadzi śledztwo - odparła - nie ja. Więc pan musi znaleźć odpowiedź na te pytania.

Muszę - pomyślałem. - I znajdę. Ale wtedy ziemia zachwieje się wam pod stopami!

Postanowiłem, że teraz mogę już z każdym oddzielnie rozmawiać. Żeby ustalić, kto pierwszy zobaczył zwłoki.

Odgłosy burzy oddaliły się. Jednak niebo było wciąż czarne i wciąż słyszałem stłumiony buk spienionej rzeki.

Przechadzając się po salonie, zatrzymałem się na moment przed aparatem telefonicznym. Gniazdko, do którego podłączony był przewód biegnący z aparatu, znajdowało się obok futryny drzwi, było umocowane na wysokości metra od podłogi. Tuż pod nim dostrzegłem luźno odstającą końcówkę telefonicznego kabla. Była prawie niewidoczna, odchylona zaledwie o kilka milimetrów.

Usiadłem na krześle i przysłoniłem gniazdko ramieniem. Zdjąłem z widełek słuchawkę, lecz nie przykładałem jej do ucha.

- Dzwonek, wysiadł - powiedziała Laura.

- Tak, telefon jest zepsuty - dodała Amelia.

- I ja tak sądzę - odparłem.

Ramiona założyłem na piersiach. Z lewej dłoni, na wysokości moich piersi, zwisała słuchawka. Palcami prawej dłoni, ukrytej pod pachą i zasłoniętej ramieniem, lekko starałem I się wsunąć odstającą końcówkę do małego otworu u dołu gniazdka.

Usłyszałem w słuchawce lekki trzask, później początek monotonnego buczenia. Wypuściłem końcówkę z palców i jeszcze przez chwilę ważyłem słuchawkę na dłoni, nim odłożyłem ją na widełki. Nikt nie zauważył tej manipulacji z końcówką.

Telefon działał.

Ktoś celowo wyłączył aparat.

Miałem więc do czynienia z człowiekiem przebiegłym, który wszechstronnie starał się zabezpieczyć przed możliwością interwencji z zewnątrz. I przed możliwością zdemaskowania i udowodnienia mu popełnionej zbrodni.

Spojrzałem w okno. Odgłosy burzy oddaliły się, światło błyskawic nie docierało już do salonu. Jednak niebo było wciąż czarne i wciąż dobiegał nas groźny szum spiętrzonych wody.

- I jak tam, panie sierżancie? - zapytał Zenobiusz. - Wymyślił pan coś?

- Pada deszcz - powiedziałem.

Uwięziony

Byłem na wskroś przemoczony i zziębnięty. Musiałem się umyć i zmienić bieliznę. Miałem ją w torbie podróżnej, także ręcznik i przybory toaletowe.

Powiedziałem, że wychodzę do łazienki i że później porozmawiam z każdym oddzielnie. Przede wszystkim chciałem mówić z pokojówką. Wchodziła kilka razy do salonu i wydawało mi się, że chciała coś powiedzieć, ale nie przy tych ludziach.

- Dotychczas rozmawiałem z państwem - powiedziałem - jak z ludźmi godnymi zaufania. Teraz będę musiał rozmawiać jak z podejrzanymi.

Oczywiście Laura miała coś do powiedzenia, jak zawsze.

- W naszym fachu nie ma strachu, jak mówił jeden znajomy milicjant.

- I miał rację. Zapewniam panią, że w tej chwili tylko morderca odczuwa strach.

Zenobiusz podszedł do mnie.

- Panie sierżancie - szepnął - chciałem coś...

- Coś do mnie czy w ogóle?

- W ogóle - odpowiedział. - Do ubikacji, panie sierżancie. To na tle nerwowym, pan wie. Już nie te lata.

Patrząc na jego rozdygotane dłonie, nie wątpiłem, że na tle nerwowym.

- Proszę bardzo, może pan wyjść. Zresztą również muszę opuścić was na kilka minut.

Wyszedłem z salonu. Za mną Amelia. Przede mną Zenobiusz.

Po moim wyjściu rozmowa wśród pozostałych tam osób miała przebieg następujący:

Laura powiedziała tłumiąc śmiech:

- Ha, ha, zaśmiała się hrabina po francusku. Barnaba pogroził jej palcem:

- Inspektor da ci hrabinę po francusku, jak dowie się, że to tylko kawał i że Filomena żyje?

- A co, sierżant cioci nie oglądał?

- Widziałem tylko, że stał w drzwiach. Nie wiem, czy oglądał.

- Więc skąd ta mowa o morderstwie?

- Powiem ci, skąd. Felczer obejrzał ciocię i wypisał świadectwo zgonu. Dał sierżantowi.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie rozumiesz? Ciocia musiała uprzedzić felczera o swoim pomysłe. Chciała, żeby wszyscy naprawdę uwierzyli w jej śmierć. Skąd ciocia mogła wiedzieć, że w tym czasie, kiedy fala powodziowa zagrażała wiosce, przyjdzie tutaj sierżant? Ciocia tylko przez powódź zdecydowała się na taki kawał, bo to zabezpieczało ją przed interwencją milicji, przyjazdem lekarza i tak dalej. Dała felczerowi w łapę, a on i wypisał świadectwo.

- Kto nie daje, ten odstaje - zadeklamowała Laura. - Na tym świat stoi, no nie? Albo i leży.

Barnaba nie poddał się beztroskiemu nastrojowi Laury.

- A ja ci mówię - powiedział - że z tego będzie draka.

- Bywają większe draki, że fruują raki.

- Jak to fruują raki? - zdziwił się Barnaba. - Kiedy?

- Jak są większe draki. Przecież powiedziałam.

- Śmieszna jesteś z tymi swoimi gadkami. Człowiek nigdy nie wie, co ma odpowiedzieć, bo nie wie, z czym wyskoczysz.

- Także nigdy nie wiem, z czym wyskoczę. Ter przychodzi samo, nie wiadomo skąd. Co się tak martwisz?

Barnaba rozsiadł się wygodnie w fotelu Filomeny, wyciągnął przed siebie nogi, ręce położył na bocznych oparciach. Stopy kołysały się rytmicznie na wysokich czubkach obcasów.

- Dobrze mówisz, Laura. Nie będziemy się martwić. Ciocia beknie, a nie my. Milicja wie, że młodzież musi słuchać starszych. Ciocia nas namówiła, no nie? I do tego, żebyśmy razem chodzili, ty i ja, także nas namówiła. Zenobiusz się wścieka, widziałas? Powiedz mu, że jest dla ciebie za poważny. No bo jest poważny, nie?

- Chłop antyk, a jeszcze romantyk. Tak mu powiem.

- Właśnie. Słuchaj, Laura, skąd bierzesz takie różne powiedzonka? Do każdej sytuacji coś dopasujesz, jak zegarmistrz.

- Znałam kiedyś takiego jednego bananowego koleśka i on mnie trochę nauczył. Dobry chłopak. Krzywdy nikomu nie zrobił, ale wachał tritox, a później wachał albo połykał jakieś przysmażone proszki do prania. Zatrął się i wzięli go do szpitala. Narkoman na bocznym torze życia. - Narkomani nie jedzą proszków do prania. Nie czaruj.

- A co biedak miał jeść? Po parówkach nie ma się kolorowych wizji. Ani po śledziach w marynacie.

- Chyba że byłyby nieświeże - zaśmiał się Barnaba. - Łączyło cię coś z tym koleśkiem?

- Nie brałam ślubu. A narkotyków nie używałam. Z tego można wykorkować, szkoda młodego życia.

- Myślałam o takich intymnych sprawach, chyba wiesz.

- Nie, ten koleś wołał tri. Dziewczyny mu nie podchodziły. Nie czuł do nich mięty.

- Az kimś innym nic nie miałaś?

- Chyba nie wyglądam na taką, która ma własne dzieci pod opieką babci zamieszkałej na prowincji.

- Nie „pytałem o dzieci. Ale wiesz... Czy nikt ci się nie narzucał z seksem?

- Był taki jeden całkiem seksowny. Długi w krótkim płaszczu. - I zadeklamowała: - Ale mi się nic nie stało, bo ktoś krzyknął puść to ciało.

- Ty to jesteś śmieszna, o rany! Musisz mnie nauczyć różnych odpowiednich powiedzonek. Z takim człowiekiem sobie poradzi nawet na dworcu.

Laura usiadła na stole.

- Barnaba - zapytała - kiedy byłeś mały, to jak cię wołali?

- Zdziwisz się. Całkiem zwyczajnie: chodź tutaj.

- Co ty masz w głowie? Chyba tylko makulaturę, złom i inne odpadki. Pytałam się, jak po imieniu cię wołali. Barnabaś? Barnabasik? Może Basik albo Nabasik?

- O rany, w ogóle mnie nie wołali! Mówili: chodź tutaj. I już. Całkiem zwyczajnie.

Laura westchnęła.

- Miałeś trudne dzieciństwo i nikt cię nie kochał. Jak syn nieznanego żołnierza.

- No - potwierdził Barnaba. Przypatrywali się sobie w milczeniu.

- Baś będę do ciebie mówić, wiesz? Baś, posłuchaj, może I jednak powiemy panu sierżantowi, że z ciocią to był tylko prima aprilis i że ciocia nam kazała?

- Głosuję przeciw - odparł Barnaba. - Naraziłabyś się cioci. Sama słyszałaś, co ciocia powiedziała: że wytrzyma na fotelu całą noc i cały dzień. I że sama powie, kiedy trzeba zabawę skończyć.

Usłyszeli chrząkanie Zenobiusza. Właśnie wchodził do salonu i ostrożnie zamykał za sobą drzwi.

- Kochanie - powiedział do Laury - kiedy inspektor szedł do łazienki, powiedział, że chce z tobą rozmawiać. Musisz zaczekać kilka minut.

- Można czekać godzinę albo dwie, ale nie kilka minut, i Nie nadaję się na kilka minut.

Barnaba nagle zerwał się z fotela. Przechylił zabawnie głowę w kierunku drzwi wiodących na korytarz.

- Ktoś mnie wołał?

- Nie słyszałam - odpowiedziała Laura - bo zagadałam się z Zenkiem na śmierć. Teraz trzeba nas ekshumować; i ożywić.

- A ty nie słyszałaś? - Barnaba zapytał Zenobiusza.

- Już słuch nie ten - odparł smętnie Zenobiusz. - Ale może ktoś wołał. Lepiej zobaczyć.

- Chyba tak - powiedział Barnaba. Szybko wyszedł na korytarz.

W tym czasie byłem już w łazience. Wymyłem się, natarłem ciało frotowym ręcznikiem. Zmieniłem bieliznę i skarpetki. Poczułem się lepiej i raźniej. Buty były przemoczone; jednak nie miałem drugiej pary. Pomyślałem: dobrze, że ta młoda dziewczyna, której obiecałem, że napiszę list, nie widziała mnie przed chwilą. Spojrzałem w lustro. Wyglądałem żałośnie. Nos był lekko zaczerwieniony. Już wiedziałem, bo na tyle znałem siebie, że nadciąga katar-gigant.

Przemoczoną bieliznę wrzuciłam tymczasem do opróżnionej teczki. Maszynkę do golenia, krem, ałun, pastę do zębów i szczoteczkę położyłem na jednej z kilku szklanych półek w ściennej szafce.

Pomyślałem, że natychmiast powinienem porozmawiać z Gienią. Później z Laurą. Przyływ dobrego samopoczucia. Zbliżyłem się do pokrytych białym lakierem drzwi łazienki. Odsunąłem zasuwkę. Nacisnąłem mosiężną klamkę. Drzwi nie otwierały się.

Sprawdziłem, czy zasuwka zaczepiła o metalnym zabezpieczony otwór, w który była przed chwilą wsunięta. Nie zaczepiła.

Jeszcze raz nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte od zewnątrz. Zajrzałem w otwór zamka.

Z przeciwległej strony tkwił klucz. Ktoś go przekręcił w czasie, kiedy odgłosy dochodzące z korytarza zagłuszał strumień wody spadający z kranu do umywalki.

W szafce ściiennej znalazłem przypinkę do włosów. Może to przypinka Filomeny? Wsunąłem ją w otwór zamka. Wielokrotnie próbowałem już nawet nie przekręcić, ale przynajmniej poruszyć klucz. Nic z tego.

To był duży klucz, w solidnym zamku starej roboty, i przekręcony tak, że dolna część otworu pozostała odsłonięta. Mozę przy dalszych zabiegach, jakimi innym narzędziem, udałoby mi się wypchnąć z zaimka klucz. Lecz to nie zmieniłoby w niczym sytuacji. Drzwi łazienki nie miały u dołu szczeliny, przez którą mógłbym przyciągnąć klucz do łazienki.

Byłem uwięziony.

Padał deszcz.

Cień śmierci

Barnaba wyszedł z salonu. Wydało mu się, że ktoś go wołał:

Laura i Zenobiusz pozostali sami. Laura wierciła się niespokojnie. Nie miała ochoty na rozmowę, a Zenobiusz szukał pretekstu do jej podjęcia.

- Zenek, nie mam melodii do gadania.

- Kochanie - odezwał się łagodnie - kochanie, jednak czuję, że masz coś ważnego do powiedzenia. Prawda, ko-ł chanie?

Laura skinęła głową. - Proszę cię, mów. Zaufaj memu doświadczeniu. I bądź szczerą. Wiem, że życie jest pełne zasadzek. Przywykłem do tego. Proszę cię, powiedz otwarcie i bez ogródek.

Patrzył na Laurę z desperacją skazańca.

Powiedziała:

- Podobno łysych będą papą kryli. Już wiesz? Zenobiusz cofnął się ze zdumienia.

- A cóż to za pomysł?

- Jedna pani w ogonku mówiła - odpowiedziała Laura z powagą.

- W jakim ogonku?

- Przed sklepem, tam gdzie peruki sprzedawali.

- Kiedy?

- Wtedy - zaśmiała się. - Oj, Zenek, Zenek, co z ciebie wyrośnie.

Zenobiusz chrząknął i pogroził jej otwartą dłonią.

- A mnie jedna pani mówiła - prawie krzyknął - że mądrej głowy, włos się nie trzyma!
Nie bądź taka ważna! Także kiedyś wyłysiejesz, tak samo jak ja. Albo jeszcze gorzej.

- Bywa różnie - spokojnie powiedziała - kwadratowo i podłużnie.

Zenobiusz westchnął, bezradnie opuścił wzniesioną dłoń.

- Czy ty naprawdę, kochanie, rezygnujesz z naszych wzniosłych planów na przyszłość? - zapytał. - Przecież my się naprawdę kochamy.

- Kochamy się okrutnie, jak jedno w Płocku, a drugie w Kutnie.

Spojrzała na wskazujący palec Zenobiusza. Zaciskał wskazujący palec, na którego opuszce ukazała się kropla krwi. Przytknął go do ust, jakby chciał wysssać tę krew.

- Pokaż - powiedziała. - Co ci się stało?

- Drzazga się wbiła. Potrafisz wyjąć drzazgę? - podał Laurze odwróconą dłoń. - Tak się zdenerwowałem, jak pan sierżant o coś mnie pytał, że wbiłem sobie drzazgę. Ostrożnie!

Laura miała wpiętą szpilkę w kołnierzyk trykotowej bluzki. Wyjęła ją i delikatnie zaczęła podważać naskórek na wskazującym palcu Zenobiusza, tak, by odsłonić koniuszek drobnej drzazgi.

- Ostrożnie - zasyczał Zenobiusz. - To boli. Barnaba wrócił do salonu.

- No i co? - zapytała Laura zajęta palcem Zenobiusza. - Kto ciebie wołał?

- Zdawało mi się. Chyba sierżant wołał Gienię, żeby przyszła na górę. Albo Gienia wołała sierżanta. Nie wiem.

Laura wydostała spod naskórka drzazgę. Podała ją na ostrzu szpilki Zenobiuszowi.

- Skocz, Lauro, i zawołaj Gienię - powiedział Barnaba. - Jest chyba u siebie, w pokoju służbowym. Pan sierżant chce z nią mówić. A ona chyba też ma coś do powiedzenia.

Laura wyszła z salonu.

- Gdzie mogła się podziać Gienia? - zastanawiał się Barnaba.

- Lepiej nie zmieniaj tematu i powiedz zatroskanemu ojcu, co takiego kręcisz z Laurą.

- Głęboki romans osnuty na tle.

- Co to ma znaczyć?

- Zaczekajmy z tym do jutra - zaproponował Barnaba. - Jutro wszystko się wyjaśni. Nie spiesz się. Lepiej poczekać.

Zenobiusz był oburzony.

- Co się wyjaśni jutro? I w ogóle zachowujesz się co najmniej dawnie. Zawsze jęczałeś - Zenobiusz zaczął przedrzeźniać Barnabę - „kocham ciocię, ja najbardziej kocham ciocię, ciociu kochana, ja bez cioci nie mogę żyć”. A teraz nawet łzy nie uronisz.

- Sam powiedziałeś, żebym pozyskał sobie „przychylność cioci”. No to pozyskałem z nadwyżką.

- Zachowywałeś się wobec Filomeny jak wazelinarz, bez poczucia godności osobistej. Tyle ci powiem. A teraz, kiedy biedna Filomena jest już po tamtej stronie dzięki brutalnemu ciosowi, jaki zadało jej podstępne życie, ty jesteś rozbawiony i rozpromieniony. W tym jest coś podejrzanego. Przyznaj się ojcu.

- Tutaj kroi się inna kobra, Zenobiuszu. Chyba dramat pod tytułem „powrót taty bez wypłaty”. Bo coś tak czuję, że tata nie dostanie spadku po Filomenie.

- Ktoś inny o tym zadecyduje, smarkaczu. I nie zmieniaj tematu. Pytałem o Laurę i o twoje zamiary w stosunku do tego niewinnego dziecka. Na to pytanie musisz natychmiast; odpowiedzieć. Sprawa o doniosłym znaczeniu.

Barnaba podszedł do Zenobiusza i nachylił ku niemu twarz, jakby chciał mu powierzyć szeptem jakiś sekret.

- Zenobiuszu - cicho powiedział - wiem, u kogo był ten ostry sztylet, który podłożono Filomenie.

Zenobiusz również pochylił twarz ku Barnabie i zapytał jeszcze ciszej, prawie przykładając usta do jego ucha.

- Skąd wiesz?

- Ciocia powiedziała.

- Ciocia! - zachnął się Zenobiusz. - Ciocia nie żyje. Teraz możesz zmyślać, co zechcesz. Nikt ci nie uwierzy.

- Zdziwisz się.

- Nie myślę się. Ty, Barnabo, nie budzisz zaufania. Byłem już za stary, kiedy ciebie pocałem. Tak znaczna różnica wieku sprawiła, że nie mogliśmy się zaprzyjaźnić, kiedy dorastałeś. I teraz ponoszę skutki tej nieodwracalnej pomyłki życiowej.

- Jeżeli pomyłka jest nieodwracalna, nie warto mówić. Porozmawiajmy raczej o tym, co może dałoby się jeszcze odwrócić. Może.

- Mówisz u sztylecie?

- O sztylecie, który był przedtem w twoim pokoju.

- Nikt mi tego nie udowodni. Biedna Filomena już nie może zeznawać, a twoje zeznania...

- Zenobiuszu - Barnaba starał się mówić jeszcze ciszej, niż mówił Zenobiusz - Gienia także wie, gdzie był ten drugi sztylet.

- Gienia na pewno nie powie. Mam zaufanie do Gieni. To nader dyskretna dziewczyna.

- A do mnie masz zaufanie.

- Zastanowię się - powiedział Zenobiusz.

- Już nie musisz. Powiem sierżantowi, gdzie był sztylet.

Zenobiusz dopiero w tym momencie rozumiał, czym mu to grozi. Przecież przed chwilą odpowiedział sierżantowi, że nie ma pojęcia, skąd wziął się drugi sztylet. Chciał coś wyjaśnić Barnabie, kiedy w drzwiach salonu ukazała się Laura. Zobaczyła obu, pochylonych ku sobie, szepczących.

- Co wy knujecie? - zapytała. Zenobiusz cicho i szybko powiedział:

- Zaklinam cię, milcz!

- W takim razie zostaw Laurę w spokoju.

- Figur za figur? - zapytała Laura. Słyszała tylko odpowiedź Barnaby.

Barnaba rzucił jeszcze w stronę Zenobiusza:

- Jutro wszystko się wyjaśni. Dopiero jutro. Zaczekaj do jutra.

W otwartych drzwiach salonu stała Amelia.

- Co się wyjaśni? - zapytała, idąc w ich stronę. Było coś niepokojącego, elektryzującego w jej głosie.

Barnaba, Zenobiusz i Laura spojrzeli na nią. Przez chwilę milczała, również patrzyła na nich. Wreszcie powoli powiedziała:

- Już się wyjaśniło.

- Co? - prawie równocześnie zapytali Laura i Barnaba. Może pomyśleli, że Filomena zakończyła udawanie zmarłej?

- Gienia nie żyje - powiedziała Amelia. - Gienia także nie żyje - powtórzyła.

Padł deszcz.

Kropla krwi

Nie chciałem dobijać się do drzwi, pukać ani wzywać pomocy. Sierżant zamknięty w łazience! I to wtedy, kiedy rozpoczyna samowolne dochodzenie w sprawie zabójstwa! Byłbym ośmieszony w oczach tych ludzi. Wyobraziłem sobie także, jak później popatrzyłyby na mnie szef! Nie, nie mogłem podejrzanych prosić o uwolnienie mnie z łazienki.

W ścianie nad wanną było małe okno, wąskie, poprzecznie osadzone w murze. Otworzyłem je. Do łazienki wpadł powiew wilgotnego powietrza, niósł kropie wody.

Obok łazienki znajdowała się ubikacja. Pomyślałem: jeżeli w ubikacji jest otwarte okno, przejdę po gzymsie do tego okna i tą drogą wrócę do salonu „jak gdyby nigdy nic”, z miną pogodną, nic nie mówiącą o tym, że ktoś uwięził mnie w łazience. I z trudem przelazłem przez okno.

Ubraniem szarpał wiatr, a ulewa tak wściekle we mnie biła, jakby chlustały wiadra wody.

Okno ubikacji było uchylone, tak przypuszczałem. Jak zareaguje na moje pojawienie się w salonie osoba, która uwięziła mnie w łazience? To będzie mój pierwszy triumf i na razie jedyna satysfakcja. Nędzne pocieszenie.

Dopiero w ubikacji zorientowałem się, że jestem znowu doszczętnie przemoczony. Wszystkie dokonane przed chwilą zabiegi były daremne. Czułem się tak samo, jak w chwili, kiedy wchodziłem do dworku Filomeny. Nie przywiozłem ze sobą jeszcze jednej zmiany bielizny. Zakląłem, oczywiście cicho. Nie lubię, kiedy ktoś klnie ordynarnie, ale czasem sam zaklnę, jednak tak, żeby nikt nie usłyszał.

Wróciłem na korytarz i otworzyłem drzwi łazienki. Klucz był dwukrotnie przekręcony w naoliwionym zamku, poruszał się miękko i cicho w jego wnętrzu. Jeszcze raz osuszyłem głowę i całe ciało ręcznikiem. Przeplukałem nos. Był chyba trochę bardziej zaczerwieniony niż przed kilkoma minutami.

Tymczasem w salonie padły słowa, które trwogą przejęły obecnych tam ludzi:

- Gienia także nie żyje - oświadczyła Amelia.

- Gienia? - zawołał Zenobiusz. - O czym ty mówisz?

- Chyba słyszałeś - odparła Amelia. - Nie żyje. Barnaba cicho zaklął..

- Niemożliwe - powiedział. - Taka zdrowa i silna dziewczyna.

Amelia uśmiechnęła się blado.

- Niestosowne określenie w odniesieniu do zmarłych.

- Amelka - Laura z przejściem zdrobniła jej imię - może chcesz nas tylko nastraszyć?

- Jak to się stało?

- Powiedz!

Rozmowa toczyła się szybko, pytania mieszały się z odpowiedziami.

- Nim inspektor wszedł do łazienki, powiedział, że zaraz będzie rozmawiać z Gienia. Gienia miała przyjść do biblioteki. Teraz idę, patrzę, a Gienia leży w hallu, przy samych schodach. Chodnik, ten szafirowy chodnik, który przykrywał schody aż do półpiętra, leży obok Gieni.

- A gdzie sierżant?

- Teraz klęczy koło Gieni. Badał puls i serce. Chce się zorientować, jak do tego doszło.

- Ja tam nie pójde - powiedział Barnaba. - Nie chcę. I

- A kto ci każe iść? - zapytała Laura. - Jeszcze nigdy, nie widziałam trupa i nie mogłabym patrzeć. Biedna Gienia!

- A Filomeny nie widziałś? - zapytała podejrzliwiej Amelia.

Laura spojrzała na Barnabę. Jednak Barnaba nie zauważył tego. Przypatrywał się badawczo Amelii.

- Amelio - powiedział - ty mówiłaś, że „trupów będzie para”. Pamiętam. Wszyscy pamiętają, że ty tak mówiłaś.

- Tak powiedział sierżant, który rozmawiał ze mną w szpitalu. Kucharka była wtedy w agonii i nie wpuścili mnie do niej. Sierżant powiedział, a ja tylko powtórzyłam.

- Ale wiedziałaś, że tak się stanie? - zapytał Zenobiusz.

- I stało się - powiedziała spokojnie Amelia. - Kucharka i Filomena. To była ta para. Wszyscy wiecie, że tak się stało. Śmierć Gieni to trzecia śmierć w tjon okropnym domu. Ciężka śmierć padł na ten dom.

Wchodząc do salonu, usłyszałem ostatnie zdanie wypowiedziane przez Amelię. Ci ludzie zabrnęli w okrutną i nedorzeczną sytuację, zabrnęli w nią tak dalece, że już nie mogli się cofnąć. Patrzyłem na nich z pogardą i gniewem.

- Wasza pokojówka nie żyje - powiedziałem. - Złamanie podstawy czaszki, tak sędzę. Śmierć nastąpiła gwałtów; nie. W takim przypadku powoduje ją wylew krwi do mózgu.

Kiedy znalazłem się w salonie, obserwowałem, czy ktoś okaże zdziwienie, że uwięziony sierżant sam się wydostał z zamkniętej łazienki. Jednak nikt się nie zdziwił. Może pokojówka, nie wiedząc, że jestem w łazience, przekręciła klucz w zamku, by zabezpieczyć wejście do domu przez okno w łazience? Albo z jakiejś innej przyczyny? Może zaniknął mnie tam morderca Gieni? Zapytałem:

- Kto z państwa w ostatnich kilkunastu minutach wychodził na korytarz?

- Widziałam na korytarzu Zenobiusza - powiedziała Amelia.

- Pani także wychodziła.
- Właśnie powiedziałam, że widziałam Zenobiusza.
- Barnaba także wychodził - dodał Zenobiusz.
- A ja słyszałam - odezwała się Laura - jak Filip chodził po domu.
- Pan sierzant także wychodził na korytarz.

Mo tak, znowu wszyscy. I wszyscy wychodzili. I wszyscy będą niewinni., Kiedy zapytam, kto zabił pokojówkę.

- A felczer? - zapytał Barnaba. - Gdzie jest felczer? Z felczerem rozmawiałem zaraz po przyjsciu do dworu. Od strony łazienki widać było okno jego pokoiku w oficynie i jego sylwetkę. Siedział przy oknie wpatrzony w deszcz.

- Czy macie coś do powiedzenia na temat śmierci Gieni? Czy - możecie podsunąć chociaż domysł, kto to zrobił?

- Panie sierzancie, czy ktoś musiał to zrobić? - zapytała porywco Amelia. - Gienia była trochę niezgrabna. Miała czasami zawroty głowy. Mogła spaść ze schodów. Pan zawsze wybiera najgorszą możliwość.

- I nikt nie miał nic przeciw Gieni - powiedział Zenobiusz. - Lubili ją wszyscy, chociaż tłukła szklanki i naczynia. To prawda, że była trochę niezgrabna, jak Amelia słusznie zauważyła

- Chyba pan nie podejrzewa... - zaczęła Amelia, lecz przerwałem jej. Miałem rację, że wszyscy będą niewinni. Powiedziałem:

- Już nie podejrzewam. Nie podejrzewam, nie zakładam i nie przypuszczam. Mam pewność, Gienia nie potknęła się na schodach. Stało się inaczej. Wchodziła na schody, prawdopodobnie szła do Eligiusza. Kiedy była u szczytu półpiętra, tuż przed zakrętem, za którym schody nie są już pokryte żadnym materiałem i które kiedyś posmarowany mydłem, Ktoś gwałtownie pociągnął za brzeg chodnika Wtedy dziewczyna runęła w dół Co pani na to, Amelio? Słucham

- To dobrze, że pan słucha - odparła. - Bo chyba mam coś ważnego do powiedzenia. Kiedy przechodziłam przez korytarz, przy balustradzie klatki schodowej na piętrze stał Eligiusz. Widziałam wyraźnie jego nogę-monstrum w gipsie

- Tak! - zawołała Laura. - Panie sierzancie, także widziałam tam Eligiusza. Nie całego, ale ten gips.

Zenobiusz strzelił palcami.

- Istotnie - odezwał się. - O ile mnie pamięć nie zawodzi, także dostrzegłem Eligiusza przy balustradzie. Co krok, to jakaś niespodzianka, zawsze to mówiłem.

To było interesujące. Zaczynali mówić nieco więcej. Ale rzecz charakterystyczna, że mówili tylko wtedy, i zgodnym chorem, jakby związani sekretnym sojuszem, kiedy można było odwrócić uwagę od nich samych i skierować podejrzenia? przeciw komuś innemu. Zaskoczyło mnie też, że Eligiusz jednak wstaje. Dotychczas wszyscy twierdzili, że jest przykuty do łóżka.

- Więc Eligiusz wstaje?

- Wstaje - wyjaśniła Amelia - kiedy czasem wychodzi do łazienki. Do tej, która jest obok jego pokoju. Kiedy leży, ma nogę na wyciągu. Jeżeli chce wyjść, wtedy opuszcza ten ciężar, i później znowu zaczepia go o nogę i na bloku podciąga linkę do góry

- Jednak po schodach nigdy nie chodzi - dodał Barnaba - Nie udźwignąłby nogi. Może nią tylko suwać.

- Jeżeli tak - powiedziała Amelia - to Eligiusz nie mógł pociągnąć za brzeg chodnika, na którym stała pokojówka. Obecność Eligiusza na schodach niczego nie wyjaśnia Amelia wszystkich usprawiedliwiała, dla wszystkich była dobra Umiała wytłumaczyć nawet wesołość Laury po śmierci Filomeny: kiedy w czasie porodu odbierał ją lekarz, rzekomo ryczała ze śmiechu.

Osuszając chusteczką nos, zauważyłem, że Zenobiusz ssie czubek wskazującego palca. Zbliżyłem się do niego i poprosiłem, żeby pokazał mi rękę. Uczynił to niechętnie.

- Kropelka krwi - powiedziałem. - Skąd to zadrapanie?

- Drobiazg - odparł Zenobiusz. - Niech się pan nie przejmuj, panie sierżancie. Nic mi nie będzie.

Powinien był się domyślić, że nie martwię się o niego, i że idzie mi o coś zupełnie innego. Miałem poważniejsze zmartwienia niż jego skaleczony palec.

- Skąd to zadrapanie?

- Głupstwo, już panu sierżantowi mówiłem. Wbiłem sobie drzazgę, ale już po wszystkim. Dziękuję panu za troskliwość.

- Ja wyjmowałam drzazgę - powiedziała Laura. - Szpilką.

- Muszę panu z przykrością zakomunikować - oświadczyłem - że na skraju chodnika, który wyszarpięto spod nóg pokojówki, znalazłem kroplę krwi. Nie mam tu laboratorium, ale w odpowiedni sposób zabezpieczyłem tę kroplę świeżo zaschniętej krwi. Jeżeli analiza wykaże zgodność grupy... Czy pan dotykał skraju chodnika?

Zenobiusz zbladł, zatarł nerwowo dłoń.

- To jeszcze niczego nie wyjaśnia, panie sierżancie. - Tak czy nie?

- Nie - powiedział Zenobiusz. - Nie dotykałem chodnika.

Zbliżył się do okna, spojrzął w ciemność.

- Ale ulewa - powiedział. I do mnie: - Widział pan kiedyś taką ulewę?

- Tak - odparłem. - Przed wojną.

Padał deszcz.

Sen wariata

Pomyślałem, że to Zenobiusz zamknął mnie w łazience. Był w ubikacji, kiedy wchodziłem do łazienki. Wychodząc z ubikacji, mógł przekręcić klucz w zamku. Postanowiłem że kiedy on wejdzie do łazienki, także go zamknę. Za karę, że mnie ośmieszył. Złapałem się natychmiast na tym, że taki pomysł to przecież dziecinada. I że nie w ten naiwny sposób powinienem szukać odwetu na Zenobiuszu. Muszą wykryć sprawcę, może nawet sprawców, trzech morderstw. I tak wygrać mój pojedynek z Zenobiuszem i z innymi.

- Panie sierżancie...

To Amelia przerwała milczenie.

- Słucham.

- Gdyby analiza grupy krwi Zenobiusza wykazała zgodność z tą kroplą, którą pan znalazł na chodniku, niczego nie da się w ten sposób udowodnić. Bo Zenobiusz z palcem skaleczonym mijał brzeg chodnika i ta kropla, którą pan zabezpieczył, mogła równie dobrze spaść z jego palca.

Znowu kogoś usprawiedliwiała ta anielska Amelia! Znowu znalazła argument przeciwko temu, co powiedziałem. Jakbym nie brał w rachubę również takiej możliwości, jak przypadek tłumaczący obecność kropli krwi Zenobiusza na chodniku.

Powiedziałem:

- Amelio, pani nadawałaby się do pracy u nas. Bylibyśmy, nawet zadowoleni, mając tak inteligentną i piękną koleżankę. Jednak musiałyby pani jeszcze sporo się nauczyć. Czy zastanawiała się pani nad tym, kiedy Laura wyjęła drzazgę z palca Zenobiusza?

- Nie pomyślałam o tym. Nie wiem.

- A ja wiem, chociaż o to nikogo nie pytałem. Bo Laura powiedziała, że sama wyjęła drzazgę. Ponieważ Laura była w salonie, mogło się to stać dopiero wtedy, kiedy Zenobiusz wrócił do salonu. A wie pani, kiedy przy takim urazie ukazuje się kropla krwi? Dopiero wtedy, kiedy wyjmie się już drzazgę, kalecząc naskórek. Albo wtedy, kiedy mając jeszcze drzazgę w opuszcze palca, uchwyci się nim silnie jakiś przedmiot. Na przykład... brzeg chodnika.

Nie odpowiedziała.

Obserwowałem Zenobiusza; bez jego udziału toczyła się rozmowa o skaleczonym palcu. Zenobiusz nie okazywał niepokoju. Jeżeli znał tajemnicę śmierci pokojówki i zachowywał się tak jak teraz, musiał być zimnym i wytrawnym graczem.

Już przedtem zastanawiałem się, kto mógł coś wiedzieć o śmierci pokojówki. Zapewne Eligiusz. Jeżeli w tym czasie stał przy balustradzie, musiał zauważyć, kto pociągnął za brzeg szafirowego chodnika.

- Czy z tego miejsca, gdzie stał Eligiusz, widać cały hall?

- Tak, panie sierżancie - potwierdziła Amelia.

- Doskonale - powiedziałem. - Może pani będzie tak uprzejma i wyjrzy na korytarz.

Proszę zobaczyć, czy Eligiusz jeszcze tam stoi. Tylko tyle, pani Amelio.

Amelia wyszła z pokoju.

- Zaczął się dziennik - powiedział Barnaba. - Czy można nastawić radio?

Skinąłem głową.

Spiker podawał informację o zakończonych odwiedzinach pewnego męża stanu, który dzisiaj opuścił Polskę. Żegnano go na lotnisku. Później odczytał komunikat o stanie wód. Kulminacyjna fala powodziowa zagrażała województwu kieleckiemu, lubelskiemu i warszawskiemu. Na południu kraju sytuacja jest nadal bardzo poważna. Podmyte drogi i nasypy kolejowe, zerwane mosty i zalane wodą obszary uniemożliwiają na wielu odcinkach komunikację. Odwołano wszystkie pociągi do Zakopanego. Z zagrożonych terenów ewakuowano już kilkanaście tysięcy osób. Olbrzymią ofiarnością w akcji przeciwpowodziowej wykazują załogi zakładów przemysłowych, wojsko i milicja. Barnaba wyłączył radio.

- Trzeba będzie tratwy pozbyć albo co, bo zaleje nas na zawsze - powiedziała Laura.

Amelia wróciła do pokoju.

- Nie ma Eligiusza. Ale przedtem na pewno stał tuż przy schodach, oczywiście na górze. Stał tam i chyba wszystko i widział. Musiał widzieć.

- Czy pani przypuszcza, że Eligiusz wyszedł po to, żeby zobaczyć, jak ktoś zabija pokojówkę?

- Chyba wyszedł dopiero wtedy, kiedy usłyszał, jak Gienia spada - wtrącił Barnaba.

- Nonsens - powiedziała Amelia. - Przecież widzieliśmy go, kiedy pokojówka nie leżała jeszcze na dole. Musiał wyjść wcześniej.

- Nie zauważyłem, czy ktoś tam leżał, czy nie - odezwał się Zenobiusz. - Było ciemno. A i oczy już nie te.

Zenobiusz wydobyl papierosa ze srebrnej papierošnicy. Wyjąłem zapalniczkę i podałem mu ogień.

- I przypuszcza pan - zapytałem - że Eligiusz nie ostrzegł Gieni, kiedy zauważył cień skradający się do schodów, a później pochylony nad chodnikiem?

- Mógł być tak samo zaskoczony, jak Gienia - odezwała się Amelia. - Gdybym tam stała, także nie wpadłoby mi do głowy, że ten skradający się cień chce wyszarpnąć chodnik spod jej stóp.

Tym razem Amelia usprawiedliwiała Eligiusza. Znowu kogoś uniewinniała.

- I sądzi pani, że Eligiusz nie krzyknął, kiedy tam stał i kiedy widział, jak ktoś zabija niewinnego człowieka?

Amelia uśmiechnęła się drwiąco i z politowaniem pokiwała głową. Wydawało się, że czeka, jak na to zareaguję, ale milczałem. Wołałem usłyszeć, jak ona skomentuje swój uśmiech. I usłyszałem:

- Panie sierżancie, pan nie wie o wszystkim. Eligiusz twierdzi, że życie jest złudzeniem, jest snem. Że fakty są niczym i że świat materialny jest” tylko naszym wyobrażeniem, konstrukcją umysłu ludzkiego. Eligiusz nie reaguje na żadne wydarzenia. Jest wrogiem wszelkiego działania. Uważa, że świat nie jest wart nawet tego, by w jego sprawach poruszyć chociażby palcem.

Wiedziałem już, jaki jest Eligiusz. Wstąpiłem do niego wkrótce po przyjeździe do tego domu. Rozmawiałem z nim przez kilka minut. Oświadczył, że o niczym nie wie i że nie interesuje go, co dzieje się w tym domu. Stworzył sobie własną rzeczywistość - tak mi powiedział - nie mniej fikcyjną niż naszą, ale inną, niedostępną naszemu poznaniu.

- Dla Eligiusza - mówiła nadal Amelia - wszystko jest złudzeniem, fikcją, nierealnością. A wszelkie spory dotyczą tylko słów.

Amelia wyjęła papierosa i zbliżyła się do mnie, żebym podał jej ogień. Upredziłem ją podchodząc do niej szybciej, niż ona do mnie.

- Pani Amelio - powiedziałem - już Szekspir napisał, że nasze życie jest snem wariata. W przekładzie Paszkowskiego tak to brzmi:

Życie jest tylko przelotnym półcieniem... powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.

Ale Szekspir inaczej to rozumiał.

Obserwowałem ich. Widziałem, co robią, jak się zachowują, i słyszałem, o czym mówią. To wszystko tylko nieznacznie wzbogacało moją wiedzę o nich. O czym naprawdę myśleli i wiedzieli? Jak gładko przeszli do porządku nad śmiercią pokojówki! Jak banalne, głupie i nic nie znaczące były ich rozmowy, w każdym razie większość tych rozmów! Dopiero teraz, odcięty powodzią od reszty świata, nagle pojąłem, że właściwie prawie wszyscy ludzie rozmawiają ze sobą tak głupio i powierzchownie. Czy zapytać ich teraz, kto zabił pokojówkę? Ich? Byłbym szalony, spodziewając się, że odpowiedzą na to pytanie.

- Jesteście - jak prehistoryczne stwory - powiedziałem cicho, nie bardzo wiedząc, dlaczego w ogóle o tym mówię. - Życie w tym zatęchłym dworku na cudzy koszt, odcięci od; wszystkiego, co dzieje się poza ścianami waszych dobrze ogrzanych i wygodnych pokoi. Tylko jeść, spać i mówić o niczym. I czekać na czyjąś śmierć, żeby odziedziczyć pieniądze, na które sami nie zapracowaliście. Wszystko zdobyć cudzym kosztem i przy minimum wysiłku. Nic więcej.

Chyba nie zrobiło na nich zbyt wielkiego wrażenia to, co powiedziałem, bo Amelia, jakby w imieniu wszystkich, zapytała:

- A czy pan nie lubi pieniędzy, panie sierżancie?

- Szkoda, że tak urocza kobieta nie wie, że jest jeszcze na tym świecie kilka rzeczy, które można bardziej lubić niż; pieniądze. I o które warto się starać i walczyć, nie myśląc o materialnej korzyści.

- Na ten przykład? - zapytał Zenobiusz.

- Na przykład praca. Praca, która człowieka pochłania, przynajmniej interesuje, i która go stwarza. Lenistwo deprawuje człowieka.

- A samochód? - zapytał Barnaba. - Nie chciałby pan mieć dobrego wozu i zasuwać nim dwieście na godzinę?

Wstałem i zbliżyłem się do drzwi.

- Proszę stąd nie wychodzić - powiedziałem. - Proszę tutaj na mnie czekać.

- Dokąd pan idzie? - zapytała Amelia.

- Musimy wiedzieć - dodała Laura - jakby był dzwonek do pana.

- Telefon jest zepsuty - powiedziała Amelia.

- Ale stoi - odparła Laura. - A jak stoi, to zawsze może zadzwonić.

Poszedłem do pokoju Eligiusza.

Było tam ciemno. Zapukałem, lecz nikt nie odpowiadał.

Nacisnąłem klamkę, drzwi były otwarte.

Nie dobiegł mnie żaden szmer. Nie usłyszałem nawet oddechu. Tylko ten wiatr za oknami.

Zapaliłem lampkę stojącą na nocnym stoliku.

Pod lampką leżało kilka otwartych książek. Na wierzchu powieść Hermana Brocha, także otwarta, i podkreślone w niej zdanie:

„Tak zwana rzeczywistość nie jest niczym innym, jak zwulgaryzowaniem naszych przypuszczeń”.

Była jeszcze czymś innym, o czym Broch nie wiedział. Była w wypadku Eligiusza czymś znacznie okropniejszym. Przekonałem się o tym, kierując światło lampy na łóżko. Życie w tym domu było naprawdę snem. Snem wariata.

Na dworze rozpętało się piekło. Powracała burza z wyciem wichru i biciem gromów, obalając drzewa i ciskając z furją szczątkami gałęzi i jakichś przedmiotów o ściany domu.

Padał, deszcz.

Laura płacze

Zenobiusz otworzył papierośnicę, lecz już nie było tam papierosów. Rozejrzał się bezradnie.

- Żeby to utrwalić - powiedziała Laura - trzeba papierosa zapalić.

- Co utrwalić? - zapytał Zenobiusz. - Właśnie nic. Mało ci?

- Kochanie, odstęp mi trochę papierosów. Moje już się skończyły, a od sklepu oddziela nas woda.

- U nas jak u górali: kto nie ma, to nie pali.

- Kochanie, wciąż wyskakujesz z tymi powiedzonkami..;

- Zenek, czy naprawdę myślisz, że to, co ty sam mówisz, ma więcej sensu od moich powiedzonek?

Amelia podała Zenobiuszowi paczkę papierosów. Wyjął jędrnego i włożył do ust. Ale nie zapalał go.

Laura przysunęła swoje krzesło do krzesła Amelii.

- Słuchaj - zapytała - a czym jest dla Eligiusza jego złamana noga? Czy także snem? I czy ten gips na nodze także mu się przyśnił?

- Nam wszystkim, Lauro, nie tylko jemu. Eligiusz uważa, że cały świat istnieje tylko w naszej wyobraźni. Także jego noga, ten gips, on sam i my.

- I my jemu się śnimy, a on nam?

- To straszne - stwierdził Zenobiusz.

- Tak - przytaknęła Laura. - Aż strach się bać.

Zenobiusz drzemał przez kilka minut z nie zapalonym papierosem w ustach. W tej chwili ocknął się i głośno kontynuował myśl niepokojącą jego drzemkę i w tej drzemce zrodzoną.

- Tak, życie jest brutalne i pełne zasadzek. Zawsze to mówiłem i teraz macie. Wszystko się sprawdziło. A ty, Lauro, nigdy nie marzyłaś o życiu rodzinnym? O mężu, o którego można się troszczyć w zamian, za jego uczucie?

- Przynieś, wynieś, pozamiataj, a w wolnej chwili polataj. Tak? Nie wiem, kto wymyślił małżeństwo, ale jak chodzi o mnie, to nie o to chodzi. Dla mnie mógł nie wymyślać.

Umilkli, kiedy przez salon przeszedł powolnym krokiem FiKp. Lecz tym razem zatrzymał się w drzwiach następnego pokoju i spojrzał na nich ponuro, spode łba. Udawali, że go nie widzą.

Zenobiusz nie słuchał odpowiedzi Laury, znowu drzemał. Otworzył na moment oczy i powiedział, już po wyjściu Filipa:

- Co też ten Eligiusz powie sierżantowi?

- A jak ty myślisz? - zapytał Barnaba.

- Nic nie myślę, Barnabo. Nie lubię myśleć, to męczy. Może Amelia coś wymyśliła?

- Chciałabym, żeby już się skończył ten koszmar. Chciałabym, żeby Eligiusz jednak coś powiedział sierżantowi - odparła Amelia, - Chyba Eligiusz wie najwięcej. Barnaba zwrócił się do Amelii:

- Także chciałem coś powiedzieć, ale wolałbym nie mówić.:

- Znakomity pomysł, Barnabo. Chyba najlepszy z twoich pomysłów. Lepiej nic nie mów.

Filip wracał. Jego ciężkie buty zostawiały wilgotne ślady na parkiecie. Zbliżył się do okna. Sprawdził, czy jest zamknięte. Wichura wzmogła się ze straszliwą siłą. Powracała burza i słychać było coraz wyraźniej uderzenia gromów. Jakby niebo rozpękało się nad tym domem.

Filip wyszedł z salonu.

- Takiemu to dobrze - powiedziała Laura. - Nic nie słyszy i o niczym nic nie wie.

- Nie jestem taka pewna - wtrąciła Amelia.

- Chyba coś wie, chociaż nie słyszy - odezwał się Barnaba. - Bo sierżant był u niego w oficynie.

- I rozmawiał z Filipem - dodał Zenobiusz.

- Zenek, coś ty. Chyba na migi. A na migi to można kupić figi.

- Lauro, kochanie, milicja ma swoje sposoby, żeby dogadać się z różnymi ludźmi. Czasem nawet od nieboszczyków coś wyciągną. Czytałem taką książkę, że raz dowiedzieli się o całej zbrodni tylko dzięki ekshumacji. Ty, Lauro, młoda jesteś. Brak ci doświadczenia życiowego. I mało jeszcze wiesz o świecie i o różnych takich.

- Aleś się rozgadał, Zenek! Jednak mówisz jak przez sen. Lunatyk, co trafił na patyk.

Zenobiusz chciał coś powiedzieć, lecz stałem już wtedy w drzwiach salonu, które głośno za sobą zatrzęsnałem. Czułem, do nich nienawiść za wszystko, co działo się w tym domu. Za ich głupotę, za ich milczenie, za ten tępy upór, który wywołał lawinę zła.

Musiałem się opanować. Nie mogłem na nich krzyczeć.

Usiadłem na fotelu i rozluźniłem krawat. Nikt się nie odezwał. Byli chyba nieco wystraszeni i już nie - tak pewni siebie jak poprzednio. Powiedziałem:

- Chyba wiecie, że ciężar wyciągu zwisał w nogach łóżka Eligiusza. Chciałem wam powiedzieć, że Eligiusz leży teraz odwrotnie, stopami na poduszce.

Barnaba pokręcił głową.

- Nie bardzo wiem, o co chodzi. Eligiusz czasem tak leżał, bo go męczył ten ciężar.

- Zaczekaj - powiedziała Amelia. - Zaczekaj, Barnabo. Czy pan sierżant chce powiedzieć, że ten ciężar zwisający nad głową Eligiusza...

Po słowach Amelii zrozumieli, do czego zmierzam. I domyślili się, co chciałem im powiedzieć, kiedy zatrzęsnałem drzwiami salonu.

- Tak, pani Amelio. Właśnie ten ciężar zwisający nad głową. Właśnie ta bryła żelaza. To chciałem powiedzieć.

- Eligiusz nie żyje? - ktoś zapytał. Skinąłem głową.

Zenobiusz: To potworne, co pan mówi! Laura: Panie sierżancie, to niemożliwe!
Barnaba: To zwykły wypadek.

Amelia: On czasem z nudów bawił się tym ciężarem... Zenobiusz: Żeby gimnastykować ręce i ramiona. Laura: Boże, co tu się dzieje.

Zenobiusz: To mógł być wypadek. Zwykły nieszczęśliwy wypadek.

Miałem dosyć tej gadaniny. Wstałem.

- Tak, to mógł być wypadek. Może linka wysliznęła się z ręki Eligiusza. Pokojówka także mogła zginąć przez nieszczęśliwy wypadek: pośliznęła się na chodniku i chodnik zjechał po wypastowanych schodach. I kucharka mogła zginąć przez nieszczęśliwy wypadek: trutka na szczury dostała się przypadkiem do porcji makaronu. Trutka, w której także jest preparat arsenu. Ale to nie było tak. Nie jest przypadkiem ani wypadkiem wasze milczenie. Waaz spisek przeciw życiu i przeciw prawu!

Czułem, że mówię do nich coraz głośniej i coraz namiętniej. Czułem, że tym razem trafiam do nich, że wreszcie coś w nich obudzę, że przedostaną się do tych pokładów ludzkich uczuć, które przysypało ich głupie i leniwe życie.

- Chyba rozumiecie - mówiłem - że każdy najdrobniejszy szczegół ma w śledztwie, w każdym razie może mieć, kapitalne znaczenie. Że nieważki dla was i niepozorny drobiazg

może być kluczem do całej sprawy. Przez wasze uparte milczenie kilka osób straciło życie! Czy jesteście tak ślepi, że nie dostrzegacie już, co dzieje się w tej waszej prehistorycznej jaskini?

Patrzyli na mnie w napięciu, słuchali. Wydawało mi się, że coś rozluźnia się w ich twarzach i że stają się one jaśniejsze, bardziej otwarte.

- Prosiłem o pomoc. Ostrzegałem. Jednak nie posłuchaliście mnie. A teraz trupy, jeden po drugim. Przez was! Wy odpowiadacie za śmierć tych ludzi.

- Ale co my możemy - westchnął Zenobiusz. -

- Pan także może! - zawołałem. - Po co ta obłuda? A jeśli nie chce pan pomagać prawu, wkrótce sam powiem, o czym pan wiedział wcześniej, mim ci ludzie zginęli.

- Właśnie tego się obawiałam, panie sierżancie - odezwała się Amelia - e kiedy będzie pan odcięty od komendy i od waszej nowoczesnej techniki, wówczas stanie się pan bezradny, zdany na łaskę przypadku i tylko na siebie.

- Zawsze - odpowiedziałem Amelii - zdani jesteśmy przede wszystkim na siebie samych. I na uczciwość ludzi, z którymi się stykamy w naszej pracy. Jesteśmy na to zdani nawet wtedy, kiedy uruchamiamy nasze nowoczesne przyrządy i aparaty w zakładzie kryminalistyki.

- Ale... - zaczęła Amelia.

- Nie „ale”, pani Amelio! Jest tak, jak powiedziałem.

Wartość i skuteczność działania każdej policji na całym świecie to nie tylko ilość nowoczesnego sprzętu, ludzi i broni. Wartość policji tkwi w sumieniu obywateli.

- Może także w braku sumienia - powiedziała Amelia. - Bo dopiero wtedy jesteście potrzebni, kiedy zawodzi sumienie ludzkie.

- W takich sytuacjach liczymy na pomoc ludzi o czystym sumieniu. A pani jak myśli? - zapytałem Laury. - Czy mam rację?

Laura patrzyła na Barnabę. Milczała.

- Lauro - powiedział Barnabą - pan sierżant pytał, czy się zgadza.

- Zgadza się wszystko, oprócz kasy - odparła Laura.

- O kasie jeszcze porozmawiamy - powiedziałem. - Będziemy musieli porozmawiać także o kasie. Lauro, czy pani? zrozumiała, o czym mówiłem?

- Taka głupia nie jestem, żeby nie rozumieć, chociaż może na mądrą nie wyglądam.

W tej chwili poczułem, że Laura robi dobrą minę do złej gry. Ale grę prowadziła nadal.

- Jeżeli pani rozumie, proszę powiedzieć wszystko, całą prawdę. O czym pani wie?

- A co można wiedzieć w moim wieku?

- Lauro! - krzyknąłem. - W pokoju nad panią leży jeszcze jeden trup! Do służbówki zaniósłem zwłoki pokojówki. W kostnicy szpitalnej leży trup waszej kucharki. A tam, na fotelu...

- Co pan wciąż na mnie? - zapytała płacząco Laura. - Bo pani...

- Czemu pan sierżant wciąż mnie obcina?

Przygryzła dolną wargę. Poruszyła powiekami, by ukryć łzy napływające do oczu.

- Bo na panią liczę - powiedziałem.

Postanowiłem, że tym razem nie ustąpię. Zmuszę ją do mówienia.

- Może mieć pani swoje mniej lub bardziej dowcipne powiedzonka i może pani nosić mini, które nawet majteczek dobrze nie zasłaniają. Ale to wszystko jest na wierzchu, to tylko styl i moda, to są pozory. Pani jest inna niż te pozory. Trochę źle urządziliśmy świat, nie wszystko się nam udało, i nie dziwię się, że macie do nas, starszych, różne zastrzeżenia. Ale jak wy ten świat urządzicie, to od was zależy. Od tego na przykład, jak pani dzisiaj postąpi. Gdybym teraz zapytał panią...

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Co słyszać? - zapytała. - To zależy, gdzie się ucho przyłoży.

- Do pani serca - powiedziałem. - Do pani sumienia. Wiem, że pani chce coś ważnego powiedzieć. Nie, proszę nie zaprzeczać! Słucham.

I wtedy Laura powiedziała płacząco, z nutą hysterii w głosie:

- Tak... Bo ja już nie mogę, naprawdę nie mogę! Podbiegła do mnie i oparła splakaną twarz na moim ramieniu, nie umiała powstrzymać szlochu.

- Panie inspektorze, wszystko powiem, wszystko... Powiem panu całą prawdę... Ojej, zmoczę całą marynarkę łzami. Przepraszam. Ale pan i tak jest przemoczony... przez ten deszcz, prawda?

Tak, to była jedyna prawda.

Padał deszcz.

Filomena żyje

Kiedy Laura powiedziała, że wyzna mi całą prawdę, zauważyłem, że wszyscy pozostali zaniepokojili się. Barnaba: Lauro, coś ty? **Amelia:** Co masz do powiedzenia?

Zenobiusz: Kochanie, nie fantazjuj!

Barnaba: Stuknięta jesteś?

Ja (do Barnaby): Proszę stąd wyjść.

Barnaba: Ale ona...

Laura: Co ja?

- Wyjść - zawołałem. - Wszyscy! Pan też. I proszę już nic nie mówić! I pani stąd wyjdzie - zwróciłem się łagodniej do Amelii.

Wyszli z pokoju: Zenobiusz, Amelia i Barnaba. Ten ostatni najbardziej się ociągał.

- Proszę mówić - powiedziałem do Laury, kiedy za tamtymi zamknęły się drzwi.

Usiadła na fotelu Filomeny, podkurczyła pod siebie noga. Miała dużo wdzięku i była jeszcze ładniejsza z tą skrzywioną do płaczu buzią.

- Panie sierżancie - zaczęła - ciocia wcale nie jest... Bo ciocia wcale nie umarła. To tylko - głupi żart. Ale nie miał być taki głupi. Tylko że ciocia nam kazała. Każdy ma swojego gryzia, co go moli. Pan wie, mola, co go gryzie. I ciocia także miała.

- Czy pani postradala zmysły?

- To był naprawdę żart. Słowo honoru.

- Żart z dwudziestoma centymetrami stali w ciele tej kobiety?

- Ale naprawdę, proszę pana. Ostrze było wyjęte.

- Przecież wszyscy widzieli sztylet tkwiący nad obojczykiem Filomeny! I pani widziała.

Otarła łzy, uśmiechnęła się.

- To jest tylko sama rękojeść. Pan sierżant zobaczy. Niech pan tam pójdzie i zobaczy.

- Już widziałem.

- E tam - mruknęła. - Ciocia żyje, naprawdę. Ciocia musiała się tylko przekonać, kto na nią robi te wszystkie zamachy. I kto jest dla niej dobry, a kto nie. Wszyscy chcieli tylko coś wyciągnąć od cioci i ciocia się martwiła.

Kpi czy o drogę pyta? Nie mogłem pojąć, co się w tym kryło. Jeszcze wtedy nie znałem szczegółów tej zabawy w śmierć. Laura mówiła z przejęciem, nie zgrywała się. To było czytelne. Jej szczerłość nie wzbudzała wątpliwości.

- Kto robił zamachy na Filomenę?

- Nie wiem, panie sierżancie. Nic nie wiem. Na początku żyrandol się urwał. Później ten śrut rozsypany i skorpion w kefirze...

- Obiecała mi pani, że powie wszystko.

- Już powiedziałam. Naprawdę nie bujam. Czemu pan mi nie wierzy? Może Barnaba coś wie.

- Czy na pewno wie?

- Chyba. On jest cwany. Młody, ale cwany. Barnaba zawsze mówi, że nie ma to, jak w wojsku być pszczelarzem.

- Co to znaczy?

- Że wszędzie sobie poradzi, nawet w woju. Ale on da się lubić. Wolę Barnabę niż Zenka. A pan?

Laura zeskoczyła z fotela i pociągnęła mnie za rękaw.

- No, niech pan idzie. Czemu pan nie idzie? Niech pan sam zobaczy, że do szala jest przyczepiona tylko rękojeść sztyletu. Sama panu wszystko pokażę. Chodźmy.

Powiedziałem, coraz bardziej zdumiony jej zachowaniem, ale już domyślając się, co się stało i jak to się stało:

- Lauro, proszę się uspokoić. Przede wszystkim musimy wyjaśnić, jak to było. I kogo Filomena wtajemniczyła w swój żart.

- Mnie i Barnabę. Ciocia nas wolała od tamtych. Pozwoliła nawet, żebym mówiła do niej „ciociu”, chociaż jestem tu gościem. Zenek mnie znalazł i tutaj przywiózł.

- Kto umocował rękojeść sztyletu na szalu?

- Barnaba.

- Pani przy tym była?

- No pewnie. Ciocia kazała. A starszych trzeba słuchać. Byłam w pokoju, jak Barnaba przyczepiał rączkę od sztyletu.

- Proszę się zastanowić.

- Nad czym, panie sierżancie? Jak nie kłamię, to nie kłamię. Obiecałam panu i dotrzymam słowa. Nad czym się zastanowić?

- Czy pani była przy tym, jak Barnaba umocowywał rękojeść na szalu Filomeny?

- Już mówiłam. Pan sierżant znowu mnie podcina.

- I nie wychodziła pani ami na moment?

- Na moment to tak. Czemu pan od razu nie zapytał? Po czerwony tusz chodziłam.

Podniosłem jej prawą rękę i obróciłem dłoń wnętrzem ku górze. Widniało na niej kilka czerwonych plamek. Zdziwiła się.

- Pan wcześniej zauważył?

- Tak. Barnaba ma taką samą plamkę na kciuku. I takie same plamy widziałem na szalu Filomeny.

- I nic pan nie mówił!

- Nigdy nie mówię o wszystkim, co widzę i o czym wiem.

- A dlaczego?

- Żeby w razie potrzeby zaskoczyć kłamcę tym, o czym sam się dowiedziałem, bez jego pomocy.

- I mnie także pan by zaskoczył?

- Tak. Więc to są plamy z czerwonego tuszu, wiem. Kiedy wróciła pani z tuszem do pokoju, czy podeszła pani do Filomeny?

- Tak, nie, tak.

- No więc jak?

- Pamiętam, że Barnaba kazał mi pilnować drzwi, żeby nikt me wszedł albo żebym go uprzedziła, jakby ktoś chciał wejść. Sam poplamił tuszem szal. Później...

- Co później?

- Powiedział, żebym zgasiła światło. Zgasiłam. On zapalił wtedy małą lampkę. Obok cioci stała taka lampka.

- I co?

- I nic. Wyszliśmy w podskokach. Sama powiedziałam Barnabie, że teraz spadamy.

- Co to znaczy?

- Bo wszystko było już gotowe. Kiedy jabłka dojrzewają, wtedy spadają. Rozumie pan? Myśmy także dojrżeli i trzeba było już spadać. To znaczy: wyjść.

- Czy Filomena wtedy żyła?

- Pewnie. Dlaczego miała nie żyć? Ale trochę się bałam. Nawet powiedziałam do Barnaby, że boję się, bo ciocia wyglądała z daleka jak umarła. Kiedy wychodziłam po tusz, to mrugała do mnie.

- Otóż to. A kiedy pani wróciła z tuszem? Czy także mrugała do pani?

- Tak, ale nie wiem, chyba tak. Mrugała.

- Proszę się zastanowić.

- Może dokładnie nie widziałam, bo stałam przy drzwiach. Ale chyba mrugała. Nie pamiętam dobrze, bo ciocia już wtedy udawała, że nie żyje. Taka była umowa. Może mrugała, a może nie. Stałam daleko i tak całkiem na pewno nie mogę powiedzieć.

To był szczegół najbardziej istotny. Bo przecież po wyjściu Laury Barnaba został sam z Filomeną.

- Lauro, kto pierwszy pomyślał albo powiedział, że Filomena nie żyje? Kto to był?

- Chyba Amelia. Albo Gienia. Gieni to mi naprawdę żal Amelia pierwsza zaczęła krzyczeć, nawet otworzyła okno. Później Barnaba podbiegł i powstrzymał ją, nie pozwolił krzyczeć. Bo Amelia mogła zepsuć całą zabawę. Właśnie wbiegłam do tego pokoju i zaraz zapaliłam światło.

- A czy wtedy Filomena także mrugała okiem? Zauważyła pani coś takiego, może jakiś inny znak Filomeny?

- Nie widziałam, bo stałam tylko przy drzwiach. Później już wszyscy byli w tym pokoju. Ciocia nie mogła mrugać, bo oni by się zorientowali, że to kawał. Ciocia jest równa i nie chciała zepsuć takiej zabawy przez głupie mruganie. Czemu pan pyta o takie śmieszne rzeczy?

O tak, to były bardzo śmieszne rzeczy, pomyślałem. Zdumiewała mnie naiwność Laury. Czy to wszystko nie było tylko przewrotną grą dziewczyny, grą na zwłokę i zarazem próbą wybrnięcia z tej matni? Poruszyła się niecierpliwie.

- Na co pan jeszcze czeka? Na tramwaj? Nie warto, bo ktoś ukradł przystanek. Chodźmy już do cioci. Pan sam zobaczy, że na szalu jest tylko czerwona farba.

- Pani mnie to mówi? Mnie, emerytowanemu sierżantowi z wieloletnią praktyką?

- Tak, panu. Bo to, jest tylko tusz. Słyszysz pan? Tusz!

- Tam jest także krew.

- Pan mnie to mówi? Mnie? Przecież sama widziałam. Także mam praktykę w robieniu kawałów.

- Felczer wypisał świadectwo zgonu. On posiada takie uprawnienia, bo w tej okolicy nie ma lekarza. W wyjątkowych okolicznościach może tak zrobić.

- Pan jest dorosły a życia pan nie zna. Ciocia dała mu, w łapę. Sam pan wie, jak to leci. Za pieniądze można mieć wszystko. Mercedesa i wczasy w Jugosławii. Dobre dziewczyny i szampana na zakąskę. Wszystko można mieć za te moniaki.

- Nie wszystko, Lauro. Na pewno nie to, co najważniejsze.

- E tam. Jeszcze nie było tak, żeby nie było jak. A jak pan sobie pomyślał, że co jest najważniejsze?

- W tej chwili najważniejsze jest, żeby pani przyprowadziła tu felczera i zawołała Barnabę.

- Dobrze. Ale niech pan już się nie martwi. Ciocia żyje. Spojrzałem w okno. Wydawało się, że gwałtowna burza jak gdyby zmiotła stąd deszcz. Słysząc było oddalony szum ulewy, lecz nad nami, chociaż niebo było wciąż czarne, w tej chwili nie padało.

Laura wyszła z pokoju.

Podszedłem do stołu.

Sięgnąłem po sztylet i jeszcze raz obejrzałem głownię. Była ostra, gładka, nie skalana żadną rysą, nie używana od wielu lat. Ten sztylet przechowywano zapewne w szczelnym i miękkim futerale.

Usłyszałem kroki na żwirze, pod oknem. Jednak nawet się nie poruszyłem. Gdybym otworzył okno i wyjrzał, nie zobaczyłbym nikogo w tej przeklętej i wilgotnej ciemności.

Już wiedziałem, jak dokonano sztuczki z wymianą sztyletów. Był tylko jeden sposób.

Wiatr niósł krople deszczu, zadźwięczał nami ma szybach.

Znowu, padał deszcz.

Dopiero wtedy zginął.

Powiedziałem Barnabie, żeby usiadł. Nim zdążyłem zapytać go o cokolwiek, sam zaczął mówić.

- Panie sierżancie, Laura nie kłamie. Zadowolony jestem, że powiedziała panu całą prawdę.

- Całą?

- Nie byłem przy tym, ale chyba tak. Laura nie kłamie. Ostrze sztyletu, który trzymałem w ręku, skierowałem na Barnabę.

- Ale ty kłamiesz, synku.

- Ja? Pan sierżant girą w ciemno.

- Nie pierwszy raz. Chciałeś powiedzieć, że jesteś lepszym graczem niż ja i że rozdano ci w tym pokerze lepsze karty?

- Ja tutaj w nic nie gram. Niech pan mnie nie podpuszcza. Powiem, co wiem, i koniec przedstawienia.

- Powiedz, synku.

- Dlaczego pan mówi do mnie „synku”?

Wyjaśniłem mu, dlaczego. Kiedy przyszedłem do tego domu, Barnaba zachowywał się arogancko, okazywał mi lekceważenie. Pozował na wielkiego artystę, który gardzi „zwyczajnym milicjantem”. Nie przeceniam siebie; nie o to szło. Jednak nie lubię ludzi, którzy nie szanują pracy innych i nie potrafią zrozumieć jej pożytku i znaczenia. Potraktowałem go więc jak zarozumiałego smarkacza i to poskutkowało.

- Tak - potwierdził Barnaba. - Ale szybko wyczułem, że z panem tak nie można. I później zachowywałem się poprawnie. Proszę do mnie mówić „pan”. Do Laury pan mówi „pani”, a nie „córeczko”. Mnie także należy się trochę szacunku.

- A więc szanowny panie Barnabo - powiedziałem. - Co szanowny pan zrobił z klingą sztyletu?

- Laura widziała. Chyba mówiła, co zrobiłem.

- Pana o to pytałem.

- Wysunąłem ją z rękojeści i położyłem na fotelu, za plecami cioci. Klinga tam leży. Może pan sprawdzić.

Znowu skierowałem na Barnabę ostrze sztyletu.

- Ona jest tutaj. Właśnie ta, którą pan widzi, a którą rzekomo schował pan za Filomenę.

- Tego nie rozumiem. Kiedy, pan sierżant pierwszy raz o tym powiedział, zupełnie zgłupiałem. Myślałem, że pan żartuje.

- W pewnych sytuacjach każdy żart staje się niesmaczny. Mówiłem prawdę. Gdzie był w momencie tej całej operacji drugi sztylet? Ten stępiony sztylet Filomeny?

- Był w książce. A książka leżała na kolanach cioci. Laura widziała, że był w książce. A z tego ostrego, który pan trzyma w ręku, tylko rękojeść przyczepiłem do szala. Nic z tego nie rozumiem. Naprawdę, proszę pana.

Stałem przed nim.

- Nie, proszę pana. Właśnie ten ostry był w książce. A drugi, tępy, jest teraz w moim pokoju, w bibliotece. Natomiast klinga ostrego sztyletu była włożona do rękojeści. Z tego wynika, że na fotelu nie mogliśmy znaleźć za ciałem Filomeny żadnej klingi.

- Ostrą klingę położyłem na fotelu! Przysięgam panu, że położyłem ją na fotelu. Laura widziała. Ona powie.

- Powtarzam jeszcze raz: nie leżała na fotelu. Była wsunięta w tę rękojeść, widzi pan ją? A więc w tę samą rękojeść, którą rzekomo przyczepił pan do szala. Cały sztylet, wraz z klingą, leżał w książce na kolanach Filomeny. Ile razy trzeba panu tłumaczyć?

Barnaba był tak przejęty czy też zdenerwowany, że tylko podrapał się w głowę, burząc swoją kunsztowną i opadającą na ramiona fryzurę. Poprawił ją natychmiast.

- Ja chyba zwariuję, panie sierżancie. Przecież ciocia żyje, przysięgam panu! Ona wszystko wyreżyserowała.

- Nie żyje. Także przysięgam. Gdzie pan był przed chwilą? Słyszałem kroki za oknem.

- Przestało padać, więc wyszliśmy na chwilę do ogrodu, żeby się przewietrzyć. Nawet rzeczy z szafy trzeba czasem wietrzyć, żeby mole się nie zaległy, więc tym bardziej ludzie muszą się przewietrzyć. A skąd pan wie, że wychodziłem z domu?

- Pana buty pozostawiły wilgotny ślad na dywanie. Czy wyszliście z domu wszyscy razem?

- Nie - zaprzeczył. - Po co razem? Każdy sam chodził po ścieżkach, ale blisko domu, tam gdzie jest wysypany żwir. Bo gdzie indziej jest błoto. Mamy siebie dosyć w domu, więc

każdy wolał być sam. Ale znowu zaczęło padać i wróciliśmy do domu. Pan chyba rozumie, że nie możemy być wciąż razem. To męczy.

- Nie, nie rozumiem. Pan mnie przecenia.

- Panie sierzancie, zacząłem dopiero teraz pana doceniać. Nigdy nie odkryłbym, porównując ostrza sztyletów, że te sztylety zamieniono. Pan się zna na takich sprawach.

Mój szef miał niekiedy na ten temat inne zdanie niż Barnaba.

- Ale po co ktoś pozamieniał sztylety? Żeby co? Co przez to zyskał? - dopytywał się Barnaba.

- Otóż to. A co pan myśli na ten temat?

- Głowa mi pęka od myślenia - powiedział Barnaba. Pomyślałem, że małe głowy zawsze pękają od myślenia.

Zwłaszcza wtedy, kiedy powierzy się im tu czy ówdzie jakąś ważniejszą funkcję. Zamiast myśleć razem z nami, razem ze wszystkimi, chcą te mózgi same myśleć o wszystkim. I wtedy pękają. Gdyby pękł mózg Barnaby, nie byłoby zbyt wielkiego huku, to inna sprawa. Synek, ten cholerny synek, Barnaba, niejedno przede mną ukrywał. Spryt zastąpił mu inteligencję.

- Więc pan nie domyśla się - zapytałem - w jaki sposób nastąpiła ta przedziwna wymiana sztyletów?

- Nie wiem, kto mógł wpaść na tak beznadziejnie głupi pomysł. No bo niby po co? Nie, nie domyślam się.

- To był jedyny pomysł, dzięki któremu można było zamordować szybko Filomenę, nie narażając się na stratę czasu i inne kłopoty.

Barnaba założył nogę na nogę. Patrzył na mnie z niedowierzaniem, powiedziałbym nawet, że z politowaniem.

- Od tego, co pan mówi, panie sierzancie, można dostać małpiego rozumu. Słowo honoru, że można.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie powiedziałem „proszę”, bo wiedziałem, że ten ktoś na pewno wejdzie do pokoju. Pukanie było głośne i niecierpliwe.

Uchyliły się drzwi. Stała w nich Laura. Obok niej Amelia.

- Można?

- Oczywiście.

Laura była blada, miała podpuchnięte oczy. Amelia przygryzła bezwiednie dolną wargę, lekki skurecz wykrzywił jej ładną twarz. W urodzie Amelii było coś nieokreślonego, powiedziałbym, że okrutnego czy nieludzkiego. Nie wiedziałem, jak to nazwać.

- Panie sierżancie, proszę pana...

- Była pani u felczera?

- Tak, z Amelią. Panie Sierżancie, felczer leży na podłodze.

Zerwałem się z miejsca.

- I co? Niech pani mówi!

- Nie oddycha.

- Pani zna się na tym?

- Amelia powiedziała. Ja też widziałam, że on nie żyje. Leży na podłodze. Ma otwarte oczy i usta. Felczer.

Spojrzałem na Amelię.

- Czemu pani milczy?

- Nie wiem - odparła Amelia. - Laura już powiedziała. Przyłożyłam lusterko do ust felczera, żeby sprawdzić, czy oddycha.

- I co?

- Nie oddycha. On był od lat chory na serce. Już od dawna nosił przy sobie nitroglicerynę. Spodziewaliśmy się, że któregoś dnia musi się stać coś takiego. Opiekował się byłem w okolicznych wioskach, a ciocia pozwoliła mu, z dobrego serca, żeby tu mieszkał. Nawet czynszu od niego nie brała, bo był chory.

- To było bardzo straszne - dodała przejęta Laura.

- Czy dotykałyście czegoś w jego pokoju? Przesuwałyście jakieś sprzęty albo przedmioty?

- Nie - odpowiedziała Laura. - Amelia nie pozwoliła.

- Zwłok też nikt nie dotykał?

- Nie.

- Wszystko jest tak, jak było przedtem - dodała Amelia. Pomyślałem, że już nie jest jak przedtem. Wszystko jest inne niż było przedtem. I my wszyscy, uwięzieni w ponurym domu przez zbrodnie i powódź, także byliśmy inni niż przedtem. I stopniowo dopełniał się nasz los.

Pomyślałem także, że felczer zginął - czy naprawdę na atak serca? - właśnie wtedy, kiedy posłałem po niego Laure, bo chciałem z nim porozmawiać.

Dopiero wtedy zginął.

On, który czekał na swoją śmierć od tyłu lat.

Padał deszcz.

Zniknięcie Filomeny

Kiedy Barnaba tłumaczył, dlaczego w czasie krótkiej przechadzki po ogrodzie wszyscy rozeszli się w różne strony, zapytałem go, co o nich myśli.

- Nie są tacy dobrzy - powiedział. - Chyba nie są dobrzy.

- A pan jest taki dobry? - zapytałem.

- Może jestem, a może nie jestem - odparł. - Ale to są, moje prywatne sprawy.

W salonie, prócz nas obu, była jeszcze Laura i Amelia. Właśnie opowiedziały o śmierci felczera.

- Panie sierżancie, chodźmy do cioci - prosiła Laura. - Pan sam zobaczy, ciocia żyje.

- Lauro - powiedział Barnaba - pan sierżant mówi, że z jej serca wydobyto ten ostry sztylet, który ciocia włożyła do książki. Jednak nie mogę uwierzyć. W tym jest jakaś sztuczka. Chyba pana sierżanta ktoś ładnie nabrał.

- A może ciocia wzięła tę ostrą klingę, która leżała na fotelu - zastanawiała się Laura - włożyła do rękojeści zaczepionej za szal i za szalem ją schowała, niby że jest tam wbita? Żeby było śmieszniej i żeby także nam, Barnabie i mnie, zrobić niespodziankę?

- Lauro, nic nie rozumiesz - denerwował się Barnaba. - Klinga, o której mówisz, i cały ten sztylet, razem z rączką, którą przyczepiliśmy do szala, leżał właśnie w książce! Sierżant tak mówi, ale chyba nie zrozumiałaś.

Laura nie mogła w to uwierzyć.

- Kręcicie. Kłamiacie. Tak nie mogło się stać. Chodźmy tam, zaraz sami zobaczycie. Przepraszam ciocię, żeśmy ją wyspali za wcześnie, no ale trudno. Jak ciocia dowie się, o co chodzi, to nam przebaczy. Trzeba z tym nareszcie skończyć.

Chwyła mnie za ramię i pociągnęła za sobą do przyległego pokoju, właśnie do tego, gdzie została na fotelu martwa Filomena B.

- Amelio, chodź także, chodź. Zobaczysz, że ciocia tylko udaje własne zwłoki. I na pewno szeleści - na tym fotelu jak mucha w ortalionie, tak się zaśmiewa z pana sierżanta.

Z niechęcią ruszyłem za Laurą. Nie chciałem jeszcze raz patrzeć na to, co zrobiono z tą starą kobietą.

Już miałem uchwycić za klamkę, kiedy ta poruszyła się. W otwartych drzwiach stanął Zenobiusz.

- Moi drodzy - zaczął - muszę wam powiedzieć...

- Chodźmy tam - przerwała mu Laura. - Zenek, nie zawadzaj. Strać się.-

Razem z Laurą weszliśmy do przyległego pokoju. Amelia została z Zenobiuszem.

- Nie mogę tam iść ani patrzeć - powiedziała Amelia. - Co chciałeś powiedzieć?

Zenobiusz usiadł w fotelu. Obie ręce opuścił bezwładnie wzdłuż ciała, dłonie dotykały podłogi. Wydawało się, że jest czymś przejęty i bardzo zmęczony.

- Już nic - powiedział cicho. - Już nic wam nie powiem. Bo o czym tu mówić? Że życie jest brutalne i pełne zasadzek? Dzisiaj nawet dzieci o tym wiedzą. Co tu ukrywać, jak słusznie mawiała nieboszczka Filomena.

Wróciłem do salonu.. Musiałem wyjąć chusteczkę, wytrzeć nos. Miałem coraz silniejszy katar. Zwróciłem się do Zenobiusza.

- Kiedy pan wszedł do tamtego pokoju?

- Teraz, panie sierżancie. Przed chwilą.

- Którędy? Przypominam, że nie musi pan odpowiadać.

- Zawsze wchodzę drzwiami. Tymi z korytarza. Pan chyba wie, że do tamtego pokoju można wejść oddzielnymi drzwiami, z korytarza. Niekoniecznie przez amfiladę.

- I co pan tam zauważył?

- A co miałem zauważyć? Nic.

- Jak to nic?

- No bo nic, zupełnie nic. Chyba nie myśli pan o meblach?

- Przecież tam były na fotelu zwłoki Filomeny! - powiedziałem.

- Ale już ich nie ma - odparł Zenobiusz. - Sądziłem, że pan usunął stamtąd doczesne szczątki mojej siostry.

- Od momentu, kiedy natychmiast po przyjeździe do tego domu stwierdziłem, że Filomena nie żyje, w ogóle tam nie zająłem.

Przez otwarte drzwi pokoju, w którym jeszcze niedawno spoczywały na fotelu zwłoki Filomeny, weszła uśmiechnięta Laura.

- A widzi pan? - zawołała. - Mówiłam, że ciocia żyje. Teraz ciocia pomyślała, że nikt tam na razie nie wejdzie, i gdzieś sobie poszła. Może najadła się chałwy? I wyszła, żeby popić wodą.

Zastanawiałem się, czy Laura dlatego tak mnie namawiała do obejrzenia Filomeny, ponieważ już wiedziała, że Filomeny tam nie ma. Sporo przemawiało za tą tezą, ale kiedy przypomniałem sobie ogromne zdziwienie Laury na widok pustego fotela, wtedy pomyślałem zupełnie inaczej: Laura wiedziała, że Filomena nie żyje, i dlatego jest zaskoczona, że tam nie ma już jej zwłok.

Barnaba był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

- A ja już uwierzyłem panu sierżantowi! Chciał pan z nas zażartować, co? Wie pan, zupełnie zapomnieliśmy, że cioci trzeba zostawić trochę wody albo herbatę z mięty, bo ciocia nałogowo piła taki napar. Miała przy sobie tylko kanapki i chałwę. Chyba ruszyło ją pragnienie albo poszła do ubikacji.

- Na pewno tam poszła - zaszczebiotała Laura. - Człowiek nie mucha, na ścianie nie może. Nic, co ludzkie, nie jest cioci obce.

- Ty to jesteś dobra - pochwalił ją Barnaba.

- Otóż to - powiedziałem. - Wszyscy tutaj są bardzo dobrzy. Panie Barnabo, zdaje się, że pokojówka przyprowadziła felczera, który stwierdził zgon, nim jeszcze ja się zjawiłem. I felczer stwierdził zgon.

- Ciocia mu tak kazała - wtrąciła Laura.

- Od kiedy ciocia ma tyle forsy, wszyscy jej słuchają - dodał Barnaba. - A jak pan myśli, jakim cudem założono telefon? Także trzeba było posmarować, żeby na tym odludziu mieć dzwonek.:

- W gminie jest linia telefoniczna, więc to nic trudnego - powiedziałem bez przekonania.

- Tak się tylko mówi - mruknął Zenobiusz. - Różnie bywa na tym padole śmiechu i łez.

Amelia milczała. Przesiadła się z jednego krzesła na inne, później wróciła na poprzednie. Zastanawiała się nad czymś, obserwowала Barnabę i Laurę, przysłuchiwała się naszej rozmowie.

- Panie sierżancie - odezwała się - może oni mają rację?

- Kto?

- Barnaba i Laura.

To było coś zupełnie nowego. Nie spodziewałem się, że Amelia w to uwierzy.

- Czy pani mówi poważnie?

- O tej smutnej sprawie przez cały czas mówiłam poważnie - odparła Amelia. - Proszę się tylko zastanowić: kiedy weszłam do pokoju Filomeny, było tam ciemno. W zielonkawym świetle lampki ledwie zauważyłam zarys rękonożki sztyletu. I nic więcej. Za oknem huczy rzeka i ulewa i wiatr, więc oddechu Filomeny także nie słyszałam. Nie wiedziałam, co to wszystko ma znaczyć. Dopiero kiedy usłyszałam czyjeś kroki, zaczęłam krzyczeć. Przeraziłam się.

- Czyje kroki?

- Nie wiem. Ktoś tam był i szybko wyszedł.

- Tak sobie wyobrażałem. A co teraz pani myśli o tej smutnej, jak pani sama powiedziała, sprawie?

- Panie sierzancie - odpowiedziała - - kiedy krzyczałam w pierwszym odruchu paniki, Filomena mogła jeszcze żyć. Przecież nie sprawdzałam jej puls. Ani bicia serca. Nie mam pojęcia, dlaczego wtedy pomyślałam, że ciocia nie żyje. Chyba żyła, kiedy wzywałam pomocy.

Zaskoczyło mnie wyznanie Amelii. Czy tym razem chciała usprawiedliwić i uniewinnić Laurę i Barnabę? Zapytałem:

- Więc sądzi pani, że dopiero przed chwilą ktoś skorzystał z zamieszania lub naszej nieuwagi, zabił Filomenę i usunął zwłoki? Coś w tym rodzaju chce mi pani zasugerować?

- Dlaczego zaraz „zabił”? Filomena chciała zrealizować swój plan. Ponieważ zorientowała się już, że pan tu jest, pomyślała że prowadzi pan śledztwo. I na pewno chciała uniknąć zdemaskowania niefortunnej mistyfikacji. I nadal udaje nie tylko zmarłą, ale i zaginioną. Mogła się gdzieś schować przed panem i przed nami Miała tylko jedną okazję, żeby nas wprowadzić w błąd udając zamordowaną. I wie, że taka okazja już się nie powtórzy. Musi więc doprowadzić plan do końca.

„Miałem na ten temat odmienne zdanie. Plan Filomeny ktoś inny doprowadził do końca.

- Poza granicą życia - powiedziałem - człowiek nie ma już żadnych planów i o niczym nie może decydować.

Zenobiusz chrząknął kilkakrotnie, patrząc na mnie jak święty Antoni na kuszącego go szatana.

- Więc pan nadal upiera się przy twierdzeniu - powiedział namaszczonego tonem - że nie istnieje życie pozagrobowe? I gotów jest pan odpowiadać po śmierci za swoje słowa? Bo o to także pana zapytają. TAM. O wszystko zapytają. I trzeba odpowiadać.

- Wierzę w śmierć biologiczną - odparłem. - Tego nauczyło mnie moje doświadczenie. A co do reszty... Pan wie, reszta jest milczeniem. Pani Lauro, popełniła pani straszliwy błąd, informując mnie tak późno o żarcie Filomeny.

- Ona jest jeszcze młoda, panie „sierzancie - usprawiedliwiła ją natychmiast Amelia. - Skąd mogła wiedzieć?

Zapewne Amelia chciała wszystkich oczyścić z jakichkolwiek zarzutów i podejrzeń. Czy dlatego, że sama czuła się niewinna? Doskonale. Ale kto w takim razie był winnym? Kto zabijał? Niewinność tych ludzi Wskazywała na to, że ja zabijałem.

- To przesądzona sprawa - dodała Amelia. - Felczer nie żyje, więc nigdy nie dowiemy się prawdy.

- Powiedziałem pani prawdę.

- Pan? - zawołała. - A skąd mamy o tym wiedzieć? Pan nam nie ufa, więc dlaczego miałabym ufać panu?

- Słusznie - powiedziałem. - Podoba mi się pani coraz bardziej.

- A pan mnie - rzuciła - coraz mniej. Przecież pan sam podszedł do Filomeny. Mógł pan wbić sztylet i dopiero później stwierdzić zgon. Nienawidzę pana. Pan także mógł zabić Filomenę. Gdyby tutaj był ktoś uprawniony do prowadzenia śledztwa...

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie. Już wiedziałem, co myśleć o tej smutnej historii.

- Mogłem zabić Filomenę - powiedziałem, wciąż uśmiechając się. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem nos. - Mogłem ją zabić. Ale pani nie ma pojęcia, jak ja strasznie nie lubię zabijać. I dlatego wybrałem taki zawód, żeby ludziom przeszkadzać w zabijaniu.

Padał deszcz.

Przerwane połączenie

Kucharka, Filomena, pokojówka, Eligiusz, felczer - oto straszliwy ciąg zbrodni. Żadnej nie mogłem zapobiec. Przewidzieć jakąś okoliczność to udaremnić jej realizację... Ale co można było przewidzieć w gmatwaninie niedomówień, wykrętów, kłamstw, mylnych informacji? W tym pomieszaniu farsy i powagi, groteski i tragedii? W atmosferze niezwyklej i sennej...

Zenobiusz drzemał. Barnaba ziewał szeroko. Amelia miała powieki senne i ciężkie. Laura popłakiwała jak małe dziecko, któremu starsi nie dają zasnąć.

Spizarnia Filomeny była dobrze zaopatrzona. Znajdujące się tam zapasy mogły starczyć co najmniej na dziesięć dni dla nas wszystkich. Nawet dla tych, którzy już nie żyli. Amelia usmażyła jajecznicę, a Laura podała chleb z masłem i mleko. Byliśmy głodni, ale tylko Laura jadła z apetytem.

Rozmawialiśmy jeszcze o Filomenie. Zaczęła Laura, która nie chciała się pogodzić z tym, że Filomena nie żyje. Nie mogła uwierzyć i wciąż wracała do tego tematu.

- Wiem, że pan nie kłamie - powiedziała płacząco - ale to wszystko... Nie, niemożliwe. Może ciocia gdzieś wyszła i zaginęła w tym domu? Bo to niemożliwe...

- Otóż to - powiedziałem - niemożliwe. Zaginęły tylko zwłoki Filomeny, nie Filomena. Kiedy przygotowywałyście kolację, przeszukałem cały dom, strych i piwnice. Nie

znalazłem Filomeny. Lauro, wiem nawet, w jakich okolicznościach i jak popełniono zbrodnię. Wkrótce także się dowiecie wy, którzy wiecie więcej niż ja.

- I co pan teraz zrobi? - zapytała Laura.

- Muszę się porozumieć z Komendą Główną. Pani Amelio, w jaki sposób mógłbym to zrobić? Czy istnieje taka możliwość?

- To nierealne - odpowiedziała Amelia. - Przecież pan sierżant wie, że powódź zalewa już wzgórze, na którym stoi ten okropny dom. Woda oddalona jest od nas zaledwie o kilka metrów. Bryzgi fal padają na mury. Piwnice są częściowo zalane. Nie ma takiego sposobu, żeby pan skontaktował się z Komendą Główną ani z kimkolwiek innym.

- Muszę się z nimi porozumieć.

Popatrzyłem na nich. Szukałem w ich oczach zrozumienia, prosiłem tym spojrzeniem o pomoc. I nagle przypomniałem sobie moje spotkanie z Filipem. Byłem u niego w oficynie. Oglądałem tam stryszek i gołębnik. Zresztą nie tylko stryszek i gołębnik.

- Pani Amelio, Filip pokazywał mi gołębie przywiezione z Warszawy. Czy to są gołębie pocztowe?

Dziwnie na mnie spojrzała. Z potępieniem i zarazem z podziwem. Nieufnie i z aprobatą. I z tym niepokojącym uśmiechem okrutnym i zmysłowym.

- Tak - powiedziała - są tam dwa gołębie pocztowe. Tylko w ten sposób mógłby pan przekazać wiadomość do Warszawy. Ale jaką i po co? Co to nam da?

- Pani Amelio - powiedziałem łagodnie - jeżeli Komenda Główna zamianuje panią moim szefem, odpowiem na wszystkie pytania. Nim to nastąpi, nie wolno mi udzielać takich informacji. Pani wybaczy. Zresztą nie jestem już w czynnej służbie i nikt mi nie może rozkazywać.

- Rozumiem pana - powiedziała drwiąco Amelia - i głęboko współczuję. Ale chyba może pan powiedzieć, skąd ten upór, że Filomena naprawdę nie żyje? Upór i pewność.

- Tylko w teatrze ginie się: na niby - powiedziałem. - Lecz w rzeczywistości, jeżeli się nie żyje, to nie żyje się naprawdę. Chciałbym zobaczyć teraz gołębnik.

- Pan się okropnie ośmieszy w Komendzie Głównej - powiedziała Laura. - Ciocia gdzie się ukryła i na pewno obserwuje nas teraz. I śmieje się z pana sierżanta. Nie wierzy pan? Zaraz pan zobaczy.

Wstała i podchodząc do drzwi, które szeroko otworzyła, zawołała donośnie w głąb mieszkania:

- Ciociu, ciociu!

Zacząłem kasłać. Znowu musiałem wyjąć chusteczkę do nosa.

- Ten przeklęty deszcz - powiedziałem usprawiedliwiająco.

Laura wołała stojąc już w następnych drzwiach:

- Ciociu, ciociu! Niech ciocia już wyjdzie z kryjówki!

- Zabraknie mi wkrótce chusteczek - - powiedziałem do Amelii. A do Laury:

- Dziecko drogie, proszę mi wierzyć, że drugi sztylet, który mam u siebie w pokoju, w bibliotece, wydobyto nie z szala, ale z serca pani Filomeny. Filomena nie żyje. Taka jest prawda.

Barnaba stał przy mnie, podszedł jeszcze bliżej.

- Czy felczer panu tak powiedział? - zapytał szybko, w gorączkowym pośpiechu. - Na jakiej podstawie pan uwierzył felczerowi? Z jakiej racji? Dlaczego? Bo co?

Amelia dorzuciła do tego pytania:

- A czy pan sierżant sprawdził orzeczenie felczera? Zenobiusz nie chciał pozostać w tyle, także natarł na mnie:

- Czy pan osobiście i autorytatywnie stwierdził zgon?

Czułem się, jakbym był na przesłuchaniu, wzięty w krzyżowy ogień pytań. Ale w tej sprawie miałem czyste sumienie, dopełniłem obowiązku już nawet nie sierżanta, ale człowieka walczącego z siłami ciemności i zła.

- A dowód? - zawołała Laura. - Niech pan sierżant da jakiś dowód, żebym mogła uwierzyć!

- Lauro - powiedziałem - i pani Amelio, i panie Zenobiuszu, i szanowny panie Barnabo. Sam, tymi rękoma, wyjąłem ostrożnie sztylet nie z szala, ale z ciała Filomeny. I zabezpieczyłem, między innymi, również odciski linii papilarnych. Zrobiłem wszystko, co nakazywało mi wieloletnie doświadczenie. A za to, co stało się później, odpowiedzialność spada na was. Zbyt wiele przede mną ukrywacie. Nie, nie zaprzeczajcie. Mam do was żal i wstydę się za was. Będę szczęśliwy, jeżeli teraz wyjdziecie stąd. Są chwile, kiedy nie mogę na was patrzeć. Proszę, nic już nie mówcie. Musicie odpocząć.

Kiedy wyszli z salonu, udałem się do biblioteki. Ustawiono mi tam polowe łóżko. Leżała na nim czysta pościel, dwa koce i mała poduszka. Nie mogłem zasnąć. Spisywałem wydarzenia tego dnia, odtwarzałem dialogi, sytuacje, zachowanie się tych ludzi. Później jeszcze raz obszedłem cały dom. Cicho, żeby nikogo nie zbudzić. Szum ulewy i huk wezbranej rzeki zagłuszały moje kroki. Na strychu; w fibrowej walizce wypełnionej papierami i starymi zeszytami szkolnymi znalazłem zdjęcie Barnaby. Było z pewnych względów bardzo interesujące. Schowałem je do kieszeni. Lufcie takie stare i pożółkłe zdjęcia. To było wyjątkowo interesujące.

Zajrzałem do salonu. Usiadłem przy stoliku, na którym stał aparat telefoniczny. Podłączyłem wyrwaną przez kogoś końcówkę kabla. Odezwał się sygnał. A więc stąd mogłem telefonować do Komendy Głównej, poprosić o pewne informacje i przedstawić, co tu się zdarzyło i co dzieje się nadal.

Dla wypróbowania, czy linia naprawdę działa, poprosiłem o numer tej dziewczyny. Nazywała się Basia i mieszkała w Poznaniu, tam studiowała psychologię. Była noc, więc połączenie uzyskałem szybko, po dziesięciu minutach czekania. Usłyszałem zaspany głos Barbary. Przeprosiłem, że telefonuję tak późno. Ale nie wspomniałem, że jestem już na emeryturze. To zabrzmiałoby jak wyznanie starego człowieka, a przecież nie byłem stary, byłem tylko trochę zmęczony, jak każdy, kto nie oszczędza się w swojej pracy.

Dziewczyna powiedziała:

- Gdyby o tej porze telefonował ktoś inny, byłabym wściekła. Ale cieszę się, że dzwonisz, masz dobre pomysły. Nim zasnęłam, myślałam o tobie, a później śniło mi się, że przyjechałeś.

- I co się działo później w tym śnie?

- Nie wiem, bo zbudził mnie twój telefon. Czemu jeszcze nie śpisz? Chciałeś mi coś powiedzieć?

- Nie mogłem zasnąć. Mam tu okropną sprawę.

- Morderstwo?

- Tak. Nawet kilka morderstw. Dom wariatów.

- Jesteś tam sam, bez kolegów?

- Niestety. Powódź odcięła mnie od całej reszty świata.

Rzeka wyrwała kawał ziemi i ten dom otoczony jest wodą ze wszystkich stron. Wyspa okropności.

- To cudowne! Jesteś jak Napoleon uwięziony na wyspie Świętej Heleny. Nic ci tam nie grozi? Powiedz.

- Nie wiem.

- Uważaj na siebie, proszę. A więc bała się o mnie.

- U was także tak leje? - zapytałem.

- Boję się o ciebie - powiedziała. - Masz przy sobie broń?

- Nie - odparłem. - Wiesz, że nie lubię chodzić z bronią. Zawsze dawałem sobie radę bez broni. Na ogół głowa bardziej się przydaje niż pistolet służbowy.

- A tam także sobie poradzisz? Naprawdę?

- Postaram się. Pada u was?

- Szkoda, że nie jestem z tobą.

- A ja się cieszę, że nie jesteś ze mną. To ponury dom. Nawet nie wiedziałem, że są jeszcze takie domy. I tacy ludzie, jak tutaj. Próżniacy. Nie lubię leniuchów. Wiesz, ty jesteś inna. Dlatego zatelefonowałem. Chciałem się przekonać, czy istnieje jeszcze inny świat, poza tą wyspą.

- A są tam jakieś dziewczyny?

- Dwie, nawet ładne. Jedna z nich nosi najkrótsze mini, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Czy młoda? Ty lubisz młode dziewczyny, tak mi się zdaje.

- To nieprawda. Z młodych dziewcząt lubię tylko ciebie jedną, nikogo więcej. Ale ciebie lubię nie tylko za twoją młodość. Może byłoby nawet lepiej, gdybyś była starsza, ale taka sama.

- Ja ciebie także bardzo lubię. Ciebie i Napoleona. To był świetny facet. Szkoda, że już nie ma takich ludzi.

- Chyba są. Ale nie mają możliwości, żeby się ujawnić. Rozumiesz, że nie ma podobnej sytuacji historycznej ani politycznej, żeby ktoś podobny mógł wypłynąć. Chciałem ci coś ważnego powiedzieć. Co? Wiesz, w Europie nie ma już szans dla awanturników, nawet tak genialnych jak Napoleon. Muszą rządzić ludzie rozsądni i rzeczowi, nie fanatycy, nie fantaści. Basiu, chciałem ci coś powiedzieć.

- I ja tobie.

O czym chciała mówić? Chyba o czymś innym niż ja.

- Powiedz pierwsza - poprosiłem.

- Nie, ty powiedz. Jeżeli zacząłeś, nie łam się teraz.

- Muszę odpowiedzieć, ale nie chciałbym... Wolę, żebyś ty... Zaczynaj pierwsza, dobrze? Ale już natychmiast. Proszę!

- Dobrze, po... - dobiegł mnie jej cichnący głos. Usłyszałem trzask w słuchawce. Później szum przeciągły, przechodzący w gwizd. I cisza. Straszliwa cisza, absolutna, totalna, aż hucząca w słuchawce zanikającym echem.

Linia była zerwana.

Nie musiałem sprawdzać podłączenia kabla, nie musiałem stukać widelkami. Centrala nie mogła się zgłosić, byłem od telefonicznej centrali odcięty. I od tej dziewczyny. Znowu nie zdążyłem powiedzieć, że ją kocham. Nawet nie liczyłem na to, że ona powie tak samo. Chciałem tylko, żeby wiedziała. Nic więcej. Może nie kochałem Barbary, ale w niej przypomnienie mojej młodości? Może każda miłość jest złudzeniem?

Do Komendy już nie mogłem zatelefonować. To było najgorsze. Zostałem sam na sam ze zbrodnią. Sam jeden przeciw tej ciemności.

Padał deszcz.

Lot gołębia

Wczesnie rano zajrzałem do gołębnika. Musiałem przekazać pilną wiadomość do Komendy. Kiedy uporałem się z tym, przeszukałem śmietnik. Pod stertą odpadków, gazet i pustych puszek znalazłam skorpiona. Był wyrzeźbiony z drewna, pokryty metalizowaną farbą. Dostrzegłem ślady skwaśniałego kefiru w załamaniach rzeźby.

Śniadanie sam zrobiłem. Biały ser i filiżanka kawy. Zenobiusz wstawał wcześniej niż ja. Spotkałem go na korytarzu już ubranego. Poprosiłem, by wszedł do salonu.

Wspomniałem już, że na ścianie wisiała wytłoczona w mosiężnej blasze tarcza herbowa przedstawiająca koronę, z której sterczały pawie pióra. Żalony ślad marzeń Filomeny o założeniu nowego rodu. Pod tarczą wisiała stara kusza z naciągniętą cięciwą. Używano takiej broni do walk w Europie między jedenastym a piętnastym wiekiem; później, do osiemnastego wieku, używano kuszy jako broni myśliwskiej lub sportowej. Egzemplarz, który tutaj wisiał, pochodził z osiemnastego wieku. Umieszczono go między dwoma halabardami; mówiąc ściślej, były to tak zwane partyzany, używane przez gwardię przyboczną Jana Sobieskiego. Pomyślałem, że trzeba będzie sprawdzić, czy z jakiegoś muzeum nie zginęła podobna broń. Wszystko może się zdarzyć. A co się nie zdarzyło, zdarzy się w przyszłości.

Wchodząc do salonu z Zenobiuszem, spostrzegłem natychmiast, że na ścianie brak kuszy. W miejscu, gdzie wisiała, pozostał tylko jaśniejszy ślad jej kształtu.

Po wczorajszej burzy, niebo przejaśniło się w kilku miejscach, ale skłębione chmury od czasu do czasu przesłaniały jaśniejsze skrawki nieba. Deszcz także zelżał. Była mżawka. Uchyliłem okno. Katar nie przechodził i znowu musiałem korzystać z chusteczki. Lekarze przeszczepiali serca, lecz nie umieli leczyć kataru.

- Jeszcze dzień takiego deszczu - powiedziałem do Zenobiusza - i człowiek zupełnie się wykończy. Od dziecka miałem skłonność do kataru. Nawet w lecie, jeżeli padał deszcz. U kogo był drugi sztylet?

- Zenobiusz, zaskoczony tak nagłym przejściem z innego tematu w to pytanie, zdenerwował się.

- Czego pan ode mnie chce?

- Prawdy, tylko prawdy i jeszcze raz prawdy.

- Ale ja nie wiem, czego pan chce.

- Porozmawiać, panie Zenobiuszu. Chcę z panem porozmawiać jak człowiek z człowiekiem.

Znowu musiałem skorzystać z chusteczki. Usprawiedliwiłem się:

- Widzi pan, jak mnie wykończyła ta pogoda. Kto wie, czy nie przyjdzie pan wkrótce na mój pogrzeb. „Pan K., pański dobry znajomy, zmarł w stopniu sierżanta w stanie spoczynku”. Tak powiedzą. Myślałem, że dochrapię się na stare lata starszego sierżanta. Później trudno przeskoczyć ten stopień. I nie przeskoczyłem. W ogóle byłem, nietypowy, szef kiedyś tak powiedział.

Stojąc przy stole, podniosłem nagle leżący tam sztylet

- Czyj to sztylet? - zapytałem.

- Sztylet? Jaki sztylet?

- Proszę się nie denerwować - powiedziałem. - Jesteśmy tu sami, nikt nas nie słyszy. I nikt nie dowie się, o czym rozmawialiśmy. To przypomina tajemnicę spowiedzi. Może pan na mnie polegać.

- Denerwować? Też coś. Nie ma powodu do zdenerwowania. To pan sierżant się denerwuje, nie ja.

- Panie Zenobiuszu, jeszcze raz pytam: kto miał drugi sztylet z tego weneckiego kompletu?

Czy pan sierżant chce powiedzieć, że ja go miałem?

- A co pan chce powiedzieć?

- Ja?

- Daję panu teraz ostatnią szansę powiedzenia mi prawdy. Ostatnią. Proszę się zastanowić. Słucham.

- A jeżeli nie powiem? Czy jest taki przepis, że muszę odpowiadać na wszystkie pańskie pytania?

- Nie musi pan. Apeluję do pańskiego sumienia.

- No to nic nie powiem.

- Doskonale. W takim razie sam panu powiem. Ale wtedy będzie za późno, żeby pan mógł mi o tym powiedzieć.

To bardzo pana obciąży. Ostrzegam. Ci, którzy mi zaufali, nie żalowali tego później.

Zenobiusz chrząknął. Prawą nogę miał założoną na lewą. Teraz założył lewą na prawą. Znowu chrząknął.

- Można zapalić? - zapytał. - Poczęstuje mnie pan? Poczęstowałem go papierosem i podałem ogień.

- Sztylet był u mnie - powiedział Zenobiusz. - Chciałbym jednak wiedzieć, kto panu o tym doniósł. Od tego uzależniam moją szczerłość.

- Przecież pan. Właśnie w tej chwili i zupełnie dobrowolnie. Co pan zrobił z tym sztyletem?

- Nigdy go nie używałem. Od wielu lat leżał w mojej komóдке w zamszowym etui, w takim specjalnym futerale. Było w nim miejsce na dwa sztylety. Ten drugi miała Filomena. Dostała je od męża w prezencie ślubnym. Rzekomo są to sztylety Lukrecji Borgii. O ile wiem, zginęły kiedyś z Muzeum Watykańskiego albo ze zbiorów broni w Pastel San Angelo, To wszystko, co wiem na ten temat. Etui jest teraz puste.

- Nie wątpię w to - powiedziałem. - Kto wykradł panu sztylet? Kogo pan podejrzewa?

- Jak panu wiadomo, nasza poczcziwa służba już nie żyje. Pan wie. Świętej pamięci kucharka. Ten fatalny parmezan. No i Gienia. Ten nieszczęsny chodnik. Biedna Gienia! Ona u mnie sprzątała i na pewno, nieraz widziała sztylet. Może Gienia zabrała? Dzisiaj nikomu nie można ufać. Może Gienia.

- Może - powiedziałem. - A jeżeli nie ona?

- Eligiusz takie wiedział, że mam sztylet. Może on?

- Może - powiedziałem. - A jeśli nie Eligiusz?

- U mnie w pokoju jeszcze Laura bywała. Może ona?

- Może - powiedziałem.

- A jeżeli Laura...

- Co Laura?

- Zabrała sztylet? Zenobiusz potrząsnął głową, chrząknął.

- Nie wyrządziła rai takiej krzywdy. Po co miałyby zabierać cudzą własność? Ona mnie jeszcze wtedy kochała.

- Pan wierzy w cuda?

- Może tylko się łudzę. Ale wychodzi na jedno. W miłości złudzenia liczą się tak samo jak prawda.

- Jednak w śledztwie jest inaczej. Liczy się tylko prawda. Co pan sądzi o całej sprawie? Po co był potrzebny drugi sztylet? Przecież myślał pan o tym. Do czego pan doszedł?

- Powiem panu. Chyba ktoś zorientował się w tej zabawie w śmierć, jaką obmyśliła tak nieopatrznie nieboszczka Filomena. I ten ktoś wykorzystał sytuację, żeby podejrzanie

padło na mnie. Przecież nie mogłam zabić Filomeny! Panie sierżancie, to była moja siostra, rodzona, jedyna i ostatnia.

- Jeżeli czytał pan Biblię, a czytał ją pan na pewno, jeżeli czytał pan Herodota, Tacyta, Szekspira, wie pan zapewne, że nawet syn może zabić matkę, ojciec może zgładzić syna, matka może zabić własne dziecko, brat może zabić siostrę lub brata, że przypomnę tu Kaina i Abła. A żony zabijają mężów. W *Liliach* Mickiewicza pani zabija pana. „Zbrodnia to niesłychana” - pamięta pan? Okropność okropnością pogania, i to w literaturze, która jest zwierciadłem przechadzającym się po szlakach ludzkiej egzystencji.

- Pan dużo czytał - powiedział Zenobiusz.

- Mało - odparłem. - Wolałbym zresztą czytać o zbrodniach niż je oglądać. Ale tego nie można wyeliminować z mego zawodu.

- Tak, tak... Życie jest brutalne. Pamiętam to: „pani zabija pana”. Właśnie dlatego nie ożeniłem się. Nie ufam kobietom. Zwłaszcza takim, z którymi człowiek już się ożeni. René Clair powiedział kiedyś że każde małżeństwo to niebezpieczny wypadek, ale czasem wychodzi się z tego. Słyszał pan? Tylko czasem. A inny myśliciel powiedział: „Ci, co nie rozumieją, że można udusić kobietę, nie znają kobiet”. A ja je znam, panie sierżancie. Jednak
nie zabiłbym

nigdy żadnej kobiety. Ani Filomeny. To był straszny widok. Nie mogę się z tego otrząsnąć.

- Otóż to - powiedziałem. - Powiem panu poufnie, tak między nami, że na mnie śmierć, w ogóle widok trupa, robi fatalne wrażenie. Zawsze to odchoruję. Mojemu szefowi nigdy bym o tym nie powiedział. To tak, jakby chirurg płakał na widok złamanej kości. Śmieszne, nie? Jednak taki już jestem. Kto zabił Filomenę?

- Proszę pana, nie zabiłbym nawet kury. Zaśmiałem się.

- Świetny dowcip! Mordercy nie zabijają kur, panie Zenobiuszu. Mordercy są ludźmi i zabijają ludzi.

- Wie pan co? - zapytał Zenobiusz. - Pomyślałem teraz, że może Barnaba wykradł mój sztylet. On także wiedział, gdzie schowałem etui. Ale Barnaba nie mógł zabić. On kochał Filomenę.

- Tak ją kochał - zawołałem - że wrzucił skorpiona do jej szklanki z kefirem! Zaiste, wielka to miłość.

Zenobiusz z wrażenia strzepnął popiół z papierosa na spodnie. Zauważył to, lecz nie zrzucił popiołu z sukna..

- Barnaba? Pan fantazjuje. Kiedy nie ma się dowodów konkretnych, wtedy zawsze coś się zmyśla. Już ja was znam!

Położyłem przed Zenobiuszem fotografię Barnaby. Był w uniformie podobnym do tego, jaki teraz nosił. Stał z elektryczną gitarą na środku małej estrady, na tle kilku chłopców z długimi włosami, siedzących przy swoich instrumentach. Na szyi miał łańcuch, do którego przyczepiony był zamiast medalionu czy innego wisiorka skorpion wyrzeźbiony z drewna, pokryty metalizowaną farbą.

- Znalazłem skorpiona na śmietniku. Właśnie tego, którego widzi pan na zdjęciu. Barnaba chciał przerazić nim Filomenę. Z miłości do niej, prawda?

- Barnaba jest moim synem! Protestuję!

- Może trochę ciszej, panie Zenobiuszu. Każdy przestępca jest czyimś synem. I każdy ma lub miał ojca. Wypadki dzieworódtwa nie są w Polsce znane. Pan chyba też nie wierzy w niepokalane poczęcie u tej kobiety, która go urodziła. Ten problem wyjaśniliśmy. Zenobiuszu, pan się czegoś boi. Pan drży.

- Taki sztuczny skorpion nie mógł zabić Filomeny. A więc podejrzenie o zamiar zamordowania odpada... Tam, w niebie, powiedzieliby panu, że jestem niewinny. Nie muszę się bać. I wcale nie drzę. W niebiesiech wiedzą o mnie wszystko.

- Nie mamy bezpośredniego kabla telefonicznego do nieba. Ani dalekopisu, nawet w Komendzie Głównej. Jesteśmy zdani na własne siły. Na ziemi musimy sami rozstrzygać, kto jest winny, a kto niewinny.

- I nigdy się nie mylicie?

- Czasami się mylimy. Ale prócz nas jest jeszcze prokurator i biegły, i sędzia śledczy. I są świadkowie. I dowody rzeczowe.

Do pokoju weszła Amelia, bez pukania. Położyła na stole zewłok gołębia pocztowego, przeszytego strzałą.

- To gołąb - powiedziała - którego pan wypuścił, żeby przekazać wiadomości do Komendy Głównej.

Tak, to był gołąb. Miał mokre pióra.

Padał deszcz.

Cold Carem

Amelia znalazła gołębia w ogrodzie. Do nogi miał przyczepioną aluminiową tulejkę: pudełeczko w kształcie walca, w którym można przesyłać wiadomości. Gołąb był przeszyty nie strzałą, ale tak zwanym bełtem.

- Widzi pan - powiedziałem do Zenobiusza - jeszcze jedna zasadzka. Tym razem na gołębia. Zabawa trwa.

- Tak - potwierdził Zenobiusz. - I jeszcze jedna ofiara. Może ktoś wypuścił strzałą do gołębia z tamtej strony rzeki?

- Może - powiedziałem. - Dziękuję panu z tej strony rzeki.

Zenobiusz wstał z krzesła. Ale jeszcze nie odchodził.

- Dziękuję - powtórzyłem. - Nie jest pan już potrzebny.

Zapytał lekko drżącym głosem:

- Pan chyba nie wierzy, że to ja?

- Panie Zenobiuszu - powiedziałem - żyję tak długo, że w ogóle przestałem w cokolwiek wierzyć. Nie szukam na tym świecie wiary, lecz prawdy. Przynajmniej prawdopodobieństwa. To już jest coś, takie prawdopodobieństwo zastępujące prawdę.

- Chciałbym, żeby pan znalazł mordercę - odezwał się Zenobiusz stojąc już w drzwiach. - Może pan go znajdzie. Życzę z całego serca.

- A może morderca mnie znajdzie? I zabije. Nie wierzy pan? Morderca jest w lepszej sytuacji niż ja. Może mnie zabić, a ja mogę go tylko ująć. Olbrzymia różnica, zasadnicza.

Mnie nikt nie uprawnił do zabijania. A morderca sam uzurpował sobie prawo do zabijania ludzi.

- I gołębi - powiedział Zenobiusz.

- Tak, i gołębi. Dobrze, że pan pamiętał o gołębiu. Zenobiusz wyszedł. Drzwi zamykał ostrożnie i cicho, jakby wychodził z pokoju, w którym ktoś zasnął. Amelia spojrzała na gołębia.

- Ktoś przestrzelił go z łuku.

- Nie, pani Amelio. Na tak doskonały strzał, przy tym wietrze, nie zdobyłby się nawet mistrz świata w łucznictwie. Wie pani, jak zabito gołębia?

Zbliżyłem się do ściany, na której jeszcze wczoraj wisiała kusza. Wskazałem jasną plamę pozostałą po jej zdjęciu.

- Dzisiaj w nocy ktoś zabrał kuszę i bełty przyczepione do niej. Jeszcze wczoraj tutaj wisiała.

- Ach, tak! - Amelia spojrzała na ścianę. - Nie zauważyłam. Ale wczoraj na pewno kusza tutaj wisiała.

- Kto w tym domu umiał posługiwać się kuszą?

- Chyba wszyscy. Często strzelaliśmy z kuszy do tarczy. Urządzaliśmy zawody z nudów. Tu można było umrzeć z nudów.

- A kto z nudów strzelał najlepiej? - zapytałem. Amelia zastanawiała się przez chwilę.

- Chyba Barnaba. Nawet Zenobiusz dobrze strzelał.

- A Laura? - zapytałem.

- Dość celnie strzelała, jednak dla niej trzeba było napinać cięciwę. Bo ona nie ma tyle siły w rękach.

- Tym razem nie trzeba jej było napinać, bo była przygotowana do strzału. Wystarczyło w rowek położyć bełt i wystrzelić do celu. Na przykład do gołębia.

- No tak - potwierdziła Amelia. - Więc Laura także mogła strzelać. Ale wątpię, żeby ona do gołębia... Panie sierżancie, czemu pan nie sprawdzi, czy w tulejce jest tekst, który pan wysyłał do Komendy? Można zobaczyć?

Z nóżki martwego ptaka odczepiła aluminiowe pudełko.

- Jeżeli jest pani prawdziwą kobietą, a w to nie wątpię, chyba pani wcześniej tam zajrzała. Prawda?

Zaśmiała się.

- Pan jest świetnym znawcą psychiki kobiet. Zajrzałam, kiedy tylko zobaczyłam gołębia leżącego na ścieżce. Tulejka była pusta. A przecież pan włożył tam jakiś tekst.

Właśnie chciałam panu powiedzieć, że karteczka zginęła. Ktoś inny musiał to zrobić wcześniej. Ja jej nie wyjęłam. Ale pan chyba mi nie uwierzy.

- Wierzę. Czy pani sądzi, że to jest moja pierwsza sprawa w życiu, ta sprawa z wami?

- Na pewno nie. Ale chyba pierwsza tak bardzo pechowa sprawa. Tak mi się wydaje, przepraszam.

- Niestety - powiedziałem. - Pechowych spraw było więcej. Mój szef mógłby coś powiedzieć na ten temat. Wie pani, jeżeli zbyt długo pada, a ja w tym czasie mam jakąś sprawę, na ogół zawsze źle mi idzie. A to jest moja ostatnia sprawa, nie mam już uprawnień... Sprawa zesłana przez los.

- Czy pan domyśla się, kto mógł zestrzelić gołębia i zabrać pański meldunek?

- Pani Amelio, nikt nie zabrał mojego meldunku. Powiedziałem wam, że wysłałam gołębia pocztowego. To było jedyne wyjście. Jest mi niezbędnie potrzebna pewna informacja. A gołąb pocztowy szybciej dociera do adresata niż list wysłany pocztą. Gołąb leci z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Potrafi nieomylnie omijać wichury i burze. Ma w sobie doskonalszy radar niż najnowocześniejsze samoloty i statki. I nigdy nie zmyli drogi. Musiałem jednak liczyć się z tym, że morderca przeszkodzi mi w przekazaniu meldunku. Wypuściłem więc przez okno tego właśnie gołębia z pustą tulejką. A drugiego wypuściłem później z ukrycia i temu drugiemu przyczepiłem tulejkę z informacją dla Komendy. Może pani to zabrać - wskazałem gołębia. - Szkoda, że ktoś zabił tak pięknego ptaka. Tylko czy człowiek strzela do gołębi.

- Ten człowiek pana nie docenił - powiedziała Amelia. Wyjątkowo ładnie wyglądała tego dnia. Cienie pod oczyma i lekka bladość twarzy dodawały jej niepokojącego uroku.

- Pani Amelio - powiedziałem - mój szef także mnie nie doceniał. Ani rodzina. Może dopiero po mojej śmierci ktoś powie: „Ten sierżant K. to był jednak równy gość.”. Był. Czas przeszły dokonany. Cmentarny czas. Czas ludzi, którzy odeszli i którzy przegrali. Ale co mi z tego przyjdzie, że wtedy ktoś mnie pochwali? Czy pani wie coś o klejnotach Filomeny?

- Tak nagle zmienia pan temat! Czy na tym polega pana metoda? Widziałam kiedyś, Filomena pokazała mi tę kolekcję. Wyjątkowo piękne klejnoty, bezcennej wartości.

- A gdzie one są? - zapytałem.

- Nie wiem. Filomena trzymała je w małym neseserze. I gdzieś go ukryła. Panie sierżancie, czy znaleziono już zwłoki Filomeny?

- Znaleziono! Skąd ta forma? Jestem tu sam, zdany tylko na siebie. Bo na waszą pomoc nie mogę liczyć.

- Chętnie panu pomogę - odparła. - Bardzo pana lubię.

- W takim razie proszę poprosić...

Znowu musiałem wyjąć chusteczkę. Ten przeklęty katar!

- Kogo mam poprosić i o co? Żeby przyszedł? Kto?

- Nie, nie trzeba - powiedziałem. - Dziękuję pani za dobre chęci. Sam to załatwię.

Wyszedłem z pokoju.

Wstąpiłem do służbówki, w której dawniej mieszkała kucharka. Przetrzęsnałem jej rzeczy. Nie było tego wiele. Na dnie szuflady z ciepłą bielizną i wełnianymi pończochami znalazłem malutki słoik z mlecznego szkła, z naklejką „*New Pond's - Cold Cream*”.

Odkręciłem zielone wieczko.

Wewnątrz nie było kremu.

Był tam arszenik.

Wracając korytarzem dostrzegłem plecy Barnaby. Zaglądał do salonu, w którym została Amelia. Słyszałem, jak ją pyta, gdzie jestem. Wszedł do środka, pozostawiając uchylone drzwi. Zbliżyłem się do tej szczeliny.

- Barnabo - powiedziała Amelia - chciałam z tobą porozmawiać.

- O czym? - zapytał opryskliwie. - Czego chcesz?

- Chyba się domyślasz.

- O naszych prywatnych sprawach?

- Już nie mamy żadnych prywatnych spraw - odparła Amelia. - Byli, ale się skończyli, jak mówi Laura.

- Pewne osobiste tajemnice łączą nas jeszcze.

- Mężczyznę i kobietę, jeśli przez jakiś czas byli ze sobą razem, zawsze łączą jakieś osobiste tajemnice. Takie, które zabiera się ze sobą do grobu. Nie ma na tym świecie ani jednej pary bez tajemnic. Barnabo, czy Filomena kazała ci, żebyś odszedł ode mnie i związał się z Laurą?

- Tak, ciocia kazała. Miałem w tym interes, żeby słuchać cioci. Chyba rozumiesz.

- Jaki?

- Ciocia mówiła kiedyś, że podzieliła w testamencie cały swój majątek na sześć równych części. Pięć części dla nas, a więc dla Eligiusza, Laury i Zenobiusza, dla mnie i dla ciebie. A szóstą do podziału na służbę. Eligiusz już odpadł. Służba także nie żyje. Gdyby jeszcze Laura zrezygnowała ze swojej części, całość majątku przypadłaby tylko nam obojgu i Zenobiuszowi.

- To, co mówisz, nie ma sensu! I wcale nie tłumaczy faktu, że przerzuciłeś się na Laurę. Razem z Laurą mielibyście i tak dwie części spadku po Filomenie. I razem ze mną miałbyś także dwie części. Czemu kręcisz? I po co? Coś tu się nie zgadza.

- Nie wiem. Chyba źle to sobie obliczyłem albo źle opowiadam. W każdym razie ciocia kazała, żebym z Laurą...

Usłyszałem szybkie kroki Laury. Cofnąłem się w głąb korytarza. Laura weszła do salonu.

Z hallu wziąłem stojący tam parasol i wyszedłem na podwórze. Musiałem zobaczyć się z Filipem.

Pomyślałem, idąc przez podwórze, że kucharka była skromną kobietą. Nie używała szminek, pudrów ani *Cold-Creamu*.

Na dworze było zimno.

Padał deszcz.

Następna ofiara

Laura zastała w salonie Barnabę i Amelię. Była zaniepokojona i przygnębiona. Miała zaczerwienione oczy i ślady łez na policzkach.

- Barnabo, tu wszystko jest straszne i nudne. Mam dosyć tego, nie chcę żadnych pieniędzy. Spływajmy stąd.

Amelia starała się uspokoić Laurę. Poprawiła jej zwichrzone włosy, pogłaskała po policzku, starła chusteczką ślady łez.

- Lauro - powiedziała - w czasie śledztwa nikt nie może stąd wyjechać. Uciec także nie można. Nie przedostaniesz się na drugi brzeg, to niemożliwe.

- A kto tu mówił o uciekaniu albo o drugim brzegu? - zapytał podejrzliwie Barnaba. - Amelio, czy ty czegoś nie kombinujesz? Może sama chcesz się ulotnić?

- Z choinki się urwałeś? - wtrąciła Laura. - Co Amelia - może skombinować? Ciocia i tak zniszczyła testament.

- Zdziwisz się - powiedział Barnaba. - Odpis jest u notariusza. A nowego testamentu ciocia nie zdążyła zrobić. Spokojna głowa, każdy otrzyma swoją część. Wtedy dopiero wyjedziemy.

- Ale ja tu nie chcę być! Nie chcę - wołała Laura - słyszysz? Czuję się tutaj, jak karp w galarecie na stole wigilijnym.

Barnaba schwyił ją brutalnie za przegub dłoni.

- Przestań - rzucił ostro - bo zgubisz nas wszystkich.

Laura wyszarpnęła ramię z jego dłoni.

- Jak to zgubię? Kogo zgubię? Dlaczego?

- Jesteś tak samo podejrzana - powiedziała Amelia - jak wszyscy. Może nawet bardziej niż my. Mogłaś zabić ciocię przy tej zabawie ze sztyletami. Miałaś najlepszą okazję, żeby zabić.

- Nieprawda! Stałam przy drzwiach. Barnaba widział. Barnaba uśmiechnął się, zmrużył oczy..

- No, no. Mogłaś tam wrócić później i zabić.

Laura zwróciła, się do Amelii, jakby szukając u niej pomocy:

- Czego on ode mnie chce?

- Po co jej wmawiasz? - zapytała Amelia. - Ty przypinałeś rękojeść, nie ona. A zresztą co mnie to wszystko obchodzi? Uzgodnijcie między sobą sami, kto sprzątnął Filomenę. Nie będę wam przeszkadzać. Tylko się nie pobijcie.

Amelia wyszła z pokoju.

Laura z niepokojem patrzyła na Barnabę. Nagle uniosła dłoń i przesłoniła nią usta w pół rozwarte do okrzyku.

- O Boże!

- Co się stało?

- Barnabo, posłuchaj - mówiła szybko, bezładnie - przecież to ty! Sztylet ty zabrałeś. Z pokoju Zenka. Prawda, że ty? A pan sierżant powiedział, że kto wykradł sztylet, mógł zabić ciocię. Tak powiedział, jeszcze na początku.

- Stuknij się, dobrze? Sama słyszałaś, że ciocia kazała przynieść sztylet Zenobiusza. Zenobiusz nie przyznał się, że to jego sztylet. Jak teraz mogę się przyznać, że wziąłem sztylet od Zenobiusza? Tylko bym go zasypał. I co ci z tego przyjdzie? Stuknij się w mózdek.

- Je?eli nie zabiłaś cioci, to dlaczego się boisz? Czego ty się właściwie boisz? Barnabo!

- Przestań się wygłupiać. Jak tu się nie bać, jeżeli już tyle osób zginęło? A ty się nie boisz?

- Tak, to prawda. Także się boję.

- Widzisz. Ale wiesz, tak naprawdę, to warto by się dowiedzieć, kto tak paskudnie urządził ciocię.

Przyciągnął Laurę, chciał ją posadzić na kolanach. Odepchnęła go. Usiadła po drugiej stronie stołu.

- Barnabo, ty jeden wiedziałeś o wszystkim. Ty wzięłeś sztylet z pokoju Zenobiusza. Ty przypinałeś do szala rękojeść.” Ty posłałeś mnie po czerwony tusz i wtedy mogłeś... O Boże!

Barnaba jednym susem przeskoczył stół. Po tym skoku stał jeszcze na jednej nodze, kiedy uderzył Laurę w twarz.

- Zamknij się! - rzucił ze złością, przez zęby. Była przerażona. Ramieniem przesłoniła twarz.

- Dlaczego mnie bijesz? - zapytała płacząco.

- Czy wiesz, ile złego może narobić jedna idiotka z jednym idiotycznym pomysłem? Zostaw prowadzenie śledztwa sierżantowi.

- Pan sierżant pytał, czy ciocia mrugała do mnie, kiedy wróciłam do pokoju z czerwonym tuszem.

Barnaba chwycił Laurę za gardło.

- I co powiedziałaś?

Milczała. Patrzyła na Barnabę szeroko rozwartymi oczyma.

- Co? Co powiedziałaś? Chcesz mnie zrobić, czy tak?

- Puść mnie - szepnęła.

Złuził uścisk dłoni obejmującej gardło Laury. Cofnął rękę, wsparł się ciężko o stół.

- No więc co powiedziałaś? - jeszcze raz zapytał. Laura opuściła głowę.

- Że ciocia później także mrugała - powiedziała cicho.

- No.

Bała się Barnaby. Chciała go uspokoić. Chciała, żeby zostawił ją w spokoju. Więc powiedziała:

- Może to Amelia zrobiła? Ona pierwsza tam weszła. No nie?

- Kto by się w tym połapał - mruknął Barnaba. - Pokój ma troje drzwi. Każdy mógł wejść, kiedy nas tam nie było.

- Pewnie - potwierdziła lekko Laurą. - Można się wyrazić, że był wielki mróz, a myśmy żytem szli. Bo jest tak nijako i dziwnie.

Patrzył na nią jeszcze nieufnie, ale już zadowolony.

- Rzuciła się na mnie jak lew, a padła jak mucha. Taka jesteś. Mówię ci, Laura, że miną musisz uważać. Już niejeden się starał, ale jeszcze nikt mnie nie zrobił. Sama wiesz, że kiedy ktoś zabijał ciocię, ja wtedy grałem na gitarze. Musiałaś słyszeć, jak byłaś u siebie w pokoju. Wszyscy słyszeli.

Laura nie chciała się tak łatwo poddać.

- Ale jakbym powiedziała sierżantowi, że ciocia już później nie mrugała do mnie, to...

- To co?

- Leżałbyś jak śledź na szynach.

- Dlaczego jak śledź?

- A co, nie można śledzia położyć na szynach?

- No to halibuta także można. Też prawda. Ty, Laura, Amelia mogłaby mnie zrobić.

Jest na mnie wkurzona, że teraz z tobą chodzę, sama wiesz. Co mi radzisz?

- Dobrze ci radzę: rób, jak uważasz. -

.- Ty to masz zagrania! Wypiłbym coś mocniejszego.

Podszedł do szafki umieszczonej pod górną szufladą komódki. Otworzył ją i z karafki lał wiśniową nalewkę do kryształowej szklanki. Napełnił ją do połowy.

- Łyknieisz? - zapytał.

- Dziękuję, nie - powiedziała Laura. - Piję tylko w większym towarzystwie. We dwójkę nie ma dla mnie picia.

Sam wypił, pospiesznymi łykami, i odstawił szklankę do szafki.

Wierzchem dłoni wytarł wilgotne usta. Do pokoju wszedł Zenobiusz.

- Cześć, Zenek - powiedziała Laura. - Jak leci?

- Nic nie leci - powiedział ponuro Zenobiusz. - Sierżant szukał naszej kuszy w ogrodzie, ale nie znalazł. Słyszałem, że ktoś zestrzelił dwa gołębie pocztowe.

- Nie wierz w to - rzucił Barnaba. - A gdzie jest sierżant?

- Poszedł do Filipa. Widziałem, jak tam szedł.

- Po co on chodzi do Filipa?

- Zenek - wtrąciła Laura - ty to niby nic, cicha woda. Ale zawsze wiesz, co się dzieje i gdzie się nic nie dzieje. I gdzie kto poszedł, a kto nigdzie nie poszedł.

„Zenobiusz usiadł na fotelu Filomeny.

- Jak coś widzę, to mówię - odparł. - Przedwojenna szkoła.

Do salonu weszła Amelia.

- Jak widzę, sympatyczna rodzinka w komplecie.

Barnaba spojrział na nią z niechęcią.

- Gdzie byłaś, co?

- Przejąłeś od sierżanta śledztwo? - zapytała. - Ciebie także opętała namiętność poszukiwania prawdy?

- Sierżant poszedł do Filipa - wtrąciła Zenobiusz.

- Do Filipa?

- Właśnie wraca - powiedział Barnaba. - Słyszałem, jak trzasnął drzwiami.

Trzasnąłem - wejściowymi drzwiami. Byłem pod wrażeniem tego, co zobaczyłem w oficynie, w pokoiku Filipa. Kiedy tam wszedłem, Filip już nie żył. Przewidziałem taką możliwość. Ale tej śmierci także nie mogłem zapobiec. Dopełniał się los tych ludzi i spełniało się moje własne przeznaczenie.

Toczyła się lawina zła. Śmierć zaciążyła nad nami jak fatum z greckiej tragedii.

Odstawiłem mokry parasol na stojak.

Padał deszcz.

Samobójstwo z premedytacją

Położyłem na stole dużą rękawicę ogrodniczą.

Później spojrzałem na ludzi siedzących w salonie. Dziwiło mnie, że wytrzymują mój wzrok, że nie spuszczają oczu, że nie odwracają zawstydzonych twarzy. Już nikogo więcej nie było na skrawku ziemi otoczonym wodą. Tylko oni: Amelia, Laura, Zenobiusz, Barnaba. A wśród nich morderca.

- Może ktoś z państwa... - powiedziałem.

Nie, nie mogłem mówić tak spokojnie, jak zamierzałem. Miałem ściśnięte gardło.

- A po co ta rękawiczka? - zapytała Laura.

- Otóż to. Może ktoś z państwa ją zgubił?

- Może damy ogłoszenie do gazety - wtrąciła Laura.

- To rękawica Filipa - wyjaśnił Barnaba. - Do pracy używa.

- Tak - potwierdziłem. - Wiem, że Filipa. Dziękuję panu.

- Panie sierżancie - odezwała się Laura. - Można?

- Słucham.

- Czy widział pan kiedyś wypas bydła na betonie?

Nie pojmowałem, o co pyta.

- Jak pani to rozumie?

- Tak mówi się wtedy, kiedy dużo się dzieje, a nie ma, z tego żadnej korzyści.

- Zgadzam się z panią - powiedziałem. - Tutaj także dużo się dzieje i nie ma z tego dla was żadnej korzyści. I nie będzie żadnej korzyści. Możecie mi wierzyć. Wszystko daremne.

- A co mamy robić? - zapytała Amelia.

- Zrobiliście już dużo - powiedziałem drwiąco. - Bardzo dużo. Trup kucharki, trup Filomeny, trup pokojówki, trup Eligiusza, trup felczera, trup... Zabity gołąb. Może coś jeszcze się stało. Są to piękne wyniki. Wyniki waszej nedorzecznej zмовy milczenia. Gratuluję.

Majątek, który pozostawiła po sobie Filomena, miał być podzielony na sześć części, tak? Teraz będzie podzielony na cztery, tak przypuszczacie? I sądzicie, że warto było dopiąć tego za cenę tylu śmierci?

Przez chwilę było cicho. Później Zenobiusz przerwał milczenie, chrząkając kilkakrotnie.

Zenobiusz: Mnie tam na pieniądzech nie zależy. Siostry nieboszczki mi żal. To był kryształowy człowiek. Złote serce.

Laura: Dla mnie też wsio ryba. Co tam forsa, jak się domu nie ma.

Barnaba: Nie powiem, pieniądze się przydają. Ale ja bym nigdy dla pieniędzy, panie sierzancie, nigdy.

Amelia: Zawsze brzydziłam się każdą formą przemocy i gwałtu.

Laura: Gwałt się gwałtem przyciska.

Zenobiusz: Lauro, znowu przeinaczasz poetów. Ty nie przepuścisz nawet nieśmiertelnym wieszczom.

Amelia: Przestańcie!

Zamilkli.

Czułem, że oczekują ode mnie jakiejś rewelacji. Patrzyli na rękawicę ogrodniczą, później na mnie i znowu na rękawicę. Która z tych osób wiedziała, co miałem im do powiedzenia? Jedna osoba wiedziała na pewno, że chcę powiedzieć o śmierci Filipa. Ta, która go zamordowała.

Zbliżyłem się do Zenobiusza. Pochyliłem się nad nim i powiedziałem cicho:

- Więc w fotelu siedzi Filomena. Rozpoczyna swoją zabawę w śmierć. Do szala ma przyczepioną rękojeść sztyletu. Współuczestnicy tej zabawy już odeszli. Półmrok. Przy fotelu Filomeny pali się seledynowa lampka. Dokoła domu wody wezbranej rzeki. Telefon jest wyłączony. Wymarzony moment, żeby tam wejść, do tego pokoju, i zaskoczyć drzemiącą na fotelu starą kobietę.

Przerwałem. Słuchali mnie uważnie, w napięciu. Dramatyczne napięcie czuje się w takich momentach. Chyba to samo odczuwa - aktor na scenie, kiedy wie, że jest w kontakcie z widownią, że publiczność go słucha i w tajemniczy sposób wpływa na sugestywność i siłę jego aktorskiej sztuki.

- Więc nadchodzi wymarzony moment. Zakraść się cicho od tyłu. Sięgnąć szybkim ruchem po sztylet leżący w książce, na kolanach starej kobiety. I tuż przy rękojeści, wpiętej już w szal, wbić jednym ruchem ten stępiony sztylet wyjęty z książki. Tak było?

Głośno oddychali.

- Panie sierżancie, chwileczkę - odezwał się Zenobiusz. - Pan sam powiedział, że mój sztylet, ten ostry, leżał w książce Filomeny, kiedy pan wszedł tam po raz pierwszy.

- Otóż to. Zaraz pan zrozumie. Sztylet jest już wbity. Morderca jednym ruchem odczepia rękojeść zaczepioną o szal i wsuwa w nią klingę leżącą na fotelu, tę ostrą klingę, którą Barnaba tam odłożył. I złożony sztylet wkłada do książki. Co wy na to? Słucham.

- Na to trzeba mieć trochę czasu - powiedziała Amelia.

- Nawet nie trochę - odparłem. - Troszeczkę. Morderca znalazł ten czas. Sześć, może dziesięć sekund. Zenobiusz: Pokojówka pierwsza tam weszła. Ona powiedziała, że Filomena nie żyje. I pobiegła po felczera. Może Gienia ją zabiła? Dzisiaj nikomu nie można ufać. Przed wojną służba miała lepsze maniery, nie wyłączając kelnerów. Amelia: Kiedy weszłam do pokoju, pokojówki już nie było. Filomena na pewno jeszcze wtedy żyła. Kiedy przyszedł felczer, także żyła. Felczer miał zapis w testamencie. Może dlatego zabił Filomenę i podpisał akt zgonu? Warto się nad tym zastanowić.

Barnaba: Filip także łąził wtedy po domu. On mógł zabić. Laura: Wszyscy łązili i mogli.

Zbliżyłem się do Barnaby. Zatrzymałem się przy nim. Pochyliłem się tak, by mnie dobrze widział i słyszał. Chciałem go zmusić do patrzenia w oczy. Mówiłem:

- Kości są już rzucone. Sztylet wbity w serce. Morderca słyszy czyjeś kroki i szybko wychodzi na korytarz. Tam zobaczyła go pokojówka. Może widziała go wcześniej, zaglądając przez uchylone drzwi, w momencie kiedy zabijał? Może. Ale mordercy nie wolno ryzykować. Kto go widział, ten musi zginąć. Więc pokojówka musi zginąć. Morderca zauważył później, że pokojówka kilkakrotnie wchodzi do pokoju, w którym byłem z wami. Wie jednak, że przy was Gienia będzie milczeć. Boi się mordercy. Tym bardziej musi zginąć, nim na osobności zdąży mi coś powiedzieć. Kiedy wchodzę do łazienki, morderca przekręca klucz w zamku. I wtedy zabija pokojówkę.

- Panie sierżancie - odezwała się Laura - ale Eligiusz... Zbliżyłem się do Laury.

- Eligiusz - powiedziałem - widział, kto zabił pokojówkę. Więc Eligiusz także musi zginąć. I morderca zginąć felczer. Wiecie dlaczego? Z dwóch przyczyn: żeby można było oskarżyć go o morderstwo. Albo dlatego, żeby wmówić nam, że podpisał akt zgonu za namową Filomeny. Wróciłem na środek pokoju.

- Zajmijmy się teraz inną wersją tej ponurej zbrodni. Podejrzenie, jak się domyślacie, musiało paść przede wszystkim na tych, którzy bezpośrednio wzięli udział w zabawie Filomeny. Ktoś dowiedział się o tej zмовie. Albo podsłuchiwał pod drzwiami, albo szybko się zorientował w czym rzecz, kiedy wszedł do pokoju Filomeny. Postanowił działać.

Barnaba natychmiast podchwycił taką interpretację.

- Mogło być, panie sierzancie. To się trzyma.

- Mogło być także inaczej - powiedziałem. - Barnaba, zamiast przyczepić rękojeść, po prostu wbił sztylet poprzez szal, kiedy Laura już wyszła po tusz. A drugi sztylet włożył do książki. Pani Lauro, więc jak to było? Kiedy pani wróciła z tuszem, czy ciocia mrugała do pani, czy nie? Odezwała się? Podziękowała?

- Już teraz nic nie wiem, panie sierzancie. Nie wiem, nie pamiętam. Wszystko mi się pomieszało.

- Jak to nie wiesz? - zawołał Barnaba. - Co ty pleciesz?

Zenobiusz podniósł dłoń, jakby prosił o głos.

- Czy pan już wie - zapytał - że Filomena tuż przed śmiercią przegnała nas z domu i powiedziała, że zniszczy testament? Zgroza.

- Otóż to. Więc trzeba było ją zabić, szybko, natychmiast. Zęby nie zdążyła unieważnić testamentu, prawda? To zapewne zadecydowało o pośpiechu mordercy. I ta powódź. Albo jeszcze coś innego. Może arszenik wsypany przez kogoś innego do makaronu? Mordercy nie lubią konkurencja.

- A czy prawda, bo Barnaba o tym wspomniał, że pan znalazł w pokoju kucharki słoik z arszenikiem?

- Tak - potwierdziłem.

- To znaczy, że kucharka sama nasypała arszenik. Rozumiem..

- Nie - zaprzeczyłem. - Nie rozumie pan. Bo to oznacza, że makaron zatrul ktoś inny. Tylko dlatego do pokoju zmarłej kucharki podrzuciono arszenik.

- Wie pan co? - zapytała Laura. - Tak się patrzę na pana i patrzę, i nie mogę się nadziwić. Żyje pan tylko tą sprawą i sam się pan naraża. Przecież pan sierżant nic na tym nie zarobi, jeżeli pan znajdzie mordercę! Emerytura i tak poleci, no nie? Skąd taki upór bierze się w człowieku?

Zabawna była ta dziewczyna. Jak miałem jej wytłumaczyć?

- Kiedyś na rozprawie sądowej - powiedziałem - sędzia przesłuchiwał świadka w - pewnej sprawie. Tym świadkiem był ksiądz. Kiedy sędzia, zgodnie z procedurą sądową, zapytał go o zawód, oburzony ksiądz wykrzyknął „To nie zawód wód, panie sędzio, ale powołanie!”. Mógłbym pani to samo powiedzieć o mojej pracy, o moim stosunku do zbrodni. Tak to rozumiem.

- Ale dlaczego pan...

- Dlatego, Lauro, że nie zgadzam się na świat, na którym ludzie zabijają innych ludzi. Nie aprobuję świata, na którym morderca może bezkarnie zatriumfować. I staram się temu przeciwstawić. Mam inną wizję świata.

- Udał się pan - powiedziała Laura.

Zenobiusz energicznym zrywem ciała wyskoczył z fotela, jakby wystrzelił się z katapulty samolotu wojskowego.

- Panie sierzancie. Ja panu powiem, co się stało. Ja.

Zbliżył się do mnie, stał blisko, twarzą w twarz.

- Niech pan uważa. Filomena musiała się zemścić za wszystkie zamachy na nią. Była dobra, lecz także mściwa i pamiętliwa. I żeby nas pognębić, żeby nam już na zawsze zatruć życie, wciągnęła Laurę i Barnabę do tej niby zabawy. Kiedy oni wyszli, sama się zabiła, zamieniając sztylety. Obmyśliła straszliwą zemstę. Bo w takiej sytuacji jej pieniądze przejdą na skarb państwa, a my? Będziemy skazani na sądy i hańbę, na nędzę i poniewierkę. To było samobójstwo z premedytacją, panie sierzancie. Samobójstwo pozorujące morderstwo. Padał deszcz.

Znowu ktoś

Samobójstwo z premedytacją. Koncepcja oryginalna i nie pozbawiona intelektualnego wdzięku. Zenobiusz miał jednak szczęście, że nie pracował w milicji i że nie słyszał go w tej chwili mój były szef. W czepku się urodził.

- A inni? - zapytałem - Czy także popełnili samobójstwo? Otóż to. Arszenik, ciężar spadający na głowę, zjazd ze schodów. Czy mam te wypadki traktować jako odmianę zbiorowego i rodzimego seppuku, czyli harakiri? Jak pan to wyjaśni?

- A ja pomyślałem - powiedział Barnaba - że ciocia inaczej swoją zemstę obmyśliła: ciocia żyje i zabija sama” żeby odpowiedzialność spadła na nas. Może później zabije nas wszystkich, po kolei? Jeżeli ciocia sama posmarowała schody mydłem, mogła równie dobrze zrzucić ciężar w pokoju Eligiusza i za chodnik pociągnąć. Wszystko mogła zrobić. Gdyby to było prawdą, wszystko by się wyjaśniło. I mamy to z głowy.

- Koncepcja nie mniej oryginalna, nawet interesująca i intrygująca. Można by o czymś takim ładną książeczkę napisać. Jednak już panu powiedziałem, że Filomena nie żyje... Pani Amelio, dlaczego pani weszła wtedy do tego pokoju, gdzie na fotelu siedziała Filomena?

- Musiałam z nią porozmawiać. Naprzód zajrzałam do jej pokoju” po wyjściu z łazienki, ale tam cioci nie było. Znalazłam ją w innym pokoju. Przecież wyrzucała nas na

bruk. Chciałam ją poprosić, żeby zmieniała decyzję. Chciałami wytłumaczyć, że nami nie kieruje chciwość ani zawiść...

- Te najnikczemniejsze cechy charakteru - dodałem. - Znam wypadki, kiedy w celach rabunkowych rozbijano na ciemnej uliczce czaszkę jakiemuś przechodniowi i znajdowano przy nim suchą bułkę, dziesięć złotych i zepsuta zapalniczkę. Wy także nic nie zyskacie po śmierci Filomeny.

- Jeszcze się okaże - powiedział Zenobiusz. - Ale zawsze mówiłem, że życie jest...

- A ja zawsze mówiłem, że wasze milczenie jest także zbrodnią. Mogliśmy zapobiec wielu nieszczęściom. Jeżeli nadal chcecie milczeć, obawiam się, że ktoś jeszcze może zginąć.

- Kto? - zawołali chórem. - Co?

- Właśnie to. Lecz nie wiem kto. Jednak mogę wam powiedzieć, dla ostrzeżenia że tym razem przebrałaby się miarka. I że morderca popełni wreszcie błąd. To - wynika z pewnych układów i sytuacji. Musi popełnić ten błąd. I prędzej czy później wpadnie w moje ręce. Przepraszam - powiedziałem, bo znowu musiałem wyjąć chusteczkę i osuszyć nos. - Przepraszam, nie moja wina.

- Niech pan sierżant nasypie łyżkę soli do letniej wody w miseczce. I tym przepłukuje nos. Naprzód w jeden otwór trzeba wciągać słoną wodę, a później w drugi. Najlepszy sposób na katar, wymyślony przez Chińczyków pięć tysięcy lat temu. Nie wymyślono dotychczas nic lepszego - zapewniał Zenobiusz.

- Myślałem, że wynaleziono ten sposób leczenia kataru dopiero w czasie rewolucji kulturalnej hunwejbínów.

- Nie - zaprzeczył Zenobiusz. - To pomysł z czasów dynastii Ming, wypróbowany również w czasach feudalnych i kapitalistycznych. Może pan tej kuracji zaufać, nie pochodzi z epoki elektrycznych gitar.

- Właśnie - dodała Amelia. - Już nie można patrzeć, jak pan sierżant wciąż tylko tą chusteczką... Okropne!

Bezradnie rozłożyłem dłonie.

- Nie gniewajcie się, ale co mogę poradzić? Próbowałem wszystkiego. Jeżeli przez tyle dni leje i leje, łatwo się zaziębiam. Nie byłem w polskiej partyzantce w czasie wojny i nie jestem zahartowany. Wziąłem także zbyt lekkie buty i przemokły. Do takiej pracy trzeba zdrowszych ludzi i lepszych butów.

- Przestańcie truć - wtrąciła się Laura. - Przyczepiliście się do sierżanta jak elektryczna dojarka do krowy. Mnie ta chusteczka nie razi. Przystojnemu i w rondlu do twarzy.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością. Był to jednak uśmiech nikły i blady, a pochwała Laury zasłużyła na bardziej zdecydowany.

Za dużo tego dobrego - pomyślałem. - Zaczynają się spoufalać.

Schowałem chusteczkę do kieszeni. Powiedziałem:

- Chciałem dać przestępcy jeszcze jedną szansę. Bo morderca jednego nie przewidział.

I na tym się potknę.

- Ze istnieje sierżant K. - powiedziała Amelia. - Tego nie przewidział.

- Moje istnienie o niczym nie przesądza.

- Ale że sierżant K. pracował w milicji - uzupełniła.

- To jest już bliższe prawdy.

- Musi pan wziąć gorącą kąpiel - powiedziała Amelia. - To radykalnie likwiduje takie zaziębienia.

- Także o tym pomyślałem. Wezmę gorącą kąpiel. Ale klucz od łazienki przełożę na drugą stronę zamka.

- No i co? - zapytała Laura. - Pójdziemy trochę pomieszkać.

- Tak - powiedziałem. Laura wstała.

- Komu, komu, bo idę do domu.

Wyszła z salonu. Barnaba również wstał z krzesła.

- A później - powiedział - niech pan sierżant połknie ze dwie aspiryny. Trzeba się wziąć za ten katar.

Elastycznym, leniwym krokiem wyszedł na korytarz.

Amelia także wstała. Zbliżyli się do mnie.

- Bardzo mi pana żal - powiedziała. - Ma pan z nami tyle kłopotów i jeszcze doszedł katar. Ale to przejdzie.

- Katar - zapytałem - czy kłopoty z wami?

- Jedno i drugie - odpowiedziała. Przejawiłem mniej optymizmu.

- Albo tylko jedno.

- Nie wiem. Do zobaczenia: Wyszła z pokoju.

Zenobiusz, wychodząc za Amelią, jeszcze dorzucił:

- Radzę spróbować z tą słoną wodą. Radykalny sposób. Kiedy zostałem sam, z ciemnej wnęki, utworzonej przez podwójne i zasłonięte ciężką kotarą drzwi, wyjąłem mały skórzany neseser.. Przyniosłem neseser z izdebki Filipa i ukryłem go tam wchodząc do salonu.

Otworzyłem walizeczkę i zajrzałem do wnętrza. Później zamknąłem ją i schowałem do pustej szuflady komódki. Klucz od tej szuflady wsunąłem do kieszeni.

Usiadłem przy stole i obejrzałem dokładnie rękawicę ogrodniczą leżącą na stole. Rękawicę także przyniosłem z izby Filipa.

Z trudem wywracałem ją na wewnętrzną stronę. Wypadł z niej malutki odłamek, raczej skrawek czegoś łamliwego i delikatnego. Pincefcką (znalazłem ją w łazience) przełożyłem ten drobiazg do plastikowego, starannie oczyszczonego pudełeczka z nasennych tabletek „Polfy”. Schowałem to do kieszeni.

Jeszcze na początku ktoś wspomniał, że cała seria zamachów na Filomenę zaczęła się od żyrandola, który spadł na jej fotel. Zdażyłem już obejrzeć żyrandol, wyniesiono go na strych. Oglądałem go bardzo dokładnie. Ale nie znalazłem na nim najmniejszego śladu podcięcia, podpiłowania, osłabienia” w jakikolwiek sposób którejs z jego licznych części.

Tę zagadkę trzeba także rozwikłać. Wydawało mi się, że jestem już bliski rozwiązania. Tak się wydawało.

Wtedy do pokoju wbiegła wzburzona Laura.

- Nie żyje! - krzyknęła. - Panie sierzancie, nie żyje!

- Kto?

- Amelia! Na korytarzu... zabili... tam ciemno... - mówiła Laura przez narastający szloch. - Panie sierzancie - zaczęła głośno płakać - ktoś zabił Amelię. Ktoś.

Niech to wszyscy diabli - pomyślałem. Padał deszcz.

Dlaczego Amelia

Laura płakała. Wychodziłem z pokoju, kiedy drogę zastąpił mi roztrzęsiony Zenobiusz.

- Tym zabili Amelię - powiedział słabym głosem. Podał mi półmetrowy kanciasty pręt z żelaza, jaki widuje się niekiedy w ogrodzeniach. Na jednym końcu pręt był owinięty w gazetę przewiazaną sznurkiem. Nie wziąłem łomu do ręki..

- Po co pan to ruszał? - zapytałem. - Dziękuję za taką pomoc! Proszę położyć na stole.

- Trzymałem w środku, a nie za uchwyt - usprawiedliwiał się speszony Zenobiusz. -

Tylko tu...

Nie słuchałem, co mówi. Już, teraz tylko trzy osoby pozostały do podziału skarbów Filomeny. Sześć części spadku podzielić na trzy to nieskomplikowana operacja. Łatwiejsza

niż podział na cztery. A podział sześciu części, a więc całości spadku, na połowę? To byłoby najmniej skomplikowane.

Laura popłakiwała. Siedziała przy stole. Wsparła głowę na złożonych ramionach i płakała.

Zenobiusz pogłaskał ją delikatnie po głowie.

- Kochanie, kochanie - mówił cicho - no, nie płacz. To nikomu życia nie wróci. Tylko sama zadręczysz się na śmierć.

Uspokajała się powoli. Ożywiła ją nagle jakaś myśl, więc wsparła policzek na dłoni i spojrzała na Zenobiusza.

- Zenek, kiedy niosłam czerwony tusz do pokoju, gdzie ciocia czekała, chyba widziałam Gienię na korytarzu. Ona odskoczyła od drzwi, tak mi się zdawało, kiedy usłyszała moje kroki. Było ciemno i bałam się rozglądać. Serce md waliło. Może Gienia widziała, co Barnaba tam zrobił, kiedy mnie nie było? Zenek, może Barnaba zabił ciocię i dlatego później musiał zabić także Gienię, bo Gienia widziała, jak on zabijał ciocię?

Zenobiusz skrzywił się z niesmakiem.

- Kochanie, to przerażające, co mówisz. Barnaba kochał ciocię. Przynajmniej sierżantowi nie powtarzaj takich niestosowności. To są pomysły nazbyt brutalne i nazbyt dowolne. Przerażające.

- Ale sam widzisz, Zenek, co tu się dzieje. Teraz znowu Amelia. Muszę powiedzieć panu sierżantowi, muszę.

- Dobrze ci radzę, Lauro. Niebezpieczna rzecz tak dużo mówić. Sama wiesz, co stało się z Gienią i Eligiuszem. Oni także wiedzieli za dużo i na domiar złego chcieli o tym mówić. Ty lepiej siedź cicho. I czekaj cierpliwie.

- Grozisz mi?

- Boję się o ciebie - powiedział łagodnie. - Nie chcę, żeby ktoś ciebie skrzywdził. Szkoda takiej miłej dziewczyny.

Spoglądała na Zenobiusza z takim niepokojem i lękiem w oczach, jak niedawno na Barnabę.

- Wiesz co, kochanie? - powiedział Zenobiusz. - Pomyślałem, że sierżant sam zabija tych wszystkich, którzy wiedzą za dużo. Na tym padole śmiechu i płaczu wszystko jest możliwe.

Stuknęła się palcem w czoło.

- E tam, Zenek. Znowu robisz wodę z mózgu. Wsadziłabym cię do lodówki, żeby z tej wody w twojej głowie zrobiła się ślizgawka. Może byś się wtedy pośliznął na tych głupich pomysłach.

- Co ty możesz wiedzieć o życiu? - westchnął Zenobiusz. - Jest brutalne i pełne zasadzek. I tak samo było nawet przed wojną. W tej materii każdy ustrój jest bezsilny.

- Czego chcesz od niej?

- Zenobiusz odwrócił się. Za nim stał Barnaba.

- Amelia nie żyje - powiedział Zenobiusz. - Nowy cios.

- Zdziwisz się, ale wiem o tym. I wiem, że ty zawsze wiesz o wszystkim najprędzej. Tak sarno było z Filomeną. Nim Amelia powiedziała, już wiedziałeś. Za dużo wiesz, Zenobiuszu. Trochę za dużo.

- Tyle samo co inni. Widziałeś Amelię?

- Inspektor jest u niej w pokoju. Zaniósł ją tam. Lauro, musimy się teraz trzymać razem. I ty z nami, Zenobiuszu. Bo każdego z nas mogą teraz oskarżyć o te morderstwa. Ciebie, mnie i Laurę. Co do tego ostatniego wypadku, to po wyjściu z salonu poszedłem prosto do mojego pokoju. Żebyście wiedzieli. Dlatego mówię. Mnie nic nie można zarzucić.

- A ja rozmawiałam z Zenkiem przy schodach. Prawda, Zenek? Także jestem w porządku.

- Święta prawda - potwierdził Zenobiusz. - A inspektor był przez cały czas w salonie. Więc również nie wychodził na korytarz i nie mógł...

- Na Boga! - zawołał Barnaba. - Przecież widzieliście, jak wchodziłem do mojego pokoju. Także nie mogłem.

- Więc kto zabił Amelię? - zapytał Zenobiusz.

- Chyba Filip - powiedział Barnaba. - Chyba on.

- Więcej nikogo tu nie ma - dodała Laura.

Patrzyli na siebie. Wydawało się, że nic nie rozumieją z tej sytuacji. Że uwikłani są w sprawy magiczne i tajemne, wymykające się zmysłom i zdrowemu rozsądkowi.

Po chwili odezwał się Zenobiusz:

- Barnabo, Laura opowiadała mi tu ciekawe rzeczy. Powiedziałbym, że bardzo ciekawe.

- O mnie?

- Tak, w ogóle - wymijająco powiedział Zenobiusz. -

Ale ciekawe. Wszystko jedno o kim i o czym. Powiedziałem jej, żeby tyle nie mówiła. Kto dzisiaj tyle mówi? Co to komu da? Tak powiedziałem do Laury. Lepiej cicho siedzieć.

- Wolę głośno stać niż cicho siedzieć - powiedziała Laura.

Barnaba wyciągniętą dłonią przechylił jej twarz ku sobie.

- Ty tylko nie podskakuj, dobrze? Teraz musimy pilnować spadku. Amelii już nie ma. Trudno się mówi i żyje się dalej. Zostały tylko trzy osoby do podziału, no nie? Musimy trzymać się razem. I żyć w zgodzie, jak najlepsza rodzina.

- Tylko bez przesady - odezwał się Zenobiusz. - Tego, co mi zrobiłeś z Laurą, nie mogę wybaczyć. Dawniej za coś takiego wyzywało się na pojedynek, według honorowego kodeksu Bohdziewiczza. Tak się nie robi, mój synu marnotrawny.

- Zenek, przestań!

- To ty przestań, Lauro - upomniął ją Barnaba. - Jeżeli nie wyjdiesz za mnie ani za Zenobiusza, sąd nie uzna twoich roszczeń do spadku po Filomenie. Nie należysz do naszej rodziny.

- Całe szczęście - odparła Laura. - Mam ci powiedzieć, co myślę o takiej rodzinie jak wasza? Oko ci wypłynie, jak się dowiesz. Chcesz usłyszeć? No to podstaw ucho.

Barnaba klepnął Zenobiusza po ramieniu.

- Teraz - powiedział - jak już Filomena nie żyje, nie muszę jej życzeń traktować jako ostatniej woli. Zenobiuszu, mogę ci oddać Laurę. I dołożę jeszcze paczkę papierosów, bo już nie masz co palić. Bierzesz ją? Jest twoja.

- Wolnego - powiedziała Laura. - Masz mnie za towar? No to dowiedz się, że was obu mam dosyć. Takich kochasiów jak wy można byle gdzie zgarniać szufelkami.

- Barnabo - powiedział Zenobiusz - nie zaczynaj z nią. Daj spokój, mówię ci. Nie zaczynaj. Z takimi nie warto - zaczynać.

- Nie ma co zaczynać, Zenek. Barnaba skończył się u mnie.

- A ja? - zapytał Zenobiusz. - Mógłbym mieć z ciebie pociechę na stare lata. I ty miałabyś dobrze.

- Dobrze jest tylko w niebie - odparła Laura. - Dajcie mi na bilet, druga klasa osobowy, i żegnaj, Zeniu, bo nie chcę żyć w cieniu.

Wyszedłem z pokoju Amelii. Na korytarzu panował półmrok. Nie było tu okien wzdłuż ściany; tylko jeden witraż rzucał trochę światła na samym krańcu tego ciemnego tunelu.

W salonie zastałem Zenobiusza, Barnabę i Laurę. Byli wyraźnie ożywieni rozmową, którą przerwali po moim wejściu.

- I co z Amelią? - zapytała Laura.

- Dość silne uderzenie w głowę prętem, który leży na stole.

- Umarła? - zapytał Zenobiusz. - Biedna... Kobieta dziwna, powiedziałbym, że fatalna. Więc i ona umarła...

- Żyje - - powiedziałem. - Pani Lauro, proszę pójść do pokoju Amelii i zająć się nią. Poraził ją szok. Na razie dziękuję.

Laura wyszła z pokoju, za nią Zenobiusz.

- Pan nas nie podejrzewa? - zapytał Barnaba. Stałem przy oknie. Patrzyłem na szyby ociekające wodą. Czułem, że Barnaba stoi tuż za mną. Dlaczego tak blisko stanął? Nie odwróciłem się. Padał deszcz.

Nie dokończona spowiedź

Stojąc przy oknie, pomyślałem, że to jeszcze nie koniec. I że od czasów Szekspira kroniki policyjne nie zanotowały bardziej zagmatwanej, ponurej i wręcz irracjonalnej zbrodni.

Jednak Szekspir wiedział, kto zabija i dlaczego zabija. Natomiast tutaj, w tym prawie zatopionym przez powódź domu, nie wiedziałem, kto morduje ani dlaczego. Za mną stał Barnaba. Stał bardzo blisko.

- Czy pan chce mi coś powiedzieć? - zapytałem nie odwracając się od okna.

- Tak, panie sierżancie - odparł Barnaba. - Pan się zdziwi.

Zbliżyłem się do stołu i obejrzałem jeszcze raz żelazny pręt i rękawicę. Zauważyłem nowe szczegóły.

- Słucham.

- Duszno trochę - powiedział Barnaba. - Czy można otworzyć okno? Panu nie zaszkodzi?

- Proszę - powiedziałem. - Mnie szkodzi wilgoć i deszcz, a nie świeże powietrze. Nie przesadzajcie z troską o mnie.

Barnaba otworzył okno.

- Muszę panu coś powiedzieć - zaczął Barnaba. Ale milczał, nic nie mówił.

- O skorpionie? - zapytałem.

- Więc pan już wie?

- Wiem.

- O czym pan jeszcze wie? - zapytał Barnaba. Właściwie nic więcej nie wiedziałem. A liczne przypuszczenia nie stanowiły wiedzy o konkretnych wydarzeniach.

- Słucham - powiedziałem.

- Panie sierżancie, wcale nie chciałem nastraszyć Filomeny. Chciałem nastraszyć tego kogoś, kto robił zamachy na ciocię. Chciałem mu pomieszać szyki i zaniepokoić go. Pan sierżant wie, że skorpion nie był prawdziwy. Taka maskotka. Od jednego kolesia, który był na występach w tropiku. Sax-alt, grał w stylu hot. On mi to przywiózł. W kefirze także nie było cyjankali. Chciałem tylko to rozgłosić i wmówiłem w ciocię truciznę i skorpiona, żeby zamachowca nastraszyć. A później? Mydło na schodach ciocia sama wymyśliła, z tej samej przyczyny. Żeby nastraszyć zamachowca.

- Mam nadzieję. - powiedziałem - że pan istotnie nastraszył tajemniczego zamachowca. Prawda? Wierzy pan w to?

- Powiem panu całą prawdę - zapewnił mnie Barnaba. - Całą. Nie kochałem cioci. Potrzebne mi były jej pieniądze. Mnie, Amelii, Laurze i wszystkim. Człowiek bez pieniędzy jest jak bez ręki. Kaleka. Tak zawsze myślałem. Ale teraz myślę inaczej. Byłem obłudny wobec cioci. No cóż, może pan pomyśli, że jestem szmata. Może jestem. Nic na to nie poradzę.

- Jest na to świetna rada - powiedziałem. - Nie być szmatą.

- Chyba taki się urodziłem. I widziałem tu i ówdzie, że szmatom nie żyje się tak źle jak uczciwym ludziom. Uczciwy nie umie się bronić, kiedy go wykańczają. A szmata zawsze, sobie poradzi i spadnie na cztery łapy, i znowu jest mocna. Uczciwy nie potrafi nikogo wykończyć intrygami, plotkami, donosami, a szmata potrafi. Zawsze będzie górą. Może nie zawsze, ale jednak.

- Niech pan tak gorąco nie agituje - powiedziałem. - Mnie pan już nie nawróci. Co jeszcze ma pan do powiedzenia?

- Że sam przyniosłem ten ostry sztylet z pokoju Zenobiusza. Zenobiusz nie wiedział. Ciocia kazała przynieść sztylet, żeby ich skłócić. Laura słyszała, ona wie.

- Co jeszcze?

- Byłoby wszystko, panie sierżancie. Ktoś taki tu jest, kto robił zamachy na ciocię. Ktoś, kto ją zabił. Chyba pan wierzy, że ja nie zabiłem cioci? To nie ja.

- Nie wiem. Natomiast wierzę, że pan nie zabił Filipa.

- Filipa? - zapytał. - Tego naszego głuchego Filipa? Rozpiął kołnierz błękitnej bluzy.

- Cholernie tu duszno - powiedział z wysiłkiem.

Podszedł do otwartego okna i szerzej rozchylił ramy. Oparł się plecami o parapet. Zapytał:

- Filip naprawdę nie żyje? Nie wiedziałem. Ciekawe. Ale skąd pan wie, że nie zabiłem Filipa?

Byłem zaskoczony jego reakcją. Ta wiadomość zrobiła na nim wrażenie. Dlaczego tak się przejął śmiercią głuchego, prawie nieznanego człowieka? Dzięki reakcji Barnaby zaczynałem rozumieć coraz więcej. Właśnie to było mi potrzebne.

- Może pan zobaczyć - powiedziałem - na tej ogrodniczej rękawicy owalną plamkę lepkiej smoły. Taka sama plamka odbiła się na żelaznym pręcie, także może pan to zobaczyć, którym ktoś uderzył Amelię. Na szczęście niezbyt mocno.

- Coś pan... Przecież rękawica przez cały czas leżała tutaj, na stole! Właśnie wtedy Amelię ktoś stuknął.

- Nie w tym rzecz - powiedziałem. - Nim położyłem rękawicę na stole, ktoś trzymał, w niej pręt, ten sam, i zabił nim Filipa. Nie bał się, bo Filip wtedy spał. Uderzono bezbronego w czasie snu. To ohydne. Nie lubię o takich rzeczach mówić. Na pręcie odbiła się plamka smoły z rękawicy. Rękawicę przyniosłem tutaj, lecz sztaby żelaznej tam nie znalazłem. Nieco później tą samą sztabą uderzono Amelię. Już pan wie?

- Tak - odparł Barnaba. - Teraz już wiem.

- A czy pan wie, gdzie Filomena ukryła swoje klejnoty?

Speszyło go to pytanie.

- Zdziwi się pan. Nie wiem. Szukaliśmy wszędzie, panie sierzancie. Nie chcę pana bujać. Szukaliśmy we wszystkich zakamarkach i schowkach. Wiem tylko, że ciocia przechowywała biżuterię w małej skórzanej walizeczce. Ale nigdzie jej nie ma. Chyba ktoś ją ukradł. Ale kto? Może Filip? I może on zabił ciocię, żeby skarby w walizeczce zachować dla siebie?

- Może.

Patrzyłem na Barnabę. Wiedziałem, że coś jeszcze przede mną ukrywa. Tym razem nie mogłem go stąd wypuścić bez wydobycia tego, co najważniejsze. I co pozwoliłoby mi wreszcie rozwikłać sprawę. Barnaba także mnie obserwował. Jakby chciał wybadać, co wiem o nim i o innych.

- Uwierzyłby pan sierżant, że Filip zabił ciocię?

- Nie. Natychmiast po moim przybyciu do was, kiedy stwierdzono już zgon Filomeny, Filip sam pokazał mi skórzany neseser wypełniony biżuterią.

- Co? - zawołał Barnaba. - Sam pokazał?

- Dał mi do zrozumienia - ciągnąłem nie zwracając uwagi na okrzyk Barnaby - że po pierwszym zamachu, kiedy żyrandol spadł na fotel Filomeny, ona dała mu walizeczkę z kosztownościami na przechowanie. Bo tylko jemu ufała, i Filip ukrywał ją pod podłogą w swojej izbie. To był uczciwy człowiek.

- Czy pan sierżant nie jest, przepraszam za słowo, trochę naiwny? - zapytał Barnaba. - Filip mógł ukraść biżuterię i zabić ciocię. Była burza, powódź i niczego nie musiał się obawiać. Ale nagle pan się tutaj pojawił, w blasku błyskawic i w odgłosach gromów, jak anioł mściciel. Filip był zabobonny. Przeraził się. I wtedy, żeby się uniewinnić, pokazał biżuterię. I zmyślił, że ciocia mu to oddała na przechowanie. Chytry.

- Ładnie pan to ujął - powiedziałem. - Anioł mściciel w blasku błyskawic i w odgłosach gromów. Z mieczem ognistym w dłoni, można by jeszcze dodać. Gdyby mój były szef to słyszał, zakrztusiłby się ze śmiechu. Ładnie pan to wyraził.

- Związany jestem ze sztuką - powiedział skromnie Barnaba - i czasem powiem coś takiego, w poetyckim stylu. W ogóle lubię poezję, chociaż to nie moja branża. Ale lubię.

- Artysta. Tak właśnie pomyślałem. Za oknem, szybko zapadał zmierzch.

Wyjąłem chusteczkę i przyłożyłem ją do zakatarzonego nosa.

- Późno już. Nie zdążę wziąć gorącej kąpieli. Chce pan jeszcze coś powiedzieć?

- Już się wypowiadałem. Czy mogę wyjść?

Wiedziałem, że to nie było wszystko. Musiałem natychmiast wyjaśnić przyczyny jego wzburzenia, kiedy dowiedział się ode mnie o śmierci Filipa. Czy ktoś go uprzedził, zabijając Filipa i zabierając stamtąd biżuterię?

- Mam przecucie, że pan mi jeszcze coś powie. Otworzyłem szufladkę komódki i wyjąłem stamtąd czarną walizeczkę. Nie otwierając jej, spojrzałem na Barnabę.

- Chyba nie omyliło mnie przecucie? - zapytałem.

Barnaba wpatrywał się w neseser jak zahipnotyzowany.

- A co? Dlaczego pan przypuszczał? Czy ma pan klejnoty?

Powiedziałem mu, że kiedy oni czekali na mnie w salonie, wstąpiłem do Filipa. Powiedziałem mu, że Filip zginął i że w jego pokoju znalazłem rękawicę z plamą smoły. Powiedziałem mu także, że znalazłem ten neseser, ten sam, który Filip pokazywał mi po śmierci Filomeny. Wtedy był wypełniony biżuterią. A teraz pusty. Powiedziałem jeszcze, że dla dokonania tej kradzieży zamordowano Filipa.

To był celnie wymierzony cios. I Barnaba zaczął mówić. Ale nim dotarł do najważniejszego miejsca swojej opowieści, nim wypowiedział nazwisko, na którym najbardziej mi zależało...

Stał w tym momencie pod oknem, wsparty o parapet. Nagle drgnął i zaczął mówić urywanym głosem:

- Ale ja... panie... to ja ciocię... Ja!

Pochylił się lekko do przodu, wykręcił do tyłu prawe ramię, zatoczył się. Uchwycił równowagę. I powoli, z trudem odrywając stopy od podłogi, zbliżał się do mnie z twarzą wykrzywioną bólem. Po raz pierwszy zobaczyłem jego prawdziwą twarz, bez żadnej maski.

Prawą ręką wykonał gwałtowny zamach do tyłu, jakby chciał sięgnąć wykrzywiona, dłonią ku plecom.

Zrobił półobrót całym ciałem i zatoczył się.

W jego plecach tkwiła strzała, bęłt wypuszczony z kuszy.

Ukląkł.

- No... i... - szepnął. - To ja.

Upadł uderzając twarzą o podłogę.

Podbiegłem do rozwartego okna.

Niczego nie zauważyłem w zapadającym zmierzchu.

Tylko padał deszcz.

Bezsenna noc

Tej nocy pomyślałem, że współczesne tragedie, raczej nowoczesne tragedie, nie mogą się już obyć bez współuczestnictwa detektywa; bez tej postaci, która z urzędu czy też na własną rękę prowadzi śledztwo przeciw ludzkim nieprawościom, przeciw zbrodni. Są to chyba ostatni bohaterowie pozytywni naszych czasów, naszej literatury. I czy nie zaszła w pisarstwie nieuchwytna jeszcze dla ogółu przemiana, polegająca na tym, że walkę człowieka ze złem przejęła w dwudziestym wieku literatura sensacyjna i kryminalna? Kiedyś krytycy zrobią z tego odkrycie, jak zwykle spóźnione.

Na luźnych kartkach porządkowałem moje obserwacje i domysły, spisywałem fakty i okoliczności. Robiłem też obszerniejsze zapiski z tej sprawy.

Opisałem także końcową część mojej rozmowy z Barnabą. Wstrząsnął nim - widok walizeczki, z której wykradziono biżuterię Filomeny. Jak on się w nią wpatrywał!

- Jeżeli tak się stało - powiedział Barnaba - to chromolę wszystko. Już teraz przejrzałem czyjaś grę. Ktoś tu chciał wykołować nas i za dużo zarobić. Dobra jest, panie sierżancie. Teraz powiem panu całą resztę. Słowo honoru, że całą. Ale mnie urządzili!

- Czy pan zabił Filomenę?

- Domyślam się, kto ją zabił. Pan wie... No nie, co ja mówię, jeszcze pan nie wie, ale zaraz pan się dowie. Tu chodziło o ucieczkę za granicę. Żeby stąd wybyć na amen. Nie obchodziły mnie złotówki Filomeny. Potrzebne były klejnoty, bardzo cenne. Oszacowano je na pół miliona dolarów. Ponieważ ciocia już nie żyła, można było te świecidełka zagarnąć bez skrupułów. I wywiać stąd.

- Jak pan chciał przewieźć klejnoty przez granicę?

- Nowocześnie i awangardowo. W modny teraz sposób. Wsiąść z tą walizeczką do samolotu który leci z Warszawy do Gdańska. A przed gdańskim portem lotniczym zmusić pilota do lądowania w Szwecji. Oczywiście razem z walizeczką. Pan wie, że tam trzeba mieć dużo forsy, żeby dobrze żyć. A ja lubię dobrze żyć.

- Kto był współlnikiem?

- W zabiciu Filomeny, panie sierżancie? O to panu chodzi?

- Powiedzmy.

- To inna sprawa. Jeszcze panu powiem. Co do historii z porwaniem samolotu, zaraz panu wyjaśnię. Znam to jak własny życiorys. Powiem panu, bo ktoś chciał mnie tutaj wyrolować. Ale zacznę od początku...

Wpiąłem, żeby zaczął od końca. Jednak na razie nie mogłem go peszyć ani pytaniami przerywać jego zwierzeń.

- Pan wie, że nie mam talentu do komponowania. A teraz dobry jazzman musi sam komponować. Byle co, ale musi, bo nie będzie się liczyć na giełdzie. Już nie rozwija się znanych tematów, jak dawniej w dixi czy w nowoorleańskim stylu. Nie te czasy. Brzdąkałem trochę na gitarze i ryczałem w stylu bigbitowym. Było zapotrzebowanie społeczne na coś takiego u tych różnych organizatorów od imprez. Wypłynąłem na fali mody. Pan wie, jak to u nas jest. Coś może być lipne, tandetne, efekciarskie, jednak jeśli jest modne, wszyscy będą cmokać i chwalić. U nas chwyci każda chała, pan wie, byle była modna. I nikt nie odważy się napisać, że to chała. Chała demaskuje się dopiero wtedy, kiedy moda przemija.

Nie interesowało mnie to wszystko. Jednak Barnaba rozgrzewał się i coraz bardziej zapalał. Był w stanie bliskim euforii.

- Wie pan, wątki do moich kompozycji ściągałem z radia Luxemburg. Oni trzymają rękę na pulsie, trzeba im przyznać. Wiedzą, co można dobrze sprzedać. Występowałem, nawet mnie rozrywali, ale nie miałem przyszłości. Nie mogłem z taką lipą, dobrą tylko na naszym rynku, wyjeżdżać za granicę. Nie zarobiłbym ani dolara. Bo tam trzeba mieć talent. I trzeba ciężko pracować, żeby się wybić. Taka miernota, jak ja, mogła Tylko tutaj egzystować i dobrze zarabiać. Wie pan, u nas ktoś wymyślił, że ludzie mają tylko głód rozrywki. No i fabrykujemy dla nich, dla tych, co to wymyślili, rozrywkę. Są szczęśliwi, a publiczność jest całkiem wykołowana.

- I postanowił pan wyjechać stąd nielegalnie, ale z grubszą gotówką. Żeby tam mieć łatwe życie, bez talentu i bez pracy. I znalazł pan współnika tej eskapady. Co dalej?

- Znalazłem - potwierdził Barnaba. - Cholera, współnik, który wbija nóż w plecy. Ja bym tego nie zrobił. Zaraz panu powiem, z kim dogadałem się co do porwania samolotu i zagarnięcia klejnotów cioci. Nie uwierzy pan, słowo honoru...

Właśnie w tym momencie Barnaba drgnął, jakby struga deszczu spłynęła muza kołnierz.

- Ale ja... panie... to ja ciocię... - mówił urywanym głosem, zdumiony, że z tyłu dosięgnął go nagle przenikliwy i niepojęty ból. - Ja! - prawie krzyknął.

Dopiero kiedy upadł w półobrocie ciała i ukląkł na ziemi, zobaczyłem, że pod jego prawą łopatką tkwi bełt wystrzelony z kuszy. Ten drugi bełt, bo pierwszym zabito gołębia.

Przez okno wyskoczyłem na podwórze. Przeszukałem ogród i park. Nikogo nie znalazłem. Właśnie przed chwilą Zenobiusz i Laura wrócili do dworu. Chyba w tym momencie, kiedy wyskakiwałem przez okno. Nae, powiedzieli mi później, nie przechadzali się razem, ale oddzielnie. Na kilkanaście minut wyszli, bo padał deszcz. Nie, nikogo nie widzieli. Kogo zresztą mogliby zobaczyć.

To samo się zdarzyło, kiedy ktoś zabił felczera. Wówczas także wszyscy przechadzali się osobno, bo mieli siebie dosyć. I nic podejrzanego nie zauważyli.

Na kolację zjedliśmy usmażone przez Zenobiusza placki ziemniaczane. Okazało się, że Zenobiusz potrafi gotować. Laura nie umiała nawet herbaty zaparzyć. I nie wiedziała, jak gotuje się jajka na miękko. Jej przyszły mąż bardzo się ucieszy.

Nim udali się na spoczynek, poleciłem im, żeby dobrze zamknęli drzwi swoich pokoi. Laura zaniósła Amelii posiłek, później poszła do swojej sypialni.

Tej nocy nie spałem. Minionej nocy, ale tego samego dnia, bo o drugiej nad ranem, rozmawiałem z Basią. Przerwano połączenie. Nigdy się już nie dowie - tak pomyślałem - o miłości, która jest jak piorun z nieba. „Nie ugasisz ani cząstki pragnienia, jeżeli potrafisz wyrazić, jaka jest ta miłość, która przychodzi zbyt późno”. Nie umiałem wyrazić, jaka jest ta miłość.

Była to męcząca noc.

Zamknąłem się w bibliotece.

Siedziałem przy staroświeckim biurku.

Pisałem, przeglądałem mnóstwo książek. Odkryłem w nich trochę prawdy o sobie, mojej miłości i o sytuacji, w jakiej, znalazłem się na tym odludziu.

Ogarnął mnie wtedy lęk, że człowiek nie ma już nic własnego, nic wyjątkowego, bo wszystko, co przeżywa, przeżył już ktoś inny. I że cokolwiek może się stać z człowiekiem, jest już napisane, a więc dokonało się kiedyś i gdzieś, dawno lub niedawno, z kimś innym lub podobnym. Albo dopiero się stanie, lecz skatalogowane i zanotowane jest od dawna.

Wsluchiwałem się w drzenie szyb, o które wiatr uderzał strugami wody spadającej z nieba. Później przeczytałem zdanie, że urok życia polega przede wszystkim na uroku gry. „Ale co począć, kiedy jest nam wszystko jedno: przegrać czy wygrać?”

Nie wiedziałem, co począć. Nie wiedziałem jeszcze, czy przegram, czy wygram. Wiele dziejących się tu rzeczy toczyło się niejako poza mną, poza zasięgiem mojej woli i możliwością mojej interwencji.

Poczucie bezsilności skojarzyło mi się z młodą dziewczyną, którą znałem już rok. Nigdy nie umiałem przyznać się, że ją kocham. Co powiedziałby szef, gdybym zaprosił go na nasz ślub, mój i Barbary? Koledzy zazdrościliby mi takiej dziewczyny, ale szef? Powiedziałby, że na starość odbiła mi szajba. I dodałby: rób, jak uważasz, ja się nie wtrącam. Niby się nie wtrąca, ale o tej odbitej szajbie by powiedział.

Myślałem o tym, jakby nasz ślub naprawdę się odbył. A przecież nie odbędzie się nigdy.

O drugiej w nocy w bibliotece zgasło światło. Wyszedłem z pokoju, zabrałem ze sobą latarkę. Wszędzie pogasły światła. Sprawdziłem bezpieczniki wewnętrzne i główne. Wszystkie w porządku. Ale prądu nie było. Widocznie powódź podmyła słupy wysokiego napięcia albo uszkodziła elektrownię. A więc radio także wysiadło.

Chciałem zapukać do pokoju Amelii, Laury, Zenobiusza. Chciałem ich zapytać, jak się czują. Ale nie odważyłem się. Sam nie spałem, lecz nie miałem prawa budzić innych. W ogóle nie miałem prawa prowadzić śledztwa.

W spiżarni znalazłem paczkę świec. Nalałem do dzbanka herbaty i wróciłem do pokoju. Umieściłem dwie świece w barokowych lichtarzach. Wyglądały jak srebrne, ale były wykonane z plateru.

Usiadłem przy biurku.

Pomyślałem, że już nie warto rozbierać się i układać do snu. O świcie spodziewałem się powrotu gołębia wysłanego do Warszawy, Musiałem tego pilnować. Nikt nie mógł mnie uprzedzić w przyjęciu informacji, na jaką czekałem. Strzału z kuszy już się nie obawiałem: oba bełty, a były tylko dwa, morderca zużytkował. Schowałem je w biurku.

Przeszukałem jeszcze ubikację. Tam, za zbiornikiem z wodą, znalazłem coś, co mogło mieć duże znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków. W ogóle dla tej sprawy. I dla mnie także. I dla mordercy. Zająłem się tym drobiazgiem.

Znowu siedziałem w bibliotece i spisywałem, co się wydarzyło. Pisałem to dla Barbary. A może tylko dla siebie samego? Może dla wody huczącej tak wściekle za oknem?

Znalazłem w szufladce biurka krawieckie nożyce i przyciąłem nimi kopcające knoty. Poczulem charakterystyczny śwąd, świece silniej zajaśniały.

Czekałem na świt.

O świcie przyleciał gołąb. Nikt nie zauważył, jak na stryszku oficyny odczepiłem od nóżki zmęczonego ptaka aluminiową tulejkę.

Później dowiedziałem się, że tej nocy zginęła Laura.

Padał deszcz.

Pan albo ja

Zostaliśmy w dworku we troje: Zenobiusz, Amelia i ja.

Inni zginęli. Czulem się jak w bunkrze, w którym wiązka granatów rozerwała prawie wszystkich, a ci, którzy pozostali przy życiu, nie rozumieją, dlaczego właśnie oni ocaleli.

Zenobiusz miał ziemistą cerę, był niewyspany..- Czy pan wie, kto zabija? Daremnie chyba pytam. Pan i tak nie powie prawdy. Bo, pańskim zdaniem, od mówienia prawdy jesteśmy my, a nie pan. Inni mają mówić prawdę.

- Pan chyba wie - powiedziałem - że ci „inni” kłamią. Czytałem dzisiaj w nocy wiersz, raczej fragment wiersza:

„Sprawiedliwemu na pustyni do gwiazd o sprawiedliwość wyć”. Byłem wśród was jak wołający na pustyni. Błagałem o prawdę, ale chowaliście ją dla siebie. Raczej dla śmierci. Jesteście zadowoleni?

Zenobiusz smętnie pokiwał głową. Nie wiedziałem nawet, czy mnie słucha, czy myśli o innych sprawach.

- Jak - było z Laurą? - zapytałem. - Obiecał pan podać szczegóły. Pański pokój znajduje się tuż przy pokoju Laury.

- Źle spałem w nocy. Już nie ten sen. Drzemałem i budziłem się. Z drzemki wyrwał mnie jakiś odgłos, raczej głos; Jakby ktoś stał za oknem i wołał Laurę.

- Czyj to był głos?

- W pierwszej chwili przestraszyłem się, bo pomyślałem, że to głos nieboszczki Filomeny.

- A w drugiej chwili?

- Pomyślałem, że to chyba halucynacja słuchowa. Wtedy usłyszałem już wyraźnie, bo z tym wołaniem mogło mi się tylko zdawać, że o szybę okna Laury uderza kamyk. Chyba Laura otworzyła okno i zajrzała, kto rzucił kamykiem. Wtedy znowu zasnąłem. A później pan już sam wie, jak było. Laura leżała rano na parapecie okna. Uduszona. Jakie to brutalne i straszne. Biedna Laura. Wszyscy jesteśmy biedni. I marnością jest wszystko.

- A jak pan się czuje?

- Można się domyślić. Wstrząsnęła mną śmierć Laury. Wieczorem, kiedy szliśmy spać, Laura powiedziała, że musi coś panu przekazać albo wyznać. Tylko panu. Jeszcze wcześniej, kiedy żył świętej pamięci Barnaba, chłopak co prawda krnąbrny, ale utalentowany, Laura sprzeczała się z nim, że musi panu coś powiedzieć, jednak Barnaba nie pozwolił. Chciała panu coś powiedzieć. Dlatego ją zabili.

- Czy pan wie, o czyni Laura chciała mi powiedzieć?

- Wymyśliła sobie, jak to młoda dziewczyna, że Barnaba zgładził Filomenę. A później musiał zabić Gienię, tak mówiła Laura, bo Gienia zajrzała do pokoju, kiedy Laury tam nie było i kiedy Barnaba zabijał Filomenę. To oczywisty nonsens. Zresztą nie kalajmy pamięci umarłych. Z prochu powstałi i w proch się obrócą.

- A ponieważ Eligiusz widział, jak Barnaba zabija Gienię, więc trzeba było zgładzić także Eligiusza. Barnaba już nie mógł wycofać się z tego szaleństwa, z obłąkańczej zabawy w śmierć. Czy tak?

- To pan powiedział, nie ja. Uszanujmy jednak pamięć umarłych. Tak nakazuje nam, wiekowa tradycja.

- Ostrzegalem was. Pana także. A pan pierwszy zaczął kłamać, panie Zenobiuszu! Nie przyznał się pan, że drugi sztylet jest pańską własnością. Nie dał pan dobrego przykładu.

- Człowiek ma swoje słabości.

- Mogliście przewidzieć, czym skończy się wasza zmowa milczenia, ten nikczemny spisek! Barnaba zabił Filomenę, bo ktoś chciał ją wcześniej otruć arszenikiem. Rozumie pan? Barnaba przestraszył się, że działa konkurencyjna firma polująca na majątek Filomeny. Firma, o której on niczego nie wiedział. Miał własne plany, musiał więc szybko działać. Uprzedzić konkurencję. Znaleźć biżuterię i uciec z nią za granicę.

Zenobiusz był zaskoczony moim wywodem. Znając stosunki, jakie panowały między nim a Barnabą, domyśliłem się, że Barnaba nie wtajemniczył go w swoje plany.

- Nie wiem, nic nie wiem. Pierwsze słyszę - mówił Zenobiusz. - Ale wiadomo przecież, co się stało z Amelią. Także chcieli ją zabić! Kto? Pan sierżant nie wie? Także nie wiem. A kto zabił Barnabę strzałem z kuszy? Kusza niesie strzałę z większą siłą niż łuk. Ze straszną siłą. Teraz jesteśmy sami. Pan i ja. Tylko my. A więc, rozumując logicznie, zabija któryś z nas. Pan albo ja. Nie może być inaczej.

Zenobiusz ożywił się. Mówił zwięźle, wyraźnie, dobitnie. Teraz on prowadził swoją grę. I chciał ją wygrać. Powiedział:

- Ja albo pan. O to chodzi. Ale ja odpadam. Został tylko pan. U mnie już nie ten umysł co dawniej. Ale w moim rozumowaniu nie ma błędu. Pan sierżant wie, że mówię logicznie, chociaż biedna Laura nazywała mnie wapniakiem. I mówiła, że trociny się ze mnie sypią. Biedne dziecko! Miałaby u mnie dobrze. Ach, życie... Marnością jest wszystko i niczym więcej.

Stracił wątek. Stracił pewność siebie.

- Otóż to - powiedziałem. - Więc ja zabijam, jeśli pan siebie uniewinnił tak szybko i tak logicznie.

Wyprostował się w fotelu, wypiął zapadłą pierś.

- Wiem, co mnie czeka - oświadczył. - Za prawdę zawsze trzeba płacić, tak było od wieków. Teraz pan mnie zabije, żeby usunąć ostatniego świadka ponurej afery. A pan

wyjedzie stąd z malutką walizeczką wartości pół miliona dolarów. Ile to byłoby złotych? Jak pan myśli, sierzancie?

- Zależy, po jakim kursie przeliczymy. Wszystko jest na tym świecie względne, panie Zenobiuszu, nie tylko brutalne, jak pan twierdzi. Nawet wartość dolara jest względna.

- Teraz pan mnie zabije. Ja wiem. Tak musi być.

- Chętnie bym pana zabił - potwierdziłem - ale mówiłem szczerze, że strasznie nie lubię zabijać. Nikogo nigdy nie zabiłem. I nie lubię wrzucać czyichś zwłok, panie Zenobiuszu, do rzeki. Bo tak ktoś postąpił ze zwłokami Filomeny.

- Do rzeki, pan powiada? Biedna Filomena!

- I bogaty Zenobiusz, który sam jeden wszystko po niej odziedziczył! Panie Zenobiuszu, morderca Filomeny przypuszczał, że felczer stwierdził jej śmierć, a nie ja. Ze tylko zaufałem opinii felczera. Zabił więc felczera, kiedy korzystając z krótkiej chwili zelżenia deszczu, przechadzaliście się wokół oficyny i po parku. W ten sposób morderca chciał usunąć człowieka, który stwierdził zgon, i upozorować, zgodnie z wersją Laury, że Filomena żyje. Dlatego musiał sprzątnąć zwłoki Filomeny, żeby usunąć najbardziej oczywisty dowód zbrodni.

Zenobiusz wpatrywał się we mnie w napięciu.

- Panie sierzancie, wiem” że życie jest brutalne i pełne zasadzek. Wciąż powtarzam Ale ktoś, do diabła, musiał to wszystko robić. Ktoś musiał zabijać! Kto?

- Nie wierzy pan w cuda?

- Wierzę - mruknął - ale nie w takie. To nie były cuda.

- Otóż to. Panie Zenobiuszu, czy są w tym domu pantofle na surowej skórze? Pantofle o gładkiej powierzchni zelówek, bez obcasów. Może gimnastyczne? I raczej duży rozmiar.

- O ile mnie pamięć nie myli, kupiłem takie Eligiuszowi. Męskie pantofle gimnastyczne. Tak, są. Numer czterdzieści dwa.

- A jaki numer butów pan nosi?

- Także czterdzieści dwa - powiedział Zenobiusz. - Ale...

- Doskonale. Proszę przynieść te pantofle. Wystarczy nawet jeden pantofel. Eligiusz ich nie używał, prawda?

- Bo miał nogę w gipsie. Nie mógł używać. Już nie ta noga.

Zenobiusz wyszedł.

Ślad takich pantofli znalazłem pod oknem Laury.

Zenobiusz wrócił i podał mi pantofel.

Obejrzałem go dokładnie. Podeszwa przeszła wilgocia.

- Czy pan zrezygnowałby ze swojej części spadku po Filomenie? - zapytałem. - Proszę się zastanowić.

- Nie - odparł bez zastanowienia. - Zbyt wiele wycierpiałem od mojej siostry. Upokarzała mnie. Wydzielala każdy grosz. A mam pewne plany dalekosiężne... I górnołotne... Zaraz, co to ja chciałem... Aha. Panie sierżancie, jak z żyrandolem, który spadł na fotel Filomeny? Wszystkie nieszczęścia zaczęły się od tego żyrandola.

- Zbadałem żyrandol. Mosiężny gwint był już stary i przetarty, a korona ze świecznikami bardzo ciężka. Któregoś dnia puściła rozkalibrowana mutra nakręcona na ten gwint. I żyrandol spadł. Paradoksalne, ale chyba ten najzwyczajniejszy przypadek podsunął komuś pomysł zgładzania Filomeny.

- Tak pan sądzi?

- Dokładnie tak. Ktoś pomyślał, że to był zamach. Nie chciał się dać wyprzedzić. Chciał sam działać i wszystko zagarnąć. Następnego dnia w makaronie przeznaczonym dla Filomeny znalazł się arszenik. Czy pan wie, że gdyby” Amelia za wcześnie nie weszła do pokoju, to Barnaba już wtedy, korzystając z tego, że Filomena pozwoliła zaalarmować domowników dopiero po upływie pół godziny, wrzuciłby zwłoki Filomeny do rzeki? Laure mógł łatwo przekonać, że żywa ciocia gdzieś się ukryła. A inni nie byli wtajemniczeni w tę zabawę. I tu także przypadek, a więc wejście Amelii, zdecydował o wielu dalszych wydarzeniach.

- To przygnębiająca nowina. Czy mogę coś powiedzieć?

- Coś z tych spraw, o które wcześniej prosiłem?

- Tak. Ale wtedy milczałem.

- Dziękuję panu, nie chcę tego słuchać. Za pańskie milczenie zapłaciło życiem zbyt wiele ludzi.

- Ale coś bardzo ważnego.

- Tłumaczyłem to panu wielokrotnie, ale pan nie wierzył. Teraz jest za późno. Panie Zenobiuszu, nie mówimy o tym. Amelia czuje się lepiej, prawda? Może pan ją poprosi.

- Chętnie. Ale ja...

- Czy Amelia nosi perukę?

- Teraz jest moda na noszenie fałszywych włosów. W ogóle jest moda na różne fałszywe rzeczy. Już nie ten świat.

- Otóż to. Proszę poprosić Amelię, żeby przyszła bez peruki. Dla mnie może to zrobić. Zenobiusz nie wychodził.

- Panie sierżancie, po co panu ten pantofel? Pokazałem Zenobiuszowi ślad tynku na czubku pantofla.

- Widzi pan? Tynk. - Morderca Laury musiał stać tuż przy murze pod jej oknem, żeby go nie zauważyła. Kiedy Laura wychyliła się, żeby zobaczyć, kto ją woła i kto rzucił kamieniem, wówczas skulony pod okapem morderca wyciągnął tylko ręce ku górze. I udusił.

Zenobiusz wzdrygnął się. Nic nie powiedział.

Wyszedł z pokoju.

Wtedy otworzyłem okno.

Padał deszcz.

Twarz Anapellis

Wysunąłem szufladę komódki. Wyjąłem z niej żelazny pręt owinięty skrawkiem żurnala i jeszcze jeden strzep żurnala. Odwinąłem ten, który był na pręcie, i zestawilem go z tym luźnym skrawkiem. Pochodziły z tej samej rozerwanej strony.

Wyjąłem też z nylonowego woreczka damską pończochę i obejrzałem ją dokładnie. Położyłem pończochę obok pantofla gimnastycznego numer czterdzieści dwa.

Do pokoju weszła Amelia. Bardziej blada niż poprzedniego dnia i z lekko zapadniętymi policzkami, przez co silniej uwypukliły się kości policzkowe. Miała krótko przycięte jasne włosy; które chowała dawniej pod ciemną perukę. Zresztą używała kilku peruczek, w zależności od reszty ubioru i od nastroju. Ładna i interesująca kobieta. Ale w tej ładności, czy nawet piękności, było coś nieuchwytnego, jakby zapowiedź udręki, na jaką mogła skazać mężczyznę, który ją kocha. Żądałaby wszystkiego, czym ten mężczyzna jest, oddając w zamian tylko swoje ciało.

Usiadła. Przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Jakby cierpiała i nie znajdowała słów dla wyrażenia swego bólu

- Panie sierżancie, trudno mi mówić...

Jednak powiedziała. Otóż idąc tutaj, zawiadomiona o mojej prośbie przez Zenobiusza, wstąpiła jeszcze do ubikacji. Była zamknięta. Czuła, że stało się coś złego. Zawołała, zapukała, lecz nikt się nie odzywał. Pchnęła silnie drzwi. Malutka zasuwka puściła. Amelia weszła do środka.

- W zbiorniku wody nad ubikacją - mówiła cicho - były obluzowane w murze haki, na których wisiał zbiornik. I proszę sobie wyobrazić, że żeliwny zbiornik spadł na głowę

Zenobiusza. Chyba wtedy, kiedy on pociągnął za łańcuszek. Nie, nie musi pan tam iść. Nie musi pan sprawdzać. Zenobiusz nie żyje. Mój Boże!

Siedziałem nadal, porażony wiadomością. Ale uwierzyłam Amelii. W tym domu już nic nie mogło mnie zaskoczyć. Nawet moja własna śmierć.

- Także korzystałam z tej ubikacji - dodała Amelia. - I Laura. I pan. Pan tam był dzisiaj?

- Nie, dzisiaj nie. Byłem rano w oficynie...

- Na pewno ktoś chciał zabić mnie albo Laurę. Może pana? - Może.

- Tak pomyślałam - powiedziała Amelia. - Zenobiusz jest tylko przypadkową ofiarą. Tego nie można już znieść. To jest...

Zostaliśmy sami w tym domu, Amelia i ja. Finał godny współczesnej tragedii! Nieoczekiwany finał farsy i dramatu, groteski i makabreski.

- Skąd pan wiedział, że noszę perukę? - zapytała po chwili.

- Lepiej jest pani w jasnych włosach. A co do peruki, właśnie ona ocaliła pani życie.

Pokazałem jej żelazny pręt.

- Nawet lekkie uderzenie ostrym kantem tej żelaznej sztabki musiałyby spowodować co najmniej przecięcie skóry na głowie. I o wiele poważniejsze obrażenia. Peruka ocaliła panią.

- Teraz rozumiem - powiedziała. - Czy pan sierżant domyśla się, kto chciał mnie zabić?

- Już ustaliłem, kto panią uderzył prętem. Cóż z tego, kiedy wszyscy ewentualni świadkowie popełnionych tu przestępstw i zbrodni już nie żyją. Przerażeni obrotem sprawy, właśnie teraz zaczęliby mówić. Dopiero teraz.

- O mordercy - zapytała z nutą szyderstwa w głosie - który nie żyje? Jaki z tego pożytek?

- Żeliwny zbiornik w ubikacji mógł obluźować Barnaba - powiedziałem. - Podejrzywał, że pani działa na własną rękę, panią chyba o to posądzał. I chciał panią zabić, Ale kto zabił Barnabę? Kiedy Laura zginęła, Barnaba już nie żył. Kto zabił Laurę? Umarli nie zabijają. Przynajmniej oni nie zabijają.

- Ktoś musiał ich zabić. Może ktoś jeszcze jest na tej wyspie? Ktoś, kto się ukrywa przed nami i morduje?

- Może - powiedziałem. - Jednak przeszukałem cały skrawek ziemi ocalałej w powodzi i nikogo nie znalazłem. Czy to wszystko, co pani mogłaby powiedzieć? Słucham.

- Powiedzieć mogę więcej, ale po co? To już niczego nie zmieni. Zaszły nieodwracalne wydarzenia...

- Więc musimy odwrócić ich bieg. Cofnąć się do źródła, do samego początku. I krok po kroku dotrzeć do finału. A więc do miejsca, w którym teraz się znajdujemy.

- To pozostawiam panu. Nie lubię się cofać. Co się stało, jest nieodwracalne, a przeszłość pozostaje nieodgadniona i niedostępna. Chyba tylko w zarysach można ją poznać.

Jednak można było dokładniej poznać przeszłość. Na odtwarzaniu przeszłości polega praca człowieka, który prowadzi śledztwo. W nocy czytałem, że człowiek prowadzący śledztwo ma własne pojęcie o miłości, uczciwości i o świecie. Cierpi, walczy, rozmyśla. I potyka się ze światem, który przypadł mu w udziale. W takim wypadku i spełniając takie warunki, „powieść kryminalna odzwierciedla wiernie postawy, jakie jednostka przyjmuje wobec społeczeństwa... Powieść kryminalna nie jest wtedy tylko grą umysłu niezależną od wszelkich konkretnych przesłanek, ale staje się znowu powieścią, czyli zwierciadłem reakcji człowieka w społeczności, w jaką wpisano jego istnienie”.

- I co teraz? - zapytała Amelia.

- Nie domyśla się pani?

Lekki skurcz przebiegł przez jej twarz. Była wyczerpana, w nocy również nie spała jak ja.

- Pukałam w nocy do pana - powiedziała - kiedy zgasło światło. Ale pan nie odpowiedział, więc wróciłam do mojego pokoju. Szkoda, że pan nie otworzył.

- Przeglądałem bezpieczniki. Może właśnie wtedy pani pukała. Żałuję, że pani nie zastała mnie w pokoju.

Uśmiechnęła się. Dostrzegłem w tym uśmiechu cień okrucieństwa. I chyba dlatego skojarzyłem natychmiast i bezwiednie to wrażenie z pojęciem *Giftmadchen* - dziewczyny trującej.

Czytałem w nocy studium o takich dziewczynach. O królowej Indii, która od dzieciństwa karmiła trucizną pewną dziewczynkę; jej oddech i spojrzenie przynosiły śmierć. Królowa posłała dziewczynkę do Aleksandra, by wyzwolić swój kraj. I Aleksander by zginął, gdyby nie szybka interwencja filozofa Arystotelesa. Czytałem o ukąszeniu kreteńskich kobiet, było ono śmiertelne.

Czytałem o władcach indyjskich, którzy swoim wrogom posyłali w podarunku młodą „dziewczynę trującą”. Pod jej kołyskę, a później pod poduszkę, wreszcie pod suknię kładziono trujące ziele *Aconiturn jerox*. Później dawano dziewczynie wywar tej rośliny do

picia. Następnie dodawano ziele do jej posiłków. Mężczyzna, który posiadał taką dziewczynę, umierał.

Collenuccio pisał o dziewczynie, która posmarowała ciało, a raczej swoją skórę, balsamem zmieszonym z trucizną. Mężczyzna, w tym wypadku - król Perugii, zmarł, kiedy ją uwiódł. Tą trucizną był tojad; posiadania takiej rośliny zabroniono wówczas pod karą śmierci, jak podaje Theophrastos w *Historia plantarum*. Nazywano to ziele również *napellus* i od niego wywodzi się ówczesna nazwa „trującej dziewicy”: *Anapellis*.

Czytałem jeszcze, że w epoce Odrodzenia pisał o takich dziewczynach Bodin, a Dion o kobiecie-wężu, która wabiła podróżników, aby ich pożreć. A syreny uwodzące swym śpiewem żeglarzy? A Scylla i Charybda? Odmiana tego samego odwiecznego mitu o niebezpiecznych kobietach-modliszkach. A mit o Pandorze?

Kiedy Amelia uśmiechnęła się, mówiąc, że pukała w nocy do mego pokoju, pomyślałem, że jest to uśmiech pięknej *Anapellis*, dziewczyny trującej. *Gijtmadchen*.

O świcie, kiedy nadleciał gołąb, wyjąłem z tulejki aluminiowej, prócz kilku informacji, również zdjęcie wielkości dwóch centymetrów kwadratowych. Nie pokazałem tego zdjęcia Amelii.

- Barnaba podejrzewał, że nagle postanowiła pani działać na własną rękę. Przypominam sobie także pani twarz, z tymi jasnymi, krótko przyciętymi włosami. Twarz bohaterki pewnej afery...

- Chyba żarty nie na czasie, panie sierżancie!

- Przed kilku laty - powiedziałem - przekazała pani zagranicznemu korespondentowi dość interesujące informacje i pod presją wielkiej, ale nie istniejącej miłości do niego wciągnęła go pani w przemytniczą aferę. Zniszczyła mu pani karierę, uległ urokowi *Anapellis*. Działała pani w stołecznej strefie dewizowej, jest taka, żyją w niej na przykład dziewczyny, które sprzedają się także tylko za dolary, prawda? Pani sprzedawała dodatkowo ikony, stare srebra, artystyczne wyroby ze złota i porcelanę o historycznej wartości. Kiedy przechwycono informacje sprzedane przez panią korespondentowi, musiał stąd wyjechać, był skompromitowany u nas i w swojej agencji. Handlarze i przemytnicy nie pomogli pani. Trzeba było zmienić nazwisko, nosić ciemne peruki, opuścić hotele dewizowej strefy i ukryć się tutaj.

Zaśmiała się. Tym śmiechem z odcieniem zmysłowości i drapieżnego okrucieństwa, śmiechem *Anapellis*.

- Pan doprowadza sprawę zniknięcia Filomeny do absurdu! Pan mnie z kimś myli, może tylko żartuje? Albo jest pan bardzo zmęczony. Albo zawinił ten deszcz. Znowu pada” wciąż pada, widzi pan? Kiedy to się skończy?

Spojrzałem w okno.

Na zamglonej szybie widziałem odbicie twarzy Anapellis.

Padał deszcz.

Dowody rzeczowe

Amelia wciąż uśmiechała się pobłaźliwie i drwiąco, pewna siebie i swojej przewagi. Domyśliłem się, dlaczego przed przyjściem do mnie wstąpiła do ubikacji. Gdyby tam nie zajrzała, nie wiedzielibyśmy, że Zenobiusz nie żyje. Ale ona nie po to tam zajrzała, żeby oglądać martwego Zenobiusza.

- Postanowiła pani działać na własną rękę - mówiłem. - Zdobyć klejnoty Filomeny, później porwać samolot linii wewnętrznych, sterroryzować załogę i zmusić do lądowania w Sztokholmie.

- Więc Barnaba...

- Właśnie Barnabę - ciągnąłem - wtajemniczyła pani w plan ucieczki. W pierwszej fazie operacji wspólnik był potrzebny. Jednak nie wiedział, bo wtajemniczenie go było zbyt ryzykowne dla pani, że chce pani zabić Filomenę. Zbliżanie się powodzi stwarzało dogodną okazję do użycia arszeniku. Pomagała pani kucharce, bo Laura nigdy nie interesowała się gotowaniem. I pomogła pani: arszenik znalazł się w makaronie. Później podrzuciła pani resztę arszeniku w pokoju kucharki. W słoiku po *Cold-Creamie*. W tym domu tylko pani używa takiego kremu.

- Pan wciąż fantazjuje. Puste słoiki wyrzucałam.

- Było inaczej. Tym razem wyrzuciła pani krem z pełnego słoika. Znalazłem ten krem w śmietniku, zawinięty w chusteczkę.

- To zabawne. I co dalej?

- Kiedy pani zemdląca, byłem w pani pokoju. Znalazłem na dnie nie używanej puderniczki szylkretowej osad arszeniku. Po śmierci kucharki Barnaba przeraził się, że pani chce go oszukać. Tak jak pani przestraszyła się spadającego żyrandola, sądząc, że to sprawka Barnaby i że on chce panią oszukać. Zresztą po historii z arszenikiem pozorował kilka zamachów na Filomenę. Śrut rozsiany w sypialni, skorpion w kefirze... Stąd pani ówczesne zdenerwowanie.

- Pan mnie zdumiewa - odezwała się Amelia. - Przecież każdą inną wersję, na przykład, że pan zabijał, można równie gładko i logicznie opowiedzieć. Raczej zmyślić.

- Kiedy pytałem, kto najlepiej strzela z kuszy, pani skromnie pominęła siebie. Prawda? Pani strzelała najlepiej.

- Nie było się czym chwalić. Nie mam takich ambicji.

- Otóż to. Pani ma inne ambicje. Wiem. Ale zestrzelenie gołębia z okna pani pokoju i zabicie Barnaby - to były strzały godne olimpijskiego medalu. Później, kiedy pani dowiedziała się ode mnie, że jednak drugi gołąb dotrze do celu, musiała pani natychmiast działać. Tym prętem zabiła pani Filipa pogrążonego we śnie. Nie znalazłem tam śladów walki. To było wyjątkowo ohydne.

- Panie sierżancie, pan naprawdę...

- Kiedy zobaczyła pani, że mam rękawicę, w której trzymała pani żelazny pręt, poczuła się pani zagrożona. Trzeba było wyłączyć się z kręgu podejrzanych. I udowodnić, że morderca czyha także na pani życie. W mrocznym korytarzu sama uderzyła się pani w głowę tym samym prętem. Tym samym, chcąc udowodnić, że ten, kto panią uderzył, jest mordercą Filipa. Udając póżnywą, mogła pani także bezkarnie zabić Barnabę. To było niezłe pomyslane: kilka spraw załatwiła pani od ręki. Była pani znowu niewinna. Przestała być pani katem, stała się ofiarą. Przynajmniej w moich oczach.

Słuchała nieuważnie, jakby to jej nie dotyczyło. Ale była zdenerwowana: bawiła się zatraskiem torebki leżącej na kolanach. Patrzyła w okno.

- Pan powinien pisać powieści kryminalne.

- Nie umiem - powiedziałem. - Ale mam przyjaciela, który zmyśla sensacyjne powieści, Artura Morenę. Powiedział mi kiedyś, czy też kogoś cytował, że wartość powieści kryminalnej zależy przede wszystkim od punktu wyjścia. Powinien to być raczej absurdalny punkt, a więc nieprawdopodobne zdarzenie, które stanowiłoby obelgę dla rozumu i doświadczenia. Jednak trzeba taką powieść zakończyć, jak ja muszę zakończyć moje śledztwo: by intelekt, doświadczenie i zdrowy rozsądek były jednak uszanowane.

- Nie sądzę, by w tym wypadku...

Niech już nic nie mówi - pomyślałem - niech lepiej milczy!

Wyjąłem z kieszeni plastikowe pudełko po tabletkach nasennych. Otworzyłem je i wydobyłem stamtąd odprysk emalii. Sięgnąłem po dłoń Amelii. Pozwoliła mi przytrzymać ją w ręku.

- Pani używa perłowego lakieru do paznokci. W rękawicy ogrodniczej znalazłem odprysk tego samego lakieru. Tutaj leży. A na rękawicy znalazłem owalną plamkę smoły i

dokładne jej odbicie na żelaznym pręcie. Pręt owinęła pani w stronę wyrwaną z żurnalu, oto ona. Resztę tej kolumny znalazłem w żurnalu, który leży w pani pokoju.

Złożyłem oba skrawki papieru. Pasowały do siebie idealnie.

- Zaskakuje mnie pan coraz bardziej niezwykłą wyobraźnią. Ale pan celowo eliminuje inne rozwiązania. Tutaj wszyscy przeglądali mój żurnal i mogli wyrwać kartkę. Stary żurnal.

- To mogłaby być prawda.

- A co do rękawicy, używałam jej czasem do pracy w ogrodzie i do sekatora, którym przycinałam żywopłot

- To także brzmi prawdopodobnie. Świetnie się z panią rozmawia. Ale z nudów musimy coś robić, prawda? Przynajmniej porozmawiajmy o tych wszystkich sprawach, Warto o nich porozmawiać.

- Trochę makabryczna rozmowa.

- Pani powiedziała kiedyś, że już nie można stosować norm moralnych, jeżeli one w ogóle nie istnieją.

- Tak powiedziałam. O tym świadczy prawie cała współczesna literatura. Chyba pan wie. I cały współczesny świat. Cała sztuka.

- Bo to jest dzisiaj modne. Ale żyją jeszcze ludzie w tym modnym świecie, którzy potrafią odróżnić dobro od zła. Którzy wiedzą, że dziesięć przykazań to nie tylko sprawa religii, ale wielkiego doświadczenia dziejów ludzkich, od ich zarania, kiedy jeszcze nie było religii.

- Doświadczenie, z którego prawie nikt nie korzysta! Zabawne, co pan mówi.

- Ale ono wciąż istnieje i świat wróci do tego doświadczenia. Szybko znudzi się i zmęczy tym, co przeżywa dzisiaj. Także amoralnością, która stała się przedmiotem handlu i spekulacji literackich. Pani Amelio.

Teraz miało nastąpić główne uderzenie. Powiedziałem:

- Pani Amelio, Filipa nie zabito dla uroku samego zabijania. Ale po to, by zabrać przechowywaną przez niego biżuterię Filomeny.

- Była u Filipa?

- Pani wie, że tam była. Wyjęto ją z neseseru. Znalazłem biżuterię w dziobie dwuosobowego kajaka, ukrytego w szopie stojącej obok oficyny.

- Ach, tak! - zawołała. Moje uderzenie było celne. Amelia szybko dodała:

- Chyba Filip ukrył w kajaku klejnoty. Zawsze bałam się tego człowieka.

- Chyba pani ukryła tam klejnoty. Były zapakowane w woreczek nylonowy z nadrukiem angielskiej firmy „Ringo”. Znak tej samej firmy znalazłem na metce pani koronkowej bluzeczki. Powinno być pani ładnie w tej ślicznej koronkowej bluzeczce.

- Więc pan robił rewizję w moim pokoju?

- Jutro lub pojutrze opadną wody i będzie pani mogła złożyć na mnie zażalenie. Dam pani numer telefonu mojego byłego szefa.

- Nie mam zamiaru - powiedziała Amelia. - Przecież to, co pan mówi, nie ma żadnego sensu. Przyjmując koncepcję, że ja zabijałam - i że Barnaba zabijał, co pan zrobi z trupem Laury?

- Laura musiała także zginąć - powiedziałem. - Dla zmylenia trupów. Tylko pani i Zenobiusz pozostaliście przy życiu. Musiała pani złożyć winę na Zenobiusza. Że on zabijał. I dobrze to pani obmyśliła. Z tymi pantoflami numer czterdzieści dwa. Prawda?. Bo pani leżała wtedy rzekomo ciężko ranna i nie mogła się ruszać.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Laura zginęła także dlatego, że Barnaba mógł się jej zwierzyć z waszego planu porwania samolotu i ucieczki z klejnotami. Ludzie mówią sobie w łóżku o takich rzeczach.

- Nie zajmuję się w łóżku głupstwami ani rozmowami o takich rzeczach - uśmiechnęła się Amelia. - Znam przyjemniejsze zajęcia, kiedy znajdę się z kimś w łóżku.

- To jest bardzo obiecujące - powiedziałem - i po tym wszystkim przydałby się taki relaks. Jednak jestem zakochany w dziewczynie, która nawet o tym nie wie. Śmieszna miłość, to prawda, ale niestety, pani Amelio. O ile pani w ogóle...

- I ja żałuję - powiedziała. - Szkoda, że dzisiaj w nocy nie zastałam pana w bibliotece. Nie doszłoby do tej nedorzecznej rozmowy o trupach i mordercach... Pan żartował, prawda?

Podniosłem leżący na stole pantofel gimnastyczny. Blaszki otaczające otwory na sznurowadła były nieco zardzewiałe. Pokazałem je Amelii.

- W tym wilgotnym domu wszystko rdzewieje - powiedziała.

- Otóż to. Kiedy stanęła pani pod oknem Laury, padał deszcz. I rdza puściła. Z łazienki przyniosłem przed chwilą pani pończochy. Suszyły się tam, po przepraniu.

Pokazałem Amelii pończochę.

Pokazałem na tej pończosze dwie rdzawe plamki na górnej części stopy. Plamki pozostawione przez blaszane okucia pantofli, w których morderca Laury stał pod jej oknem. Dokładnie pasowały do rozstawienia blaszanych okuć na pantoflu.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po chusteczkę.

Amelia szybkim ruchem wydobyla z torebki rewolwer.

Cofnęła się.

- Proszę się nie ruszać - powiedziała.

Nie ruszałem się.

Padał deszcz.

Patrzac w oczy

Stała przede mną z rewolwerem w dłoni. Jej ręka była spokojna, nie drżała. *Giftmadchen* - pomyślałem. - Trująca dziewczyna. Teraz wyraźnie dostrzegłem to znamię w rysach jej ładnej twarzy, w zwężeniu źrenic, w kąciku leciutko skrzywionych ust.

Zabijając mnie, Amelia obaliłaby porządek ustalony przez kryminalną powieść, która musi być oparta na dwóch morderstwach. Na pierwszym, popełnionym przez przestępcę, i na drugim, niewinnym morderstwie, popełnionym przez detektywa, którego przeznaczeniem jest zaprowadzić przestępcę na szafot.

- Nie ruszać się - powtórzyła Amelia.

Cofnąłem dłoń zanurzoną w wewnętrznej kieszeni marynarki; tam miałem chusteczkę.

- Pani Amelio - powiedziałem - na ogół nie noszę broni. Chciałem tylko wyjąć chusteczkę. Pozwoli pani?

- Chusteczka nie będzie panu potrzebna. Pociągnąłem nosem.

- A jednak jest potrzebna.

- Zapewniam pana, że nie.

- Nigdy nie przypuszczałem, że ktoś w taki sposób uwolni mnie od kataru. Nie pomyślałem nawet o takim sposobie.

- Śmierć to jedyny radykalny sposób na katar. Uwalnia także od wszystkich innych dolegliwości. Proszę teraz powiedzieć spokojnie i po męsku, jak przystało na odważnego sierżanta prowadzącego śledztwo: niech pani strzela.

Czekała na to zdanie.

- Niech pani nie strzela - powiedziałem. - Nie lubię efekciarstwa. Nie pozuję na dzielnego sierżanta, ginącego dla dobra sprawy z uśmiechem na ustach. Pani Amelio, jestem zmęczony tym, co wiem o ludziach. Oczywiście o takich ludziach, jak pani. Ale wystarczy, żeby być zmęczonym. I wystarczyłoby nawet, żeby pomyśleć: nie nadawałem się do takiej pracy. Do tego wołania na pustyni o sprawiedliwość. Jednak cenilem mój zawód mimo wszystko. Moje powołanie. Powtarzam: niech pani nie strzela.

Nieznacznie opuściła dłoń, w której trzymała rewolwer.

- Przecież pan wie, że została mi tylko jedna szansa. Jedyna, ostatnia i niepowtarzalna. Zabić pana i uciec kajakiem. Woda na rzece opada. W nocy nie mogłam tego zrobić, bo rozbiłyby mnie fale i pniaki, które płyną rzeką I pan mógł mi przeszkodzić.

- Na pewno tak by się stało. Podoba mi się pani przezorność. Jeśli już działać, to skutecznie i precyzyjnie.

- Gdzie biżuteria, którą wyjął pan z kajaka?

- Tam, gdzie była dawniej. W neseserze. A neseser leży w górnej szufladzie komódki. Kluczyk jest w zamku.

Zaskoczyła ją moja uprzejmość i uległość.

Nie spuszczaając ze mnie oczu podeszła do komódki. W jednej ręce wciąż trzymała rewolwer. Drugą przekręciła klucz, otworzyła szufladę i wyjęła walizeczkę. Przeniosła ją na stół. Otworzyła. Wewnątrz leżała biżuteria Filomeny. Była opakowana szczelnie w nylonowy woreczek. Na woreczku widniał napis: „Ringo”.

Amelia spojrzała nieufnie.

- Dlaczego pan powiedział, gdzie jest biżuteria? Tak od razu, bez nalegania? Bez gróźb i straszenia?

- Przecież pani jest bystra i sprytna. Znalazłaby ją pani szybko, bez mojej pomocy. Zresztą biżuteria nie jest najważniejszym problemem w tej sprawie.

- A co jest najważniejsze? - zapytała. Przypomniałem sobie zdanie z mojej nocnej lektury: „Detektyw oczyszcza cząstkę świata z tego zła, którym jest nie tyle sama zbrodnia, ten oczywisty fakt, że kogoś zabito, ile towarzysząca jej skaza, rozlana wokół niej plama krwi i ciemności, i zarazem ów odwieczny, głęboki konflikt, wcielający się w zbrodniarza od momentu, kiedy przez swój czyn potwierdził on jego istnienie, ujawniając olbrzymie utajone siły, które chcą naruszyć dotychczasowy ład społeczny i ukazać jego kruchość”.

W tym wypadku zbrodnie były nie mniej odrażające niż osobowość Amelii i tkwiąca w niej namiętna siła destruktywna, która popychała ją do zbrodni i burzenia ustalonego porządku.

Amelia pobieżnie sprawdzała zawartość nylonowego woreczka.

Musiałem wierzchem dłoni otrzeć zakatarzony nos.

- Proszę tego nie robić! Niech pan wyjmie chusteczkę. Ale bez niespodzianek, ostrzegam.

- Dziękuję. - Wyjąłem chusteczkę i starannie wytarłem nos. Poczulem ulgę. Powiedziałem: - Pani zabiła felczera. Chyba przestraszyła go pani. Czym? Jak? Jego serce nie zniosło strachu. Prawda? Chciała pani uprawdopodobnić wersję Laury i Barnaby, że Filomena jednak żyje i że felczer dostał od Filomeny „w łapę” za wystawienie fałszywego świadectwa zgonu. Właśnie po jego śmierci zmieniła pani nagle swoje zdanie, że Filomena nie żyje. I

poparła pani twierdzenie Laury, że Filomena się ukrywa, kiedy już Barnaba wrzucił do rzeki jej zwłoki.

- Tak, trochę niezręczne posunięcie. Ale dla mnie najwygodniejsze. Wychodząc z oficyny, zobaczyłam, że Laura idzie po felczera. Zaproponowałam, że wejdę razem z nią... Już czas, sierżancie. Trzeba stąd odejść. Proszę się odwrócić.

- Nie - powiedziałem. - Niech pani tego nie robi.

- Muszę. Proszę się odwrócić, twarzą do tamtej ściany. Nie chcę do pana strzelać twarzą w twarz. Nie mogę tak.

- Nie mogę się odwrócić. Chciałbym zobaczyć pani oczy w momencie kiedy pani strzeli.

- Po co? Dlaczego?

- To śmieszne - powiedziałem - lecz tak już jest, że człowiek interesuje się wszystkim, aż do końca. Sam nie mogę zrozumieć, dlaczego zależy mi, by na panią patrzeć. Aż do końca.

- Proszę się natychmiast odwrócić! - ostro powiedziała. - Nie mam tak wiele czasu. Aha, jeszcze jedno. Czy pan sądzi, że ten drugi gołąb dotarł do Warszawy?

- Sądzę, że tak. Prosiłem tylko o informacje dotyczące Zenobiusza i Barnaby. Byłem pewny, że z wami sam sobie poradzę. Pomyliłem się.

- Jednak pan otrzymał informacje na mój temat. Skąd?

- Z innego źródła - skłaniałem. - Przeglądałem kiedyś akta...

Amelia wzniosła wyżej dłoń z rewolwerem.

- To nie ma znaczenia - powiedziała. - Pan wie, na co czekam. Szybciej! Proszę się odwrócić. Nie byłam nigdy w plutonie egzekucyjnym. Szybko!

- Amelio, nie warto.

- Niech pan przestanie!

- To, co powiem...

- Nie!

- ...przyda się pani.

- Co?

- Chciałem tylko powiedzieć, dlaczego wstąpiła pani do ubikacji, gdzie leży martwy Zenobiusz. I dlaczego musiała pani wejść właśnie do tej ubikacji, nie do innej, nawet wrywając zasuwkę.

- Dlaczego musiałam?

- Bo w schowku, za obłuzowanym zbiornikiem żeliwnym, był ukryty rewolwer. Kiedy za pośrednictwem Zenobiusza, kilkanaście minut przedtem, poprosiłem, żeby Amelia

przyszła bez peruki, przestraszyła się pani. Dlatego wstąpiła pani do ubikacji po rewolwer. To miał być argument rozstrzygający naszą walkę.

- Zgadza się - stwierdziła rzeczowo. - Zgadza się to i wszystko inne. Pracował pan sumiennie i dobrze. Gratuluję panu.

- Dziękuję pani. Jestem już na emeryturze i działałem na własną rękę.

- Dość tego. Jeżeli nie chce się pan odwrócić...

- Nie chcę.

Nad domem rozległ się charakterystyczny odgłos silnika śmigłowca, zanikający i znów głośniejszy.

- Słyszysz pani?

- Ktoś z akcji przeciwpowodziowej. Helikopter?

- Nasz helikopter. Mój były szef nie przepadał za mną, jednak nie zapomniał o mnie.

- Przecież pan nie prosił o pomoc!

- Nie prosiłem. Chyba dzisiaj dała im znać dziewczyna, do której telefonowałem. Studentka psychologii z Poznania. Bardzo miła i w ogóle... Pani wyłączyła telefon, jednak tamtej nocy telefonowałem do niej. Przerwano nagle rozmowę. Bała się o mnie. Na pewno zaczęła płakać i wydzwaniać do naszych posterunków albo do wojewódzkiej komendy. Tak to sobie wyobrażam. Byłoby ładnie. Tak, na pewno zaalarmowała wszystkich.

Słyszeliśmy, jak śmigłowiec krąży nad nami poszukując miejsca do lądowania. Amelia wzięła do lewej ręki woreczek z biżuterią.

- Nim wylądują, zdążę uciec.

- Nie zdąży pani. Będą wcześniej.

- Wtedy biżuterię ukryję. A waszym ludziom powiem, że ja jedna ocalałam z tej masakry. I że pan chciał mnie zabić, żeby ukraść biżuterię. W obronie własnej musiałam pana zastrzelić. Tak im powiem. Sierzancie, do zobaczenia na tamtym świecie. Jeżeli tamten świat w ogóle istnieje - dodała.

- Jeżeli ten w ogóle istnieje... Czasami mam wątpliwości. Amelia nacisnęła język spustowy. Ona nie miała wątpliwości.

Przymknąłem odruchowo oczy. Słyszałem, jak pada deszcz.

Koniec zabawy w śmierć”

Usłyszałem stuknięcie iglicy i zapłon spłonki. Pisz się często: „suchy trzask iglicy”. Lecz nie był on suchy. Był złowrogi, jakby powtórzony echem w dziwacznie umeblowanym pokoju, wręcz symbolicznie przeładowanym starociami z różnych epok minionych.

Amelia zbladła. Mocniej ujęła kolbę rewolweru i jeszcze raz nacisnęła język spustowy. W jej oczach była wściekłość i była rozpacz.

- Bałem się, że ma pani zapasowy magazynek. Bardzo się tego bałem, że po wyjęciu rewolweru ze schowka wymieniła pani magazynek. No cóż, nie ma pani doświadczenia w obchodzeniu się z bronią krótką. To nie kusza, prawda? Ani żelazny łom...

- Wymiotuję po zabijaniu - cicho powiedziała. - Nie mogę.

Zbliżyłem się do niej. Wziąłem z jej wyciągniętej dłoni rewolwer. Oddała go bez oporu. Jakbym zasypiającemu dziecku wyjmował z rąk zabawkę.

- Skończyła się zabawa w śmierć. Nareszcie.

- Ale w magazynku są... - powiedziała szeptem.

- Tak, są tam naboje. W nocy wysypałem z nich proch i włożyłem je ponownie do magazynka. Ktoś powiedział, że przewidzieć jakiś zamysł to udaremnić jego realizację. To samo zrobiłem z kajakiem.

Amelia nie była zła. Była smutna.

- Kiedy pan mnie wezwał, mogłam od razu uciec i nie przychodzić tutaj. To mój błąd największy, zgubił mnie.

- Nie mogła pani. Złamałem wiosło i przedziurawiłem kajak. Jaki w tym błąd, jeżeli przewidziałem również pani ucieczkę?

- Pan jest...

- Zakatarzony - powiedziałem. - Przez ten przekłety deszcz! Nie mogę zrozumieć, jaki w tym sens: na Saharze ludzie giną z pragnienia, na obszarach suszy w Brazylii deszcz nie pada nawet przez cały rok. A tutaj szaleństwo deszczu, nadmiar wody, ocean na ziemi i w powietrzu. Kto to wymyślił?

Śmigłowiec lądował.

Na kadłubie zajaśniał na moment promień słońca.

Jednak takie zakończenie, jakkolwiek zaspokaja zawodową ambicję byłego sierżanta, jest nazbyt poprawne i nie ujawnia wszystkich symboli i znaczeń tej opowieści.

Padał deszcz.

Mniej więcej tak kończyły się zapiski sierżanta K. Dołączone były do nich rozważania: w życiu człowieka wszystko odbywa się nieskładnie i chaotycznie, niekiedy nawet wbrew logice i rozumnej chronologii wydarzeń, z których jedne powinny być przyczyną następnych, a następne skutkiem poprzednich. Znam - pisał sierżant K. - również takie wypadki, kiedy skutek wyprzedzał swoją tajemną przyczynę lub też następował bez przyczyny.

W tym miejscu sierżant powołał się na incydent z żyrandolem, którego nikt nie zrzucił ani nie podpiłował, a jednak żyrandol runął na fotel Filomeny. Nastąpiła lawina spowodowanych tym incydem wydarzeń: narastanie wzajemnej nieufności i podejrzliwości, wsypanie arszeniku do makaronu, śmierć kucharki i inne, chociaż główna przyczyna, jak ją sobie oni wyobrazili (że to był umyślny zamach na Filomenę), w ogóle nie zaistniała. Była jedynie tworem wyobraźni. Urojeniem. Cała reszta, to skutki zmyślonej przyczyny.

Słyszałem kiedyś - zanotował sierżant K. na nie numerowanej stronie, nie wiadomo do jakiej części jego notatek przeznaczonej - że jeśli w pierwszym akcie dramatu wisi na gwoździu strzelba, to w ostatnim akcie tego dramatu powinna ona wystrzelić. W dworku Filomeny strzelbę nosił głuchy Filip.

Okazało się jednak, że nie tylko w dramacie, lecz również w życiu taka strzelba musi wystrzelić. Otóż po śmierci Filomeny pies podwórzowy wyl przez całą noc. Nad ranem Filip znalazł wycieńzonego i ledwo dychającego psa nie w budzie, ale przed nią; leżał w kałuży z podwiniętym pod siebie ogonem. Filip zastrzelił psa. Był tak przejęty rozstaniem z ulubionym psem, że wypił z żalości nazbyt wiele samogonu. W tym stanie (pogrążonego w mocnym śnie,- jaki nawiedza łaskawie nadmiernie pijących) zastała go Amelia zjawiając się w oficynie po kosztowności Filomeny. Wykorzystała stan Filipa i zabiła go.

Gdyby Filip nie był zamroczony, na pewno poradziłby sobie z Amelią i tym samym ocalił Własne życie oraz życie osób, które później zginęły. Znowu przypadek zdecydował o najważniejszych sprawach. I przypadek zdecydował, że Amelia zostawiła celowo w schowku Filipa biżuterię. Tam, tak przypuszczała, jest najbezpieczniejsza. Jednak znalazłem biżuterię i zabrałem ją stamtąd.

Co do samogonu, to dzięki ofierze, jaką Filip złożył ze swego życia, przeprowadzono w tej sprawie skuteczne dochodzenie. Znalaziono zamieszkałego w pobliskiej wiosce drwala, który trudnił się pędzeniem tak zwanego bimbru, zamiast zajmować się zgodnie ze swymi kwalifikacjami wyrębem lasu. Ludzie nigdy nie mogą się pogodzić ze swoim losem. Zawsze „coś ich nosi”.

Sierżant K. pominął w swojej opowieści ten dość istotny szczegół dotyczący okoliczności zamordowania Filipa, pozostawiając przytoczoną wyżej wzmiankę na oddzielnej kartce. Być może uczynił tak z sympatii dla Filipa, wzruszony jego kalectwem, uczciwością i lojalnością. Przypomnę tu, że Filip z własnej woli pokazał sierżantowi walizeczkę z biżuterią Filomeny B.

Na innej kartce nie oznaczonej kolejnym numerem, strony sierżant wypisał kilka zdań z książki znalezionej w biblio-; tece Eligiusza. Dotyczyły one studium, którego autorem jest Pierre Very, a które ktoś inny skomentował w swoim eseju o powieści. Przytaczam w całości wynotowane przez sierżanta zdania.

Wszystko sprowadza się do pytania, czy policja została, stworzona dla świata, czy też świat stworzono dla policji ostatnia hipoteza nie jest bynajmniej nieprawdopodobna, skoro Księga Rodzaju, powiadając w pierwszych słowach, że Duch Boży unosił się nad wodami, niewątpliwie ma na myśli policję. Ta teologia nie jest ani tak dowolna, ani tak niefartowna, jak się wydaje. Powieść kryminalna przedstawia istotnie walkę czynnika organizacji z czynnikiem zamętu, których odwieczny antagonizm utrzymuje świat w równowadze. W społeczeństwie odpowiada mu spór zbrodni i prawa... Zbrodniarz i detektyw nabierają więc symbolicznego znaczenia”.

Spór, czy naprzód zaistniała policja (względnie idea policji), czy też świat (względnie nasze wyobrażenie świata), nie jest rozpatrzony ani rozstrzygnięty. Gnuśność naszych umysłów sprawia, że nie zbadano jeszcze takiej możliwości ujmowania historii świata.

„Na początku było słowo” - zanotował sierżant K. - Ale jakie, czyje słowo? Czy owej potęgi, która po stworzeniu Adama i Ewy nieustannie śledziła ich w legendarnym raju? Nasi prarodzice podlegali obserwacji, nieprzemijającemu podglądaniu, a była to inwigilacja totalna, permanentnie trwająca. Stwórca wiedział o wszystkim i wszystko widział. Czy można wyobrazić sobie sytuację bardziej niehumanitarną i przerażającą? A przecież również ja, kiedy prowadziłem dochodzenie, chciałem wiedzieć wszystko o wszystkim. Oto marzenie potomka nieszczęsnych ofiar rajskiej inwigilacji! - z goryczą komentował sierżant.

Może wąż nakłaniający do spożycia jabłka był prowokatorem, dobrowolnym lub nasłanym? Albo tajnym agentem w przebraniu lub pod postacią węża? Czy Ten, który stworzył również węża, przewidział, że świat nie obejdzie się bez gadów? Natomiast z Biblii jednoznacznie wynika, że wąż także był śledzony i że jego czyn nie uszedł czujności Ducha Unoszącego Się Nad Wodami.

„Nie o to idzie - czytałem gdzieś - że Adam nie umiał odróżnić dobra od zła, lecz o to, że takie rozróżnienie w ogóle nie istniało”. A jednak czyn Adama zakwalifikowano jako przestępczy lub co najmniej niepożądany i wysiedlono go z raju, skazano na zesłanie - pisał sierżant K.

Pismo nie podaje, jaka pogoda panowała krytycznego dnia w raju.

Może padał deszcz?

Trzy zakończenia

W każdej powieści kryminalnej - a powinna taka powieść stanowić, jak ktoś słusznie zauważył, detal gigantycznego fresku przedstawiającego współczesne społeczeństwo, incydent z nie ustającego konfliktu postaw ludzi i ich wyobrażeń o świecie, wreszcie epizod zacieklej walki, jaką wciąż prowadzą ze sobą zbrodnia i prawo - a więc w powieści kryminalnej istnieje dowolna ilość rozwiązań i kombinacji. Każda z postaci może być zabójcą, każda może okazać się niewinna. Na takie możliwości wskazuje również opowieść sierżanta K. Właśnie rozległość możliwości i wielość rozwiązań oraz prawdopodobieństwo każdego wariantu - zawiodła początkowo sierżanta w labirynt przypuszczeń, które mogły zaprowadzić go do nikąd.

Opowieść sierżanta K. nacechowana była ironią niewymuszoną i niezamierzoną, nawet bezwiedną drwiną w stosunku do siebie samego. Wynikło to stąd, że projekcja sytuacji, w jakiej znalazł się sierżant, padała na ekran o wiele większy niż wyspa otoczona wodą i losy znajdujących się tam ludzi. Tak więc wielorakość znaczeń i dystans nasyciły ironią dramatyczne zwierzenia sierżanta, uogólniając je i nadając niektórym zdarzeniom wartość odwołującą się do symboli i mitów tak odwiecznych, jak walka dobra ze złem, raczej walka zła z dobrem, bo dobro nie zawsze przewycięża zło; stąd zapewne tak charakterystyczne zachwianie równowagi moralnej, etycznej i estetycznej współczesnego świata.

Opowieść sierżanta zaczyna się od przedstawienia sytuacji farsowej, lecz nie ma cech żartobliwych, pozostając i stając się coraz bardziej relacją ironiczną, także szyderczą wobec romantycznych i fantastycznych tradycji, ku którym się zwraca. Ten nie uprawiany u nas rodzaj literacki, zaproponowany w zapiskach sierżanta, musi mieć określone (wewnętrzna logiką i prawem spójności) konsekwencje, jeśli chce pozostać wierny swemu przesłaniu i zamysłowi głównemu: wymyślić wątek dla farsy i uczynić z tego poważną (a więc ironiczną!) powieść. Przejdźmy więc do nieuniknionych konsekwencji - i przyjmijmy na koniec, że wszystko tak się działo (z minimalnymi zmianami), jak się działo w ustalonej już rzeczywistości, do momentu ostatniego starcia sierżanta z Amelią.

ZAKOŃCZENIE PIERWSZE - OPTYMISTYCZNE

Pierwsze zakończenie było - jest to bądź co bądź powieść sensacyjna, kryminalna! - optymistyczne, wręcz pogodne. Na wysepce stanowiącej skrawek globu zasłanego trupami (w walce zbrodni z prawem), pozostał przedstawiciel prawa, a więc były sierżant, oraz morderca

numer jeden, Amelia, natchniona muza występku i zbrodni, inspiratorka i współuczestniczka całej serii morderstw. Amelia jest obezwładniona w sposób opisany w poprzednim rozdziale, skończyła się okrutna zabawa w śmierć. Prawu stanie się zadość, cień śmierci orzeczonej przez sąd padnie na Amelię i tak spełni się przeznaczenie sierżanta: zaprowadzić Amelię na szafot.

Nadszedł czas, by zgodnie z zamierzeniem przystąpić do przedstawienia dwóch innych możliwych i nie mniej prawdziwych rozwiązań. Przypuszczam zresztą, że jedna z oba pozostałych wersji zakończenia jest najbardziej prawdziwa.

Prolog do drugiego i trzeciego zakończenia przedstawiony jest w niniejszej powieści do rozdziału „Koniec zabawy w śmierć”. Sytuacja zrelacjonowana i znana: zginęła kucharka, Filomena, pokojówka i Laura; zginął Eligiusz, felczer, Filip i Barnaba. Zastrzelono psa i przeszyto bełtem gołębia pocztowego. Oto lista ofiar.

Przy życiu pozostali: Amelia i sierżant K. Taki jest punkt wyjścia dla wszystkich trzech możliwych zakończeń. Jeżeli istnieje czwarte zakończenie, nie wynika ono z opowieści sierżanta, ale z innej, jeszcze nie napisanej, bowiem trzy epilogi wyczerpują bez reszty prawdopodobne i nieprawdopodobne konsekwencje skazy towarzyszącej tej zbrodni i rozlanej wokół niej plamy krwi i ciemności.

Tak więc poznaliśmy już pierwsze zakończenie, optymistyczne, o którym sierżant napomknął, iż zaspokoilo jego zawodowe ambicje, jednak było nazbyt poprawne i nie ujawniało z tej przyczyny wszystkich symboli i znaczeń przedstawionej tu opowieści.

ZAKOŃCZENIE DRUGIE - TRAGICZNE

Korzystając z ciemności i ogłuszającego huku wezbranej rzeki, Amelia wymknęła się nad ranem, by zabrać z oficyny biżuterię Filomeny. Odkryła ją poprzedniego dnia w schowku, pod podłogą izby zamordowanego przez nią Filipa, i oczywiście w tym schowku zostawiła. Była przekonana, że tylko ona wie o istnieniu skrytki.

Jednak o świcie nie znalazła w niej biżuterii. Odkrył ją tam sierżant K. i zabrał. Wciąż poruszając się w deszczu i ciemności, Amelia z szopy wysunęła kajak. Podejrzana o kilka morderstw, postanowiła uciekać, rezygnując z klejnotów Filomeny. Przegrała, jednak chce żyć. Byle jak, ale żyć. Dominował strach, zatriumfował rozsądek.

W czasie przeprawy na drugi brzeg zatonął kajak atakowany przez wiry, fale i kłody niesione przez rzekę. Amelia zginęła tak, jak będzie to opisane w zakończeniu trzecim.

Fale wyrzuciły na brzeg zwłoki Amelii. To wszystko.

Na skrawku ocalałego ładu pozostał sierżant K.

Sam.

Wśród trupów i z trupami morderców.

Rezygnując z pomocy sierżanta, piekło upomniało się o twój łup.

W górze ukazał się helikopter. Spóźniona pomoc nadchodziła właśnie stamtąd, z nieba, w które ludzie patrzą naiwnie myśląc, że gdyby Bóg istniał, to właśnie gdzieś w górze, a nie wszędzie.

Sierżanta ogarnęła rozpacz, że Amelia nie żyje. Amelia, ten jedyny świadek i jedyny dowód jego zmagañ, jego udręki, jego trudów, jego nadziei. Cel i ostatnie przeznaczenie.

Nie spełniło się jego przeznaczenie. Wiedział już wszystko, lecz wiedza ta stała się bezużyteczna w scenerii kataklizmu: Amelia nie poniesie zasłużonej kary. Jakby niebo w niepojętym sojuszu z piekłem zdrwiło z wysiłków sierżanta.

Podniósł zaciśniętą pięść. Pogroził nią niebu i pogroził nią piekłu. Płakał.

Padał deszcz.

ZAKOŃCZENIE TRZECIE - SCEPTYCZNE

- Niech pani nie strzela - powiedziałem.

Amelia nieznacznie opuściła dłoń, w której trzymała rewolwer.

- Pan wie, że została mi tylko jedna szansa. Jedyna, ostatnia i niepowtarzalna: zabić pana i uciec stąd kajakiem... Sierżancie, do zobaczenia na tamtym świecie. Jeżeli tamten świat w ogóle istnieje.

- Jeżeli ten w ogóle istnieje. Niekiedy mam wątpliwości.

Amelia nie miała wątpliwości. Rozległ się odgłos trzech wystrzałów. I świat przestał istnieć.

Sierżant osunął się na ziemię. Chciał jeszcze coś powiedzieć, poruszył wargami, lecz Amelia pochyliła się nad nim i z przymkniętymi oczyma strzeliła jeszcze trzykrotnie do leżącego. Jeżeli działać - przypomniała sobie słowa sierżanta - to precyzyjnie i skutecznie.

Odrzuciła rewolwer. Porwała ze stołu wrzucone do nylonowego woreczka klejnoty i wybiegła na podwórze.

Wyciągnęła z szopy kajak. Cisnęła na dno zawiniątko z biżuterią. Trzymając się zwisających nad wodą gałęzi brzozy i stojąc już w kajaku, przechyłami ciała zsuwała go stopniowo na wzburzoną rzekę.

Kajak zakołysał się na wodzie. Amelia chwyciła wiosło w połowie jego długości. Rozpadło się na dwie części. Było złamane. Ujęła mocno te dwa mało użyteczne kikuty. Trzymając pióra wiosła u ich nasady, usiłowała utrzymać równowagę i skierować kajak na przeciwległy brzeg.

Podwodne wiry i fale zakreśliły kajakiem; korzenie porwanej przez wodę jodły uniosły go w górę i przewróciły. Mm Amelia zdążyła uchwycić pień, drzewo opadło na nią za straszliwą siłą.

Kiedy helikopter wylądował na podwórzu - a stało się to w kilka minut później - nikt już nie żył na wyspie odgradzonej od świata wodami powodzi, ale z tym światem nierozzerwalnie związanej.

Tak dopełniły się losy przebywających tani ludzi - dopisałby zapewne sierżant K., gdyby żył - jak dopełniają się w tragedii greckiej: co ma się stać, musi się stać, jest bowiem nieuniknione.

Rzeka wyrzuciła na zaśmiecony brzeg ciało Amelii.

Padał deszcz.

1970-1972

„KB”